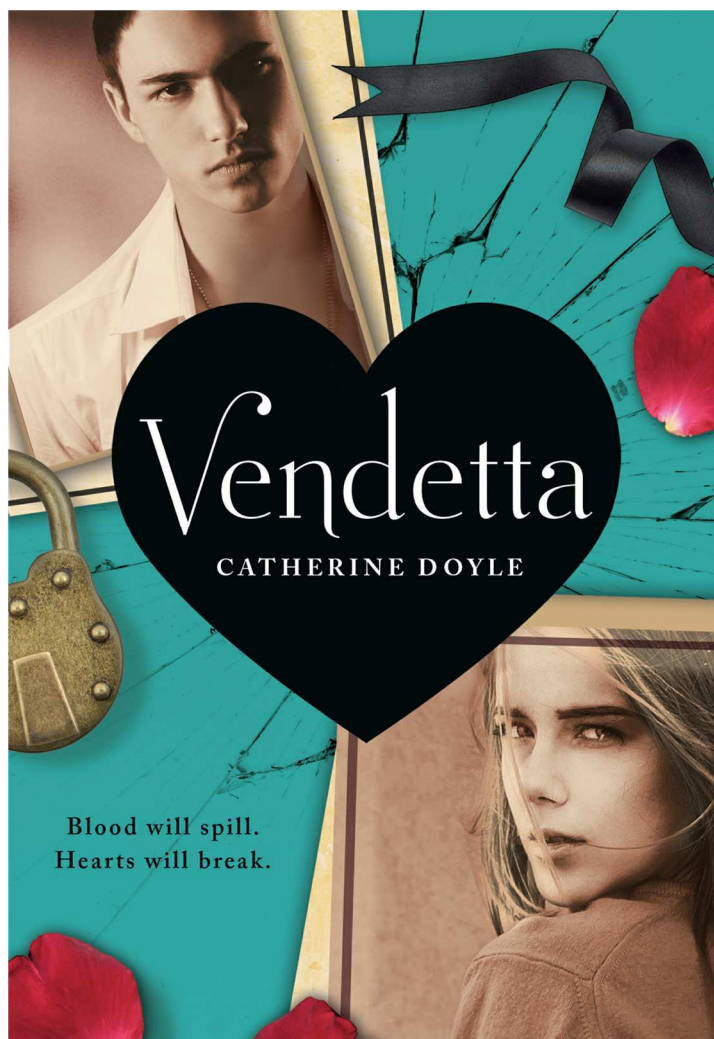


Vendetta (Blood for Blood 01)

Catherine Doyle



Nieoficjalne tłumaczenie **waydale**

Tłumaczenie w całości należy do autora książki, jako jego prawa autorskie. Tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym, służącym do promocji autora. Tłumaczenie nie służy do otrzymania korzyści materialnych.

Proszę o nie udostępnianie tłumaczenia.

CZEŚĆ I

„Ze wszystkich form środków ostrożności, ostrożność w miłości jest chyba największą zgubą dla prawdziwego szczęścia.”

BERTRAND RUSSELL, *Walka o szczęście*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SŁOIK MIODU

Początkowo go nie zauważyłam, kiedy tak sterczał pomiędzy kasą, a stosem podkładek. Mógł stać tam od wielu godzin – albo i dłużej – tak sobie czekając, podczas gdy ja spędzałam kolejny dzień wakacji na umieraniu z nudy w restauracji „U Gracewellów”.

Zostałyśmy tylko dwie do zamknięcia lokalu dzisiejszego wieczoru. Stałam przy kasie, stukając paznokciami o ladę, kiedy Millie, moja najlepsza przyjaciółka i współkelnerka, sunęła wzdłuż restauracji i śpiewała do miotły, jakby to był mikrofon. Wszyscy inni wyszli i mój wujek Jack – nie tak wspomniały kierownik – został w domu z powodu kaca.

Stoliki były ustawione w równiutkich rzędach otoczone bordowymi krzesłami i niekiedy kauczukowcami. Drzwi były zamknięte, światła przygaszone, a boksy pod oknami posprzątane.

Starałam się nie słuchać jak Millie niszczy Adele, kiedy to dostrzegłam: słoiczek miodu. Podniosłam go i przyjrzałam mu się.

- Idzie mi coraz lepiej – zawołała Millie z przeciwnego końca knajpy, przerywając mordowanie piosenki. Jedyne, co poszło jej dobrze, to słaby brytyjski akcent, ale tylko dlatego, że ona *była* Brytyjką. – Teraz uderzam w tę wysoką nutę!

- *Wielka* poprawa, Mil – skłamałam, nie podnosząc wzroku.

Słoik był mały i okrągły. Wewnątrz miód z kryształkami złota przelewał się leniwie, kiedy przechylałam nim do przodu i do tyłu. Wieczko pokrywał postrzępiony materiał, a zamiast etykiety pośrodku była przewiązana cienka aksamitna wstążka w wyszukanej kokardzie. Była czarna.

Miód domowej roboty? Dziwne. Nie kojarzyłam nikogo w Cedar Hill, kto robiłby własny miód, a znałam prawie *wszystkich* w Cedar Hill. To było po prostu takie miejsce – małe miasteczko na peryferiach Chicago, w którym każdy wie każdą maleńką rzecz o innych; w którym nikt nie przebacza i nikt nie zapomina. Dobrze o tym wiedziałam. Po tym, co wydarzyło się z moim tatą zostałam niechlubnym dzieckiem, a niechlubność ma to do siebie, że przykleja ci do czoła wielki czerwony znak ostrzegawczy.

Millie uderzyła w ostatnią melodię piosenki z rozdzierającym uszy wigorem, po czym weszła za ladę i schowała miotłę.

- Możemy już iść?

- Skąd to się wzięło? – Położyłam słoik miodu na dłoni i wyciągnęłam przed siebie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Był tutaj, kiedy zaczęłam zmianę.

Spojrzałam na nią przez złocisty pryzmat, przez co jej twarz była zniekształcona.

- Dziwne, prawda?

Millie ułożyła rysy twarzy w klasyczny wyraz „nieszczególnie obchodzi mnie ten temat rozmowy”.

- Miód? Nie bardzo.

- Jest domowej roboty – powiedziałam.

- Domyśliłam się. – Ściągnęła brwi i wyciągnęła dłoń, by dotknąć szklanego słoika. – Wstażka jest trochę niecodzienna. Może jakiś klient zostawił go w postaci napiwku?

- Jaki klient daje takie napiwki?

Millie sapnęła i jej twarz się rozjaśniła.

- Czy ty... - Nabrała dramatycznie tchu. – Przypadkiem... - Wypuściła oddech. – Nie obsłużyłaś...

Pochyliłam się do przodu w oczekiwaniu.

- ...małego żółtego niedźwiadka...

Nie do wiary, że się na to nabrałam.

- ...o imieniu Kubuś Puchatek?

Jej śmiech rozbawił mnie jak zawsze. Ten dźwięk – jakby ktoś dusił kaczkę – był tym, co przyciągnęło mnie do niej, kiedy przeprowadziła się tutaj pięć lat temu. W szkole zawsze śmiałyśmy się z tych samych prostych rzeczy – strojenie głupich min; niestosowne chichoty, kiedy ktoś się potknął i upadł; cieszenie się długimi, bezsensownymi rozmowami i dyskusowanie na temat absurdalnych hipotetycznych sytuacji – i to nas połączyło. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że to będzie jedyna przyjaźń, która przeżyje to, co przydarzyło się mojej rodzinie osiemnaście miesięcy temu, ale nie miało to już znaczenia, ponieważ Millie była najlepszą przyjaciółką, którą kiedykolwiek będę mieć i potrzebować.

Śmiałyśmy się przez cały proces zamykania restauracji, dopóki nie wyszłyśmy na ciepłe nocne powietrze.

Restauracja była skromnym, nisko położonym budynkiem z wyblakłej cegły mieszczącym się na rogu Foster i Oak. Idealnie symetryczna, a jej prostokątność odzwierciedlała się w pudełkowatych oknach dominujących powierzchnię i w małym

parkingu otaczającym ją ze wszystkich stron. Wzdłuż wysuniętego dachu nabazgrany znak „U Gracewellów” był połowicznie oświetlony przez latarnie stojące wzdłuż skraju terenu. Po drugiej stronie ulicy strzelała do nocnego nieba stara biblioteka częściowo ukryta przez rząd starannie przyciętych drzew, który ciągnął się na zachód, mijając pocztę główną i schodząc w dół chodnika.

Dalej trzymałam ozdobiony słoik miodu, kiedy przekroczyliśmy pusty parking. Przecież nikt się nie przejmie, wmawiałam sobie – skoro wujek Jack leczył w domu swój zasłużony ból głowy nie było tu nikogo oficjalnego, żeby zabrać miód. Zrobiłam jedynie to, co każdy inny znużony, niedostatecznie opłacany pracownik na moim miejscu... przywłaszczyłam sobie darmochę, której nie miała dla mnie żadnego natychmiastowego użytku i oddaliłam się od restauracji z poczuciem triumfu.

- Tak sobie myślałam. – Millie zwolniła, żeby zrównać się ze mną.

- Uważaj – rzuciłam przekornie.

- Może *ja* powinnam zabrać ten miód.

- Znalezione, nie kradzione – zaśpiewałam.

- Sophie, Sophie, Sophie. – Objęła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie. Byłyśmy prawie tego samego wzrostu, ale kiedy Millie miała krągłości we wszystkich właściwych miejscach, ja byłam chuda jak patyk i odziedziczyłam po tacie pyzate policzki, chociaż również jego dołeczki, więc to była jakaś jasna strona. Millie przycisnęła swój policzek do mojego jakby mi o tym przypominała. Wyczułam jej uśmiech. – Moja *najlepsza* przyjaciółka na *calutkim* świecie. Och, jakie miałabym bez ciebie nudne życie? Gwiazdy nie lśniłyby tak jasno, księżyc byłby własnym cieniem. Kwiaty by zwiędły, a...

- Nie ma mowy! – Wyślizgnęłam się z jej uścisku. – Nie odbierzesz mi mojego miodu komplementami. Jestem odporna na twój urok.

Millie zacisnęła powieki i głośno zawyła.

- Masz już całą przeklętą restaurację. Czy nie mogę dostać chociaż miodu?

Chociaż miała rację odziedziczenie restauracji po ukończeniu osiemnastki nie było moją największą ambicją. Takie były instrukcje mojego ojca zanim odszedł, co bez wątplenia zostanie wprowadzone do życia przez mojego cudownie zrzędliviego wujka Jacka, który emanował szczególnie gryzącą aurą „nie przyjmuję żadnej odmowy”. To i tak było nieważne. Millie i ja dobrze wiedziałyśmy, że nie było nic fajnego w tej knajpie. To była jedna wielka migrena czekająca, żeby zrujnować mi życie. Ale ten słoik miodu w czarnej kokardzie? On był ładny – miła niespodzianka zmieniająca jednostajność dnia.

Millie powłóczyła za mną nogami.

- Sophie, mówi twoje sumienie – szepnęła mi przez ramię. – Wiem, że minęło sporo czasu odkąd rozmawialiśmy, ale nadeszła pora byś zrobiła coś dobrego. Millie jest taka miła i śliczna. Nie chcesz jej oddać swojego miodu? Pomyśl jak to ją uszczęśliwi.

- Nie wiedziałam, że moje sumienie ma brytyjski akcent.

- Nie doszukuj się dziury w całym. Po prostu daj jej miód.

Stałam na skraju parkingu, gdzie rozejdą się nasze drogi. Zanim dojechałam do rodziców został zmniejszony o połowę Millie i ja chodziłyśmy w tym samym kierunku do Shrewsbury Avenue, gdzie pełno było gospoś i ogrodników, wielkich basenów i kryształowych żyrandoli w prawdziwych foyer. Teraz moja droga powrotna do domu była o wiele dłuższa niż przedtem.

- Millie nawet nie lubi miodu – syknęłam. – *I* nie szanuje pszczoł. Tydzień temu widziałam, jak deptała jedną trzy razy, żeby mieć pewność, że jest martwa.

- Nie moja wina, że w tym kraju roi się od obrzydliwych insektów.

- Czego się spodziewasz? Jest połowa lipca!

- Wstyd.

- *I* to ty napryskałaś się perfumami Kwiatowa Bomba.

- On zachowywał się niestosownie.

- Więc go zamordowałaś.

Millie wyrzuciła przed siebie rękę.

- Daj mi ten cholerny miód, Gracewell. Będzie mi potrzebny do wymigania się od szlabanu.

Uniosłam brwi. Właśnie skończyłyśmy wspólną ośmiogodzinną zmianę i ani się o tym zająknęła.

- Szlaban?

- Totalny brak sprawiedliwości. *Kompletne* nieporozumienie.

- Słucham...

- Alex nazwał mnie *aparatką*. – Millie urwała dla lepszego efektu. – Dasz wiarę?

Cóż, rzeczywiście miała aparat na zębach, ale tego nie powiedziałam. Zamiast tego zrobiłam to, co każda przyjaciółka. Przybrałam wyraz czystego wzburzenia i udałam, że myślę o tym, jakim wrednym tyranem jest jej niezbyt-dojrzały-lecz-zdecydowanie-seksowny brat.

- Ale z niego dupek – stwierdziłam.

- Dosłownie najgorszy człowiek na tej planecie. Tak czy inaczej, jedno doprowadziło do drugiego i jego iPhone wyleciał przez okno... No, tak jakby wyleciał z moich rąk... które przypadkiem znajdowały się za jego oknem... Wpadł w *kompletny* szal.

- Och, te rodzeństwa...

- Masz szczęście, że nie musisz dzielić przestrzeni z żadnymi palantami – parła dalej.
- Jaki dziewiętnastoletni facet *piszczy* na swoją młodszą siostrę? No *gdzie* w tym honor? On szarga dobre imię Parkerów. I skąd miałam niby wiedzieć, że jego telefon się rozbije?

- Dziwna sprawa. – Ściskając dalej słoik miodu oparłam się o pobliską latarnię i obserwowałam, jak mój cień zakrzywia się w łunie światła. – Mogłabym przysiąc, że najnowsze iPhone'y mają wbudowane maleńkie spadochrony.

Millie zaczęła wymachiwać ręką w powietrzu, jakby gdyby opędzała się od problemu.

- Jeżeli podaruję mamie ten słoik miodu, by wykorzystowała go w jednym ze swoich ciast to ujrzy we mnie życzliwą, troskliwą córkę, którą *jestem* i odwoła ten bezpodstawny szlaban, który został mi niesprawiedliwie przydzielony przez mojego ciemnego brata tumana.

- Nic z tego nie będzie. - Wyprostowałam się. – Zatrzymuję miód.

- Jak sobie chcesz – powiedziała, zarzucając swoimi prostymi brązowymi włosami. – Pewnie i tak jest zatruty.

Pokazała mi język i rzuciła się w ciemność, zostawiając mnie samą z moją z trudem wywalczoną zdobyczą. Wsunęłam słoik do torby, patrząc na znikające pasemka czarnej wstążki.

Przeszłam przez ulicę i zatrzymałam się, decydując, który obrać kierunek. Po sześciu zmianach z rzędu miałam obolałe pięty, a ponieważ Millie i ja tak długo stałyśmy w miejscu było już dość późno. Zwykle wybierałam dłuższą drogę do domu – dobrze oświetloną i wydeptaną – lecz skrót był znacznie krótszy, omijał centrum miasteczka wijąc się pod górę i zakręcając za nawiedzoną rezydencją na końcu Lockwood Avenue.

ROZDZIAŁ DRUGI

CHŁOPAK Z NIEPOKOJĄCYMI OCZAMI

Księżyc w pełni wisiał wysoko na niebie, ale wieczór wydawał się ciemniejszy niż zwykle. Po piętnastu minutach spaceru z odgłosem własnych stóp za towarzystwo, przede mną pojawiły się wieżyczki starego domu Priestlich, górując nad resztą budynków niczym strażnicze wieże.

Choć piękna, posiadłość zawsze przypominała mi domek dla lalek, który zapadł się sam w sobie. Wyblakła drewniana powierzchnia zapadła się pod dziwnymi kątami, podczas gdy narożniki wystawały niczym sztylety, przebijając się przez przerośnięte krzaki bluszczu. Budynek otaczał kamienny mur pokryty liśćmi; to był jedyny dom w Cedar Hill, który mógł poszczycić się taką prywatnością, jednak to gotycka aura bardziej odpychała intruzów niż zabezpieczenia.

Ludzie, którzy znali ten dom opowiadali o nim z niepokojem i podziwem, i często dla zabicia czasu wyobrażali sobie o nim własne historie.

Gdy miałam siedem lat matka opowiedziała mi o pięknej księżniczce, która spędzała całe dni w wieżyczkach starej rezydencji, ukrywając się przed zaaranżowanym małżeństwem z nieszczęśliwym i nudnym księciem. Jak skończyłam dziesięć lat dzieciaki z sąsiedztwa zdecydowały, że to zaczarowany dom podstępnej starej czarownicy. Zapełniała wielkie pokoje kotami i ropuchami, kociołkami i miotłami, a w środku nocy wznosiła się do nieba i przeczesywała dzielnicę w poszukiwaniu zabłąkanych dzieci, które powinny już dawno być w swych łóżkach. Kiedy poznałam Millie, opowiedziała mi o wampirach, które sterczały przed popękkanymi oknami, spoglądając na zewnątrz błyszczącymi, szkarłatnymi oczyma.

Potem, w wieku czternastu lat, kiedy kończyłam projekt szkolny na historię o Cedar Hill natknęłam się na mrożące krew w żyłach realia tej rezydencji. Nie było żadnych czarownic, księżniczek ani wampirów – jedynie historia o młodej kobiecie o imieniu Violet Priestly, która była pielęgniarką na linii frontu podczas drugiej wojny światowej i wróciła z niej jako drastycznie inna osoba. Pełne traumy wspomnienia dręczyły ją niczym duchy, aż halucynacje stały się zbyt silne by móc je ignorować. Niedługo po otruciu swojego męża i małego synka powiesiła się w foyer starej posiadłości.

Oczywiście potem nikt nie chciał jej kupić.

Nic nie mogło odgonić ciemności, która ogarniała posiadłość Priestly. Nawet podczas najgorętszego lata, kiedy ulice błyszczały fatamorganami rezydencję pokrywał charakterystyczny lód. Tak to trwało przez dekady, rezydencja przedstawiała latarnię z innego czasu i miejsca, całkowicie pustą i niewyciężoną.

Do dzisiejszego wieczoru.

Gdy zbliżałam się do rezydencji, wcierając ciepło w niespodziewanie zziębnięte ramiona i przeklinając swoją decyzję, żeby iść tą drogą, zdałam sobie szokującą sprawę, że dom kompletnie się zmienił odkąd widziałam go po raz ostatni. Ktoś nareszcie to zrobił... *naprawdę* to zrobił. Porzucona posiadłość Priestlich została wciągnięta do dwudziestego pierwszego wieku i znowu odżyła.

Stałam jak wryta.

Zardzewiałe bramy z kutego żelaza zostały szeroko otwarte i podparte o żywopłot, który nie wyglądał tak źle jak kiedyś. Wierzby płaczące zostały przycięte do niemal nienaturalnej schludności, odsłaniając okna na pierwszym piętrze, o których istnieniu nawet nie wiedziałam. Ścięto bluszcz, żeby odkryć solidne deski podłogowe i świeżo pomalowane czerwone drzwi oświetlone z obu stron latarniami w kształcie łez.

A w świetle tych latarni stały dwa czarne samochody SUV zaparkowane obok siebie na świeżo rozrzuconym żwirze.

Przy moim biodrze zawibrowała komórka – wiadomość od Millie informująca, że dotarła bezpiecznie do domu i niezamierzone przypomnienie, że ja jeszcze nie dotarłam. Niechętnie wznowiłam drogę, ale coś mnie zatrzymywało. Rezydencja Priestly, zamarznęte serce Cedar Hill znowu biło i niech szlag weźmie późną porę, ale musiałam dowiedzieć się więcej.

Wtedy właśnie coś wyczułam. Podniosłam wzrok ponad drzewa i dostrzegłam postać w oknie na piętrze. Chłopak. Nie byłam pewna jego wieku, ale nie można było pomylić jego jasnych oczu nawet z takiej odległości. Były za duże na jego delikatnej twarzy i kiedy przyglądały mi się z, wydawałoby się, innego świata zaokrągliły się w dyski, które nienaturalnie urosły. Nachylił się do przodu i przycisnął ręce do szyby, jakby zamierzał wypchnąć ją z ramy okna. Machał do mnie? Czy może kazał mi iść?

Uniosłam do niego dłoń, ale zamarła, lepka i niepewna, w powietrzu. A potem, równie szybko jak go spostrzegłam, dziwny chłopiec zniknął, rozpułnął się w ciemności, aż odnowiony dom znowu znieruchomiał.

Marszcząc brwi zsunęłam wzrok z pustego okna na podjazd, kiedy ciemność przede mną się ożywiła. Usłyszałam cichy szelest i zmrużyłam oczy, by dostrzec kolejną sylwetkę za jednym z samochodów. Garbił się, szukając czegoś w środku.

Próbowałam zwalczyć ochotę dociekania dalej, ale moje dłonie zaczęły drżeć po bokach, kiedy obezwładniła mnie ciekawość popychająca w kierunku domu. Zeszłam z chodnika, docierając do otwartych bram i szelest ustał. Zamknięto drzwi auta, a ciemność poniosła za sobą dźwięk kroków na żwirze. Postać wyprostowała się, jego głowa wyłoniła się zza pojazdu, poruszając się razem z hałaśliwym żwirem dopóki nie stanął pomiędzy budynkiem, a bramą, obserwując mnie, a ja jego.

Nawet pod latarnią był jedynie zarysem człowieka: wysokim cieniem z szerokimi barkami i pewnymi ruchami. Zatrzymał się i opuścił ramię, obniżając worek marynarki na ziemię z celową powolnością, dopóki nie leżała u jego stóp. Zrobił krok w bok i popychał go swoim butem, aż zniknął za najbliższym SUVem i z dala od moich wścibskich oczu. Ale już to zobaczyłam, cokolwiek *to* było i oboje o tym wiedzieliśmy.

Przechylił głowę na bok i podszedł bliżej, jeden pewny krok za drugim, skracając dzielącą nas przestrzeń. Z każdym jego krokiem moje serce biło coraz mocniej. Moja ciekawość się rozwiła, ustępując miejsca rzeczywistości: zostałam przyłapana na wtargnięciu na teren prywatny, a teraz ta ocieniona postać szła w moim kierunku.

Odwróciłam się i wypadłam na opuszczoną ulicę. Gdy odgłos ciężkich kroków przełamał trwającą za mną ciszę, zerwałam się do biegu, całkowicie nieprzygotowana na kota, który wyskoczył przede mną z przenikliwym miauknięciem. Jak wcisnęłam gwałtownie wewnętrzne hamulce, młóćąc ramionami po bokach, on wpadł na moje plecy, uciszając mój wrzask poprzez wyciśnięcie powietrza z moich płuc i wyrzucił mnie do przodu. Upuściłam torbę i wylądowałam z hukiem na chodniku, rozdzierając kolana i dłonie na betonie. Zakręciło mi się w głowie, poczułam nieprzyjemne chlupotanie kolacji w żołądku.

Nim zdołałam zrozumieć, co właściwie się wydarzyło albo jak zostanę zaraz zamordowana, zostałam podniesiona z mojej strefy bólu, podniesiona z chodnika i postawiona z powrotem na nogi tam gdzie stałam przed chwilą, jak gdyby ktoś wcisnął PRZEWIJANIE DO TYŁU.

Tyle, że tym razem coś było innego. Dotyk silnych dłoni na mojej talii. Trzymały mnie w pionie, kiedy chwiałam się, próbując odnaleźć równowagę.

- *Stai tranquillo, sei al sicuro.* – Słowa były tak dziwne i niespodziewane, iż myślałam, że je sobie wyobraziłam.

Opuściłam wzrok i zobaczyłam na sobie jego dłonie i nagle, jakby patrząc z góry, ujrzałam jak odprężam się w ramionach kompletnego nieznanego na opuszczonej ulicy, w środku nocy, przed najbardziej złowieszczym domem w całym Cedar Hill.

Nieznanego, który właśnie przyłapał mnie na wkraczaniu na teren jego posiadłości i przewrócił mnie na ziemię.

Widziałam wystarczająco filmów romantycznych, by docenić moment wart omdlenia – ale oglądałam również wystarczająco odcinków *CSI*. Nagle odepchnęłam od siebie obce ramiona i rzuciłam się do przodu. Kucnęłam i podniosłam moją torbę, dostrzegając grubą srebrną klamrę na jego skórzanym bucie zanim wstałam i zarzuciłam sobie szybko torbę przez ramię. Spojrzałam na niego, żałując, że nie mam w torbie czegoś do obrony, tak na wszelki wypadek. Ale on stał nieruchomo z twarzą ukrytą w cieniu. Nie wykonał kolejnego ruchu, żeby mnie zaatakować, a ja nie czekałam, żeby dać mu na to szansę.

- Nie idź za mną. – Mój głos brzmiał mocniej niż się czułam.

Obróciłam się i zaczęłam biec.

Usłyszałam, jak za mną woła, ale byłam już daleko.

Nie odwróciłam się, ale byłam przekonana, że czułam na karku oczy cienia – *jego* oczy – kiedy biegłam. W ciemności towarzyszył mi odległy dźwięk śmiechu.

Dotarłam do domu w rekordowym czasie. Po odłożeniu słoika miodu na parapet kuchenny i pokonaniu schodów na górę wtarłam sobie maść w piekące kolana i weszłam do łóżka. Po dłuższym czasie wpatrywania się szeroko otwartymi oczami w sufit i słuchania głuchego dudnienia w piersi, zapadłam w niespokojny sen o chłopcach w oknach, który zmienił się w koszmar o cieniach i słoikach miodu w czarnych kokardach.

ROZDZIAŁ TRZECI

PLOTKARA

Niewiele rzeczy mnie drażniło. Jednakże źródło tak rzadkiej irytacji zdołało wpełznąć do mojego domu i zrujnować słoneczny poranek nim zdążył się jeszcze na dobre zacząć.

- ...To nie jest dobry omen, Celine. Mam szósty zmysł do takich spraw...

Głos Rity Bailey, który był przenikliwszy od syreny policyjnej, z łatwością przeniknął do mojej sypialni pomimo faktu, iż znajdowała się całe piętro pode mną. Spojrzałam wilkiem w sufit. Nie chciałam słuchać o romansie Lany Green, o pogarszającej się łuszczycy Jenny Orin czy o skandalu ze wszami dzieciaków Tylerów. Lecz poziom głosu tej staruszki nie dawał mi innego wyboru. Będę musiała to przecierpieć w ten czy inny sposób i, biorąc pod uwagę przygnębiający bałagan w mojej sypialni sparowany z pragnieniem spożycia śniadania, postanowiłam stawić jej czoła i mieć już za sobą najbardziej nieprzyjemną część dnia.

Wysunęłam się z łóżka, pełzając wśród pogniecionych dżinsów i bluzek wywróconych na drugą stronę, żeby wyciągnąć jakiś biustonosz. Zrywając się na nogi i lawirując bez dotykania niczego – ponieważ czasami lubiłam się tak pobawić – podniosłam z podłogi parę dżinsowych spodenek i wybrałam sobie biały podkoszulek z moją ulubioną parą Conversów. Po nałożeniu trochę kremu nawilżającego i zaplątaniu włosów w szybkiego warkocza zesłam po cichu na dół, przygotowując się na to, w co się zaraz wpakuję bez kawy w organizmie i całkowicie przemęczona.

Rita Bailey, stara, korpulentna kobieta z krótko przyciętymi siwymi włosami i napiętymi, skurczonymi rysami twarzy garbiła się nad stołem kuchennym, sącząc kawę w swym oburzająco różowym spodniu. Obok niej moja matka uprzejmie znosiła jej towarzystwo, oferując cierpki uśmiech i mechaniczne skinienie głową we właściwych porach. Nawet posprzątała część stołu, która zazwyczaj kryła się pod projektami krawieckimi i stosem próbek materiału. Ograniczone teraz do jednego metra kwadratowego przestrzeni opierały się niepewnie o ścianę, grożąc zawaleniem się na obie kobiety.

Kiedy mieszkaliśmy w przestronnym czteropokojowym domu na Shrewsbury Avenue, moja matka miała dwa całe pokoje poświęcone nawałowi materiałów potrzebnych do szycia, ale tutaj jej prace w toku zawsze przelewały się z jednego pomieszczenia do drugiego, chodząc za nami w naszym ciasnym domu w każdym odcieniu i wzorze, jaki można sobie wyobrazić. Metry francuskiej koronki przewieszane przez fotele, walcząc o przestrzeń pod manekinami w krótkich letnich sukienkach i ozdobnych kreacjach wieczorowych. Odkąd przeprowadziłyśmy się tutaj półtora roku temu przy paru traumatycznych okazjach budziłam się z krzykiem na widok do połowy

wykończonej panny młodej manekin postawionej w rogu mojego pokoju albo w dżinsowej sukience, która nie powinna ujrzeć światła dziennego.

Nie chodziło o to, że matka nie miała pewnego systemu, po prostu tylko ona potrafiła go rozgryźć. Prawdopodobnie była najbardziej zorganizowaną zdezorganizowaną krawcową w całym Chicago i myślę, że to jej pasowało. Pani Bailey, która wpatrywała się zmrużonymi oczami w chwiejną górę materiału po drugiej stronie stołu, najwyraźniej to nie pasowało.

Wpadłam do kuchni, przykuwając jej uwagę zanim zmarszczyłaby sobie jeszcze bardziej twarz.

- Dzień dobry, pani Bailey. – *Nie było tak źle.*

Wlepiała we mnie oczy.

- Dzień dobry, Persefono.

Skrzywiłam się. Minęło trochę czasu odkąd słyszałam moje imię w swojej szkaradnej całości i, jak można się było spodziewać, nic się nie zmieniło – nadal było do bani. Ale sposób, w jaki staruszka je wymawiała zawsze zdawał się je pogarszać, gdy przeciągała samogłoski, jakby mówiła do pięciolatki – *Perr-se-fooo-no.*

- Wolę Sophie – odpowiedziałam z poziomem irytacji, który zwykle towarzyszył temu tematowi.

- Ale Persefona jest o wiele ładniejsza.

- Cóż, nikt mnie tak nie nazywa. – To nie było moje imię i dobrze o tym wiedziała. To był jedynie symbol chwilowej obsesji mojej matki na punkcie greckiej mitologii, która – niezbyt fortunnie – zbiegła się z czasem moich narodzin. Na szczęście ojciec zrezygnował z wymawiania pełnego imienia w pierwszym roku mojego życia. Nie potrzebował długo, by wymyślić „Sophie” jako alternatywę – imię, którego pewnie pragnął od samego początku i za które byłam mu dożgonnie wdzięczna z dwóch powodów: 1. że nie musiałam iść przez życie z ledwie wymawialnym reliktem za imię i 2. że nie przezwał mnie „Persy”. Gdy matka przyznała się do porażki, zostałam „Sophie” na dobre. Prosto, łatwo i wymawialnie.

- Skąd pani w ogóle wie o tym imieniu? – dodałam po namyśle. Przez te wszystkie razy, kiedy pani Bailey celowo zwracała się do mnie złym imieniem nigdy nie pomyślałam jak odkryła jeden z moich najlepiej dotrzymanyh sekretów. Z drugiej strony była pierwszą osobą, która odkryła lokalizację naszego nowego domu, kiedy się przeprowadziliśmy pomimo faktu, że staraliśmy się to przed nią ukryć i znajdował się prawie godzinę drogi od Shrewsbury Avenue. Może *rzeczywiście* była jasnowidzką.

- Zobaczyłam raz na liście.

- Gdzie?

- Nie pamiętam. – Brzmiała na urażoną moim pytaniem. – Być może wypadł z waszej skrzynki.

- Mmhm. – *Wścibska baba*, dodałam w myślach.

Obok mnie matka przesuwiała palcem po brzegu filiżanki.

- Sophie – skarciła mnie łagodnie – może porozmawiamy o czymś innym?

- Dlaczego? Wciąż próbujesz uchylić się od winy za nadanie mi najbardziej odrażająco upokarzającego imienia, o jakim mogłaś pomyśleć? – Chociaż głos miałam lekki, żartowałam tylko w połowie. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie dla mamy; uważała moje oburzenie za niewytłumaczalnie zabawne. To miało chyba sens. Wszak cały ten żart był jej i chodził za mną dzięki ludziom takim jak pani Bailey albo wujek Jack, który wykorzystywał je jako broń, kiedy wściekał się na mnie za drzemanie w restauracji.

- Sądzę, że imię Sophie jest równie śliczne. Pasuje ci – odparła ulegle mama uśmiechając się leciutko do swojej filiżanki, dopóki nie widziałam jedynie koniuszków jej delikatnie łukowatych brew. Poczułam maleńkie ukłucie zazdrości ze względu na ich symetrię. Wszystko się jej tyżące było delikatne i wytworne, jak u chochlika. Poprzez czary genetyki przekazała mi jedynie swoje słoneczne włosy i twarz w kształcie serca. Ale, poprzez cud naśladownictwa, nabyłam również jej skłonność do ekstremalnego niechlujstwa i niezdolności gotowania. Wstrzymywałam się z opinią skąd wziął się mój drobny wzrost, ponieważ nadal miałam nadzieję, że jakimś cudem urosnę o jakieś osiem centymetrów przed siedemnastymi urodzinami, które szybko się zbliżały.

Na wyraz „Sophie” pani Bailey wydała długi dźwięk szorstkiej dezaprobaty, co brzmiało jakby się dusiła i, przez krótką chwilę, mała, pozbawiona morałów część mnie miała na to nadzieję.

Podeszłam do blatu, żeby napełnić sobie kubek i kątem oka zauważyłam słoik miodu na parapacie. Promienie słońca mrugnęły do mnie przez szkło, jak mówiły „Dzień dobry!” *Szkoda byłoby go nie spróbować*, postanowiłam. Wyciągnęłam łyżkę i odkręciłam wieczko, odkładając na bok postrzępiony materiał, który go przykrywał i uważając by nie ruszyć czarnej wstążki.

Pani Bailey praktykowała za mną swoje ulubione hobby – sztukę lamentowania.

- Persefona to *o wiele* bardziej eleganckie imię. Może teraz do niej nie pasuje, ale zawsze może spróbować i *dorosnąć* do niego.

- Dzięki, ale sądzą, że zostanę przy Sophie i dalej będę żyć we współczesnym świecie.
- Zanurzyłam łyżkę w miodzie i zakręciłam nią.

- Wyglądasz na *bardzo* zmęczoną dziś rano, Sophie. – Pani Bailey poinformowała tył mojej głowy, wymawiając z trudem moje imię.

Lekceważąc jej docinek, jak również cywilizowaną opcję, żeby dodać miodu do płatków albo posmarować nim grzanekę, wsadziłam czubiastą łyżkę prosto do buzi.

- Odżyje, kiedy tylko napije się kawy – wyjaśniła mama ponad moim ramieniem. Napięta nuta w jej zwykle spokojnym głosie poinformowała mnie, że jej cierpliwość w końcu była na wyczerpaniu. Nawet po partactwie mojego ojca udało jej się zachować nieludzki poziom uprzejmości, co znaczyło, że nadal była zbyt grzeczna, żeby wygnać stąd sześćdziesięcioletnią, samotną, *irytującą* panią Bailey, nawet kiedy jej rozmowy zawierały głównie dezaprobatę i dwuznaczne komplementy.

- Jesteś pewna, Celine? Wydaje się wykończona. Jest cieniem tego, jak powinna wyglądać szesnastoletnia dziewczyna. Powinna wyjść na słońce, poopalać się. Kiedyś była taka ładniutka.

Serio? Odpowiedziałabym taką samą złośliwością, ale miód zlepił mi zęby.

Mama westchnęła cicho – to była jej specjalność. Westchnienie było na tyle niejednoznaczne, że mogło znaczyć cokolwiek dla kogokolwiek – „Jestem zmęczona/szczęśliwa/rozczarowana” – ale miałam przeczucie, że jego zamiarem było uprzejme zamknięcie tematu.

Opierając się pragnieniu, by zabrać kawę i uciec, odwróciłam się i zajęłam miejsce przy stole kuchennym, ciągnąc nogi krzesła po posadzce tak głośno jak tylko mogłam i rozkoszując się wyrazem dyskomfortu na twarzy pani Bailey.

OK, paniusiu. Zaczynajmy.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam w niczym ważnym. – Ciężkie, polane miodem słowa zamaskowały sarkazm w moim głosie. Wzięłam pierwszy cudowny łyk kawy i poczułam, jak para wznosi się i ogrzewa mi nos.

- Właściwie, to *przeszkodziłaś*.

Cóż za niespodzianka. Zdawać by się mogło, że cały czas przeszkadzałam w przełomowych nowinkach pani Bailey.

- Właśnie mówiłam twojej matce, że nowa rodzina wprowadziła się do domu Priestly na Lockwood Avenue.

Byłam całkowicie zszokowana nieoczekiwanym zainteresowaniem tym, co miała do powiedzenia pani Bailey. Ale proszę bardzo, oto słuchałam uważnie głównej plotkary Cedar Hill, jakby właśnie miała ogłosić fabułę ostatniego odcinka mojego ulubionego serialu. Zaatakowała mnie seria pytań. *Skąd pochodzą? Jak są spokrewnieni z rodziną Priestly? Dlaczego ma pani na sobie ten zwariowany różowy kostium?*

- Dobrze byłoby ujrzeć jakieś nowe twarze w sąsiedztwie – wtrąciła mama nim zdążyłabym coś powiedzieć.

Staruszka potrząsnęła głową, jakby dostała ataku. Przechyliła się przez stół i spojrzała po nas znacząco, jakby prosiła o naszą niepodzielną uwagę, którą wiedziała, że już miała. Zniżyła głos.

- Wiesz, że mam dar wzroku, Celine. Widuję pewne rzeczy od dziecka...

Musiałam podmuchać w kawę, żeby ukryć uśmiezek.

- Parę tygodni temu przechodziłam obok starego domu Priestlich i zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Gdy zobaczyłam remont i ciężarówki z firm przeprowadzkowych wszystko nabrało sensu. Ten dom znów jest pełen i *wiem*, że to nic dobrego.

- Może nie powinniśmy wysuwać pochopnych wniosków – zaproponowała mama. Przez obojętność jej głosu poznałam, że jej skupienie zaczynało maleć. Zaczęła szarpać za nitkę w swoich spodniach capri, marszcząc brwi.

Myślałam o tym, żeby również kazać się wyluzować pani Bailey, ale ona przeniosła wzrok na nasze podwórko, jak gdyby zaglądała w inny wymiar pełen sekretów. Ale w rzeczywistości gapiła się na roślinę w doniczce na parapecie. Zmrużyła oczy i westchnęła, pewnie zauważając, że jest martwa.

- Nic dobrego nie wyjdzie z pięciu młodych mężczyzn robiących zamieszanie w sąsiedztwie, bo *dokładnie* to będą robić, Celine. Zapamiętaj moje słowa.

Znowu pokręciła głową, ale każdy przycięty siwy kosmyk jej włosów pozostał idealnie nieruchomy, jak gdyby wszystkie zamarzły.

- Chwila, pani powiedziała *pięciu* facetów? – Widziałam już dwóch. Cóż, jednego, tak jakby. Drugi mnie przewrócił. Zmarszczyłam brwi na to wspomnienie. Nawet po nocy pełnej refleksji nadal nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Pani Bailey była oczywiście zgorzona moim zainteresowaniem. Otwierała i zamykała usta, jakby próbowała znaleźć słowa na to, jak wielką byłam kompromitacją.

- Pięciu młodych, *niepokojących* mężczyzn – wydyszała w końcu, przyciskając dłoń do piersi dla efektu. – Widziałam jak się wprowadzali i mogę ci powiedzieć, że nie wyglądają na przyzwoite typy.

Czyż nie to samo powiedziała pani o moim ojcu? Chciałam zapytać, ale ugryzłam się w język. Kłótnia nie była tego warta. Nigdy nie była. Poza tym otrzymałam wszystkie informacje, których potrzebowałam: W sąsiedztwie pojawiła się nowa rodzina chłopców. Millie zemdleje ze szczęścia, kiedy jej to powiem.

Wstałam zdekoncentrowana, żeby zanieść wypełniony do połowy kubek do umywalki.

- Myślę, że posiadanie nowych sąsiadów jest całkiem fajne.

- Co w tym takiego *fajnego*? – Pani Bailey rzuciła pytaniem w moje plecy niczym nożem.

Odwróciłam się.

- Co w tym *nie* jest fajnego? Nikt nigdy nie przyjeżdża do Cedar Hill z własnej woli. To miasteczko jest okropnie nudne. Wydaje się, że zaraz wszyscy tutaj skamieniejemy. – *Może niektórzy już to zrobili...* Znowu ugryzłam się w język.

- Nie trzeba być takim dramatycznym – odparła.

Mrugnęłam twardo, by powstrzymać się od przewrócenia oczami.

- Jestem pewna, że z tymi chłopcami wszystko jest w jak najlepszym porządku – powiedziała rozsądnie mama, grzebiąc w swoim zestawie krawieckim. Wiedziałam, że jest bardziej zainteresowana odszukaniem igły, żeby naprawić pojedynczą nitkę w spodniach, które ją zdradziły.

Pani Bailey nadal utrzymywała twardo zmarszczoną minę.

- Nie, Celine, w tym wszystkim jest coś nie tak. Ten dom był pusty zbyt długo. I wszyscy znamy powód.

- Duchy – szepnęłam dramatycznie. Chciałam dodać „Oooo”, ale stwierdziłam, że to może przesada.

Pani Bailey podniosła się gwałtownie z krzesła, zarzucając szal na ramiona w widowisku niezdarnego wzburzenia. Kiedy znowu się odezwała, mówiła cicho.

- Możesz sobie żartować ile chcesz, Persefono, ale lepiej uważaj.

Zerknęłam na mamę i zdziwiłam się, że znowu skupiała się na naszej rozmowie.

- Zła sława przyciąga złą sławę – mruzczała pani Bailey, nie patrząc na żadną z nas. – Po tym, co uczynił twój ojciec najlepszym byłoby uważać...

- Myślę, że już wystarczy, Rito. – Matka podniosła się z miejsca, wbijając gniewne spojrzenie w staruszkę. – Sophie potrafi o siebie zadbać. Cały czas na siebie uważa.

- Tak – potwierdziłam jakby z daleka. Myślałam o tym, jak wczoraj wpakowałam się w kłopoty. Na to wspomnienie odezwało się pieczenie kolan.

ROZDZIAŁ CZWARTY

LIST

Słowa pani Bailey rozpały coś, do czego przyzwyczaiałam się aż za bardzo przez ostatnie półtora roku mojego życia: wyrzuty sumienia związane z tatą.

Wracając do mile widzianego zacisza mojej sypialni, usiadłam po turecku na wiecznie nieposłanym łóżku. Ściskając w jednej ręce ostatnią kopertę z więzienia wyciągnęłam z niej ostrożnie list i zanurzyłam się w życie mojego ojca, które – przynajmniej na razie – było ograniczone do stron, które wysyłał mi co kilka tygodni.

Kochana Sophie,

Przepraszam, że długo nie pisałem. Lubię czekać, dopóki nie mam czegoś do powiedzenia, nawet jeśli nie jest tak interesujące jak życie w Cedar Hill. Nie chciałybym być pomyślana, że robię się jeszcze nudniejszy niż przed odejściem. Szczerze mówiąc staram się wykorzystać jak najlepiej czas tutaj spędzony. Chcę dać Ci coś, z czego znowu będziesz mogła być dumna.

Ucieszysz się na wieść, że w zaledwie dwa dni skończyłem Paragraf 22, co znaczy, że nareszcie coraz szybciej czytam. Jak wrócę będę posiadał wiedzę profesora od angielskiego i może nawet napiszę własną książkę.

Mam nadzieję, że Twoje wakacje mijają spokojnie. Staraj się nie przejmować zbyt wiele wychodzeniem na słońce – to Ty będziesz śmiała się ostatnia, kiedy wszyscy Twoi znajomi będą przedwcześnie się starzeć, a Ty wciąż będziesz mieć skórę nastolatki.

Jak tam w restauracji? Liczę, że wujek Jack się Tobą opiekuje. Wiem, że naprawdę stara się najlepiej jak umie, więc nie bądź dla niego ostra. Jestem pewien, że jeśli go poprosisz, to da Ci trochę wolnego czasu, byś mogła odbyć jakąś przygodę z Millie.

Przy temacie twojego wujka myślałem sobie, że może i jemu mogłabyś zaproponować coś do czytania. Dobrze by mu to zrobiło na odstresowanie. Może coś z kolorowymi obrazkami i wielkimi, pogrubionymi literami? Tylko żartuję. Nie mów mu o tym! Naprawdę się o niego martwię, co może brzmieć ironicznie biorąc pod uwagę okoliczności, ale liczę, że będziesz miała oko na niego i jego ciśnienie. Niestety nie robimy się wcale młodszy.

Co u Twojej mamy? Czy pamiętała o naprawie zmywarki, czy może zmusiła Cię do spełnienia Twojego planu co do napełnienia zlewu? Mam nadzieję, że przestała się pracować, ale wiem, jakie to nieprawdopodobne. Proszę, powiedz jej, że o niej

myślę, jeśli zapyta, a mam taką nadzieję. Od pewnego czasu nie mam z nią kontaktu, ale wiem, że wciąż sobie wszystko przetwarza. Sytuacja jest dla niej trudna, tak jak i pewnie dla Ciebie.

Minęło tyle czasu odkąd Cię widziałem. Bardzo bym pragnął, byś przyszła w odwiedziny, kiedy dostaniesz jakieś wolne. Może po Twoich urodzinach, kiedy wszystko się znowu uspokoi? Jack Cię podwiezie, jeśli poprosisz. Brakuje mi Twojego nastoletniego sarkazmu, pomimo tego, co możesz sądzić.

Na razie to tyle. Nie mogę się doczekać Twojego następnego listu i, jak zawsze, myślę o Was i odliczam dni.

Kocham,

Tata

Wsunęłam list z powrotem do koperty i odłożyłam na stolik nocny. Próbowałam otrząsnąć się z melancholii. Nawet po tych wszystkich listach ojca nadal robi mi się smutno, kiedy je czytam, ale wiedziałam również, że ich brak byłby tysiąc razy bardziej bolesny.

Z ciężkim sercem podparłam notes na kolanach i zaczęłam pisać odpowiedź, cenzurując negatywne części mojego życia i podkreślając pozytywy. Nawet gdyby cały świat usuwałby mi się spod stóp nie powiedziałabym o tym ojcu, ponieważ on – ze wszystkich ludzi w moim życiu – potrzebował dobrych wieści we wszelkiej formie. I nieważne jak byłam wściekła i sfrustrowana, dam mu to, czego potrzebuje do przetrwania.

Cześć, tato,

Gdy to piszę, podpieram notes na dwóch zdartych kolanach i posługuję się obolałą ręką. Jeżeli zastanawiasz się dlaczego tak jest, to wracając wczoraj do domu zderzyłam się z chodnikiem.

Jakiś dziwaczny cień gonił za mną i powalił na ziemię. Ale to nic takiego, ponieważ nie pozwoliłam mu się zabić (nie musisz dziękować), a teraz jestem pewna, że nie takie były jego intencje. Pewnie gonił za mną jak wariat żeby zapytać, dlaczego podkrađłam się na jego podjazd w środku nocy. Nastolatki, co?

Na szczęście przeżyłam, by Ci o tym opowiedzieć, choć nie powiem by przetrwała moja duma. Jednak sądzę, że to doskonały początek listu i mogę się założyć, że lekko się uśmiechnęłaś.

Mam nadzieję, że coś dobrego wyszło z tego wypadku, ponieważ uciekłam do domu w stanie cierpienia i paranoi.

Miło wiedzieć, że czytasz. Myślę, że napisanie książki to cudowny pomysł. Mówią, że to bardzo terapeutyczne.

Nie wiem, kim są „oni” i czy to prawda. I mam szczerą nadzieję, że kiedy mówisz o książce to nie masz na myśli autobiografii, ponieważ nie szaleję za myślą, by ponownie przeżywać historię Twojego procesu o morderstwo w formie papierowej, nieważne jak uspokajające byłoby to dla Twojej psychiki. I nie cieszy mnie perspektywa patrzenia, jak mama znowu przechodzi ataki lęku.

Nie miałam możliwości, by robić coś innego poza pracą w te wakacje i powoli się do tego przyzwyczajam.

Pogodziłam się ze stałą monotonią mojego życia.

Wujek Jack ma się świetnie. Wciąż stara się jak może, żeby wejść w Twoją rolę, choć jest troszeczkę bardziej zrzędlivy od Ciebie. Może to przychodzi ze średnim wiekiem? ;-) Często jeździ do miasta. Millie i ja mamy teorię, że spotkał tam kobietę, ponieważ do jakich „miastowych spraw” jeździłby tak często? Jak myślisz, nasz Jack Casanową? Hmm... warto to przemyśleć. Jeżeli to prawda, to nie musimy martwić się jego zdrowiem, jeśli tylko jego serce miewa się dobrze.

Chociaż znając wujka Jacka idę o zakład, że to bardziej brudny romans niż epicka miłość. Jak na razie nic nie może wypełnić dziury, którą zostawiłeś w jego życiu.

Dziękuję za słowa, że będę się śmiać ostatnia, kiedy wszyscy moi znajomi zmarszczą się jak suszone śliwki w późniejszych latach za spędzanie tyle czasu na słońcu.

Schlebiasz mi, sugerując, że wciąż mam więcej niż jedną prawdziwą przyjaciółkę i mam nadzieję, że naprawdę tak sądzisz. Gdybyś wiedział ile odwróciło się ode mnie osób to chyba złamałoby Ci serce.

I szczerze mówiąc cieszę się, że nie siedzę na słońcu, ponieważ wiem, że czas spędzany pod dachem przyczynia się do ostatecznego celu zakupu samochodu. Nie wiem, jak będę świętować siedemnaste urodziny, ale pewnie nie będzie to nic ekstrawaganckiego.

Rodzice Millie wyjeżdżają, więc ona i Alex urządzają wielką imprezę, na której pojawią się jego koledzy ze studiów. Gdybyś tu był, byłbyś bardzo temu przeciwny. Ale cię nie ma.

Myślę, że mama chce mi zrobić sukienkę na urodziny. Ilekroć widzi mnie w dresie światło w jej oczach leciutko przygasa. Jeżeli nie założę wkrótce czegoś wytworzonego, to chyba umrze w środku. W zeszły sobotni poranek przyłapałam ją na mierzeniu mnie we śnie.

Jeżeli zobaczę na tej sukience jedną falbankę czy choćby coś jaskrawego, zrobi się brzydko.

Pracuje więcej niż zwykle, z czego wydaje się cieszyć.

Ja również opuściło większość przyjaciół po tym wszystkim, co się wydarzyło, a ci, którzy zostali już do nas nie przychodzą. Mama chyba straciła swój towarzyski blask.

Wiem, że zeszły rok był ciężki dla nas wszystkich, ale teraz wydaje się szczęśliwsza i jestem pewna, że brakuje jej Ciebie tak mocno jak mnie.

Czasami mam wrażenie, że nienawidzi Ciebie i wszystkiego, przez co przeszliśmy przez Twoje wylądowanie w więzieniu. Czasami ja też tak czuję.

Pani Bailey znowu zaczęła do nas przychodzić niedzielami. Wcześniej stwierdziłam, że jest możliwie najbardziej irytującą osobą na całej tej planecie. Myślisz, że mogłaby być potomkinią Lucyfera? Tak sobie myślę.

Irytująca to niedopowiedzenie. Nie wiesz, jakie bzdury o Tobie opowiadała. A Millie pewnie opowiedziała mi tylko połowę.

Była tutaj dziś rano, opowiadając o nowej rodzinie, która wprowadziła się do starej rezydencji Priestly. To chyba jacyś odlegli krewni. Dziwne, co? Myślałam, że to miejsce będzie już wiecznie opuszczone.

Jest pełne chłopców chłopców chłopców!

Odwiędzę Cię za kilka tygodni po urodzinach, kiedy zrobię sobie wolne od knajpy. Naprawdę nie mogę się doczekać.

Boję się zobaczyć jak chudo i nieszczęśliwie wyglądasz. Za każdym razem mam ochotę wybuchnąć płaczem.

Na razie to wszystko. Bardzo za Tobą tęsknię.

Czasami to prawdziwy fizyczny ból.

Ciągle o Ciebie myślę.

Chciałabym móc to wyłączyć, jak przełącznik.

I odliczam dni.

Odliczam lata.

Przesyłam mnóstwo całusów i uścisków,

Sophie X

ROZDZIAŁ PIĄTY

BRACIA PRIESTLY

Stałam z opuszczoną głową, przyciskając nos do blatu, pragnąc by czas przyspieszył. Nawet podczas najpracowitszych godzin dnia restauracja nigdy nie była zalana gośćmi, ale dzisiejszego wieczoru było niezwykle cicho. Pozostała jeszcze godzina do wyjścia i minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Na domiar złego zepsuła się klimatyzacja, dusząca wilgoć podkreślała końcówki moich włosów i dostawca nie pokazał się trzeci dzień z rzędu, co znaczyło, że kończyły nam się pewne składniki z menu.

Millie kręciła się za mną, szturchając mnie w ramię. Wszak była w połowie kobietą, w połowie pytaniem.

- Zatem jeżeli ci przypadkowi krewni Priestlich *właśnie* się wprowadzili, to ten facet cień *był* pewnie jednym z pięciu chłopców?

- Ta – odparłam, ziewając. – Prawdopodobnie.

Zaśmiała się, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką usłyszała.

- Jakie upokarzające.

Podniosłam głowę.

- Lepiej być upokorzoną niż martwą.

- Oj, daj spokój, Soph – uśmiechnęła się – *gdzie* twoje poczucie przygody?

Udałam, że zastanawiam się nad jej pytaniem.

- Myślę, że głęboko zakopane pod naturalnym instynktem przetrwania.

- Mogłaś obściskiwać się z cieniem! – Jej twarz błyszczała.

- *Albo* zostać przez niego brutalnie zamordowana – odparowałam.

- Ugh, psujesz zabawę.

- Co ty na to – powiedziałam. – Następnym razem, kiedy będę w ryzykownej sytuacji z całkowitym nieznanym przyrzekam, że spróbuję go pocałować.

- Bah! Nie składaj obietnic, których nie dotrzymasz. Nie chcę robić sobie nadziei.

Rozbrzmiał dzwonek nad drzwiami i do restauracji weszły trzy dziewczyny. Rozpoznałam dwie ze szkoły. Erin Reyes i Jane Leder miały zgryźliwość we krwi i długie nogi, i mogłyby zarabiać na krytykowaniu innych. Zaskoczył mnie ich widok „U

Gracewellów” – nie była to żadna popularna miejscówka. Z drugiej jednak strona knajpa posiadała ich ulubioną atrakcję – mnie. Mogło minąć prawie półtora roku od uwięzienia mojego ojca, ale to *wciąż* był ulubiony temat Erin.

Podłapała mój wzrok i uśmiechnęła się szyderczo, i starałam się nie wzdrygnąć, kiedy szepnęła teatralnie do trzeciej dziewczyny, która przyglądała mi się badawczo.

- To ona. *Naprawdę* tu pracuje, w miejscu, gdzie to się *stało*. Możecie w to uwierzyć?

Pozostała dwójka zachichotała, a ja poczułam ciepło napływające do policzków.

- Ugh – odezwała się Millie, która miała tyle samo cierpliwości do rutynowej złośliwości, co ja. – Zajmę się nimi. A jeśli nie będą uważać, przyniosę im karty razem z kopem w... - Urwała, okrążając ladę, żeby je obsłużyć.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością do jej potylicy. Knajpa „U Gracewellów” przeważnie adresowała swoją ofertę do ludzi pracujących w miasteczku albo do miejscowych rodzin, które przychodziły tutaj od lat. Ale od czasu do czasu wpadały tutaj wścibskie żmije ze szkoły, by pogapić się na niesławną restaurację Michaela Gracewella, a Millie brała ten cios na siebie i obsługiwała ich, bym ja nie musiała.

Zaczęłam z roztargnieniem poprawiać wiązanie mojego fartucha, przewijając sznurki w nierówną kokardę.

- Czy ty dzisiaj *cokolwiek* zrobisz, Sophie?

Ursula, zastępczyni kierownika „U Gracewellów”, wróciła z kuchni. Miała prawie tyle samo lat, co pani Bailey, ale była *nieskończenie* fajniejsza, ponieważ farbowała włosy na fiolet i potrafiła poprowadzić rozmowę, która nie wpływała negatywnie na moją chęć do życia. Wskazała w kierunku Millie, która podawała karty menu trzem dziewczynom.

- Daj spokój. Nie ma tu nikogo innego, a nie mogę przecież obsługiwać opuszczonych stolików – zaprotekowałam.

Śmiech Ursuli był ochryply, zdradzając jej nałóg palenia.

- Mówię tylko, że wyglądasz dziś na rozkojarzoną. – Poprawiła sobie okrągłe okulary na nosie, dopóki nie powiększyły jej oczu. – Albo powinnam raczej powiedzieć bardziej rozkojarzona niż zwykle.

- To dlatego, że *jest* rozkojarzona, Ursulo. – Millie wróciła i zdjęła swój fartuch. Wychodziła godzinę wcześniej ode mnie i w tej chwili leciutko nią za to gardziłam. – Powinniśmy powiedzieć Ursuli.

- Tak, powinniśmy – powtórzyła Ursula, przesuając się w bok, żeby podeprzeć się o ścianę obok mnie. Byłyśmy dokładnie tego samego wzrostu, więc mogła wlepić swoje oczy w moje bez najmniejszego wysiłku.

- Ale nie *mam* nic do powiedzenia – przysięgam.

- Kłamstwa! – Millie stanęła przed blatem, trzymając bluzę w ręku. Założyła ją, uśmiechając się tak szeroko, że można było zobaczyć niemal cały jej aparat. Zapięła bluzę i jej identyfikator MILLIE WSPANIAŁA – nie wiem jak udało jej się to ukryć przed wujkiem Jackiem – zniknął. Potem pochyliła się do przodu, aż jej włosy musnęły ladę i ściszyła głos. Ursula zareagowała jak magnes, podchodząc bliżej i skupiając się całkowicie na Millie.

- Pewnie w to nie uwierzysz – zaczęła Millie, wskazując na mnie subtelnym ruchem kciuka. – Ale Sophie zauroczyła się w cieniu. To prawdziwe zauroczenie. Zdarza się tak rzadko jak zaćmienie słońca, ale zdarza. Nasza Sophie ma czuba na punkcie cienia.

Ursula ściągnęła brwi tak bardzo, że prawie się dotykały.

- Co takiego?

- Ona żartuje – wyjaśniłam, rzucając Millie zabójcze spojrzenie.

- Czyżby, Sophie? Czyżby? – Uśmiechnęła się sugestywnie w swój własny sposób. – Ursulo, będę musiała cię prosić, żebyś przejęła tamten stół *wspaniałych okazów*, skoro wychodzę – powiedziała, pokazując w stronę Erin i jej koleżanek siedzących w rogu, po czym przeszła przez restaurację i krzyknęła: - Do zobaczenia jutro!

Gdy Millie wyszła, Ursula przeniosła przenikliwe spojrzenie na mnie.

- Więc o co chodzi z tym całym cieniem?

- Nic, naprawdę. Taka nowa rodzina wprowadziła się do domu Priestly i wydaje mi się, że wpadłam na jednego z nich innego wieczora, ale potem od niego uciekłam, a teraz Millie uważa, że to najzabawniejsza i najbardziej tragiczna rzecz, jaka mogła się wydarzyć. – Chwyciłam za szmatkę i zaczęłam wycierać ladę, która już lśniła czystością.

Ursula zmrużyła oczy, jak gdyby próbując rozgryźć czy było coś więcej w tej historii, ale zanim zdążyłaby zacząć zadawać pytania znów rozbrzmiał dzwonek nad drzwiami.

Na tle naszego nagłego milczenia w restauracji pojawiły się dwie postaci.

Staralam się nie gapić otwarcie. Trudno zignorować jednego wysokiego, ciemnego i przystojnego chłopaka, ale niemal niemożliwym jest zignorować takich dwóch.

Zatrzymali się tuż za drzwiami, ich szerokie bary ocierały się o siebie, kiedy tak stali obok siebie. Zaczęli rozglądać się militarnie po knajpie jak gdyby szukali czegoś, co mogłoby kryć się pod którymś ze stolików albo zwisać z sufitowych wentylatorów.

Ursula i ja bez namysłu zrobiliśmy krok do przodu.

Było w nich coś nonszalancko modnego – ich ciemne, proste dzinsy były uszyte tak idealnie, że kończyły się tuż nad drogimi skórzanymi butami, które pewnie kosztowały

więcej niż cała moja garderoba i nosili projektanckie koszulki zaakcentowane prostymi srebrnymi łańcuszkami na szyjach.

Przyjrzałam się chłopcu po prawej, czując jak coś się we mnie przebudza. Znałam jego kształt, jego wzrost. Opuściłam wzrok i rozpoznałam srebrne kłamry na jego butach.

Nie tylko Ursula i ja byłyśmy beznadziejnie rozkojarzone; zauważyłam, że trzy dziewczyny w rogu przerwały rozmowę i nagle wyglądały na o wiele bardziej głodne niż chwilę temu. Nie miałam im tego za złe. Ci dwaj wyglądali jakby urwali się z jakiegoś filmu.

Nie patrząc na nas, sunęli – tak, sunęli – do łóżki pod oknem i zajęli miejsca, nie przerywając cichej rozmowy.

- Możesz ich wziąć, kochana? – westchnęła Ursula. – Nie sędzę, że dam radę obok nich stać. To zbyt przygnębiające. – Przeszła przez restaurację, by obsłużyć dziewczyny w rogu.

Moje nocne spotkanie wydawało się być tylko złym snem, ale kiedy Chłopiec Cień pojawił się tutaj zdałam sobie sprawę, że będę musiała stawić czoła rzeczywistości tej sytuacji – on był górą Olimp, ja byłam knajpą „U Gracewellów” i wciąż nie miałam pojęcia dlaczego mnie przewrócił. Przy odrobinie szczęścia istniało prawdopodobieństwo, że mnie nie rozpozna.

Chociaż ich oczywiste podobieństwo kazało mi sądzić, że są braćmi, to fakt, iż rozmawiali po włosku, kiedy podeszłam do ich stolika to potwierdził – to był ten sam melodyjny dialekt, którym przemówił do mnie Chłopiec Cień.

- Witam, nazywam się Sophie i będę was dzisiaj obsługiwać – wyrecytowałam dziarsko, podając każdemu kartę menu.

Chłopiec Cień wyrывał się z rozmowy. Odwrócił się i z bliska był młodszy niż się spodziewałam – być może nadal starszy ode mnie z orzechowo-brązowymi włosami, które zawijały się pod uszami i ciemnymi oczami w kształcie migdałów, w których lśniły drobinki złota. W tym momencie poczułam uderzenie, nie przez jego przystojność, ale uczucie znajomości. Nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że już gdzieś widziałam jego twarz – dawno temu – i choć była bez wątpienia przystojna, miałam nieprzyjemny przymus, by odwrócić od niej wzrok. Próbowałam się z tego otrząsnąć. Po prostu zszokował mnie jego widok. Gdybym już go gdzieś widziała, to bym tego nie zapomniała.

- Sophie – powiedział cicho, patrząc mi w oczy. – Chyba poznaliśmy się tamtej nocy.

Mina mi zrzedła. Złożyłam przed sobą ręce, kiedy jego oczy przeszukiwały moje z intensywnością, do której nie przywykłam. Jego brat, który zdawał się kompletnie niezainteresowany naszą wymianą zdań, przeglądał menu w milczeniu.

Chłopiec Cień uśmiechnął się.

- Próbowałem ci tylko pomóc wstać, wiesz.

- Aha – powiedziała, przybierając, miałam taką nadzieję, nonszalancką minę. – Masz na myśli po tym, jak sam mnie przewróciłeś? Jakie to miłe z twojej strony.

Jeżeli go uraziłam, to tego nie okazywał.

- Zatrzymałaś się tak nagle, że nie miałem czasu zwolnić... I *próbowałem* cię przeprosić, ale jeśli dobrze pamiętam to uciekłaś.

Uśmiechnęłam się niezręcznie.

- Być może przesadziłam...

- Nic się nie stało – powiedział, podnosząc rękę. – Ale czy zawsze jesteś taka obronna?

- To zależy, czy ty jesteś zawsze taki... ofensywny?

- *Non lo so* – powiedział cicho, a jego brat siedzący naprzeciwko i studiujący menu zachichotał cicho. Byłam zdumiona jak łatwo przechodził z jednego języka do drugiego i leciutko zaciekawiona, czym byli rozbawieni.

- To podchwytliwe pytanie – podjął po chwili Chłopiec Cień, jakby wyczuwał moje rozdrażnienie. Zmarszczył brwi i przechylił się przez stół. – Przepraszam za całą tę sytuację, Sophie. Chciałem cię tylko o coś zapytać. Ale wtedy tak gwałtownie się zatrzymałaś i... - urwał, starając się bardzo, by wyglądać na zawstydzonego.

- Pojawił się kot i nie chciałam go zdeptać.

- Ach, rozumiem.

- Ale wtedy *ty* próbowałaś zdeptać mnie, więc nie jestem pewna czy było warto.

- Już mówiłem – powiedział konspiracyjnie – że chciałem cię o coś zapytać.

- Czy zawsze zadajesz pytania tak agresywnie? Nie byłby z ciebie skuteczny przesłuchujący.

- Może masz rację – przyznał z lekkim uśmiechem. – Ale i tak jestem zbyt niecierpliwy do takiej profesji.

Skupiłam się na złotych refleksach w jego ciemnych oczach, próbując nie zgubić myśli. Było w nich coś takiego...

- Więc jakie to pytanie?

- Cóż – powiedział. – Najpierw chciałem się dowiedzieć dlaczego podkradałaś się do mojego domu. A potem zacząłem się zastanawiać dlaczego nagle postanowiłaś odejść, kiedy cię zauważyłem?

Już się nie uśmiechał; przyglądał mi się i rozumiałam, o co mu chodziło – wiedział, że uciekałam i wiedział, że się go bałam. Ale teraz, patrząc na niego, nie potrafiłam sobie przypomnieć dlaczego tak się wtedy czułam.

- Uciekałaś przede mną?

Potrząsnęłam głową zbyt mocno, sprawiając, że zadrżały mi policzki.

- Nie, zdecydowanie nie.

- Naprawdę? – naciskał, uśmiechając się teraz szeroko. Ten wyraz zamienił jego twarz w coś pięknego, unosząc jego brwi i łagodząc linię szczęki.

- Wolę myśleć o tym, jak o swobodnym utykaniu.

Odsunął się ode mnie i powoli zaczęłam być świadoma reszty świata.

- Ja nazwałbym to gorączkowym sprintem.

- Semantyka.

- Przepraszam, jeśli zrobiłem ci krzywdę – powiedział. – Tak w ogóle jestem Nico, a to mój brat Luca.

Chociaż stałam pomiędzy braćmi ledwo zwróciłam uwagę na Lucę. Przestał przeglądać menu i opierał na karcie splecione palce. Posłałam mu uśmiech.

- Witam u Gracewellów.

- To było nudne – odparł Luca. Jego głos był ostry od zniecierpliwienia i szorstki, jakby miał opuchnięte gardło. – Ale miło wiedzieć, że zamierzasz być dzisiaj choćby trochę profesjonalną, Sophie.

Zbladłam. *Co za gbur.*

Wskazał palcem wskazującym najpierw na Nica, potem na mnie, jakby nasza rozmowa była również *jego* sprawą.

- Jesteś teraz gotów się skoncentrować, Nicoli?

Nicoli. Pasowało do niego pełne imię. Było piękne.

Nico przesunął się w miejscu, by znaleźć się bliżej mnie i zwróciliśmy się twarzą do jego brata.

- Wyluzuj, Luca.

Luca uniósł brwi.

- Mój brat, *l'ipocrita*.

Nico machnął dłonią w stronę Luki.

- *Stai zitto!*

- Długo tutaj pracujesz, Sophie? – zwrócił się do mnie Luca. Przesunął ręką po włosach, odgarniając z twarzy niesforne czarne kosmyki. Byłam urzeczona jego jasnoniebieskimi oczami, kiedy dobrze im się przyjrzałam. Były palące i zdawały się błyszczeć nienaturalnie w jego opalonej twarzy. „Czy to ten chłopak z okna?” zastanawiałam się. Nie, on był zbyt twardy, zbyt nieugięty. To nie był on. Byłam prawie tego pewna.

- No? – naciskał.

- Luca – burknął Nico. – Możesz tego nie...

- Daj jej odpowiedzieć.

- Nie, nie pracuję tu długo – odparłam szybko, mając nadzieję, że to załagodzi narastające między nimi napięcie. Może właśnie się pokłócili zanim podeszłam. A może Luca nieczęsto wychodził z domu i to była jego idea socjalizowania. – To tylko głupia wakacyjna robota.

Czułam wyrzuty sumienia, kłamiąc na temat roli tej restauracji w moim życiu i przyszłości, ale nagle nie mogłam znieść myśli, że wezmą mnie za tak przeciętną, jaką byłam; że moje życie ograniczało się do miejsca, które nie było odnawiane od niemal dwudziestu lat, do miejsca należącego do więźnia, do miejsca, w którym nie zdarzyło się nigdy nic ekscytującego.

Nico zabrał ramiona ze stolika i zaplótł na piersi. Nie odrywał zmrużonych oczu od Luki, jak gdyby rzucał mu wyzwanie, żeby coś zrobił.

- Podoba ci się tu? – Luca zdawał się niewzruszony tym zabójczym spojrzeniem.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak jak każdemu, tak myślę.

- A co z twoimi współpracownikami? Lubisz ich?

- *Smettila!* – wyszczał Nico, znowu włączając beztrąsko swój akcent.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Ty mi powiedz – odparł Luca.

- Tak, zwykle są mili – powiedziałam spokojnie. – Czemu? Przeprowadzasz jakieś śledztwo czy coś?

Po raz pierwszy od naszego kiepskiego zapoznania Luca uśmiechnął się do mnie, odsłaniając ostre zęby i wyraziste kości policzkowe.

- Sophie – mruknął Nico. – Nie przejmuj się moim bratem. Jak sama widzisz jest *całkowicie* nieudolny w sprawach towarzyskich.

Uspokoiła mnie łagodność jego głosu i pozwoliłam sobie być nim oczarowana, jeśli na tylko chwilę, zanim zostawiłam ich z kartami.

- Spójrz na te piękne okazy! – zawołała Ursula, kiedy wróciłam do lady. – Więc *ci* chłopcy są nowymi Priestly'ami?

Skinęłam lekko głową. Po drugiej stronie restauracji Nico i Luca byli znowu zajęci rozmową. Po raz kolejny znaleźli się w swoim własnym pięknym świecie. A Ursula i ja byłyśmy na innej planecie obok tego świata, bezwstydnie ich obserwując.

- Czy twój cień to ten czarnowłosey? – droczyła się.

- Nie, ten drugi.

Niespodziewanie odwrócił lekko głowę, jakby nas usłyszał. Wstrzymałam oddech – nie wiedzieć czemu – i ścisnęłam ramię Ursuli, ale nie zauważyła, bo była zbyt zajęta powstrzymywaniem wycieku śliny. A potem znów skoncentrował się na rozmowie. Jak gdyby potrzebował odetchnąć od intensywności tej dyskusji. Ich usta poruszały się szybciej, a gesty stały się jeszcze bardziej ekspresywne.

- Aż ciężko odwrócić wzrok – powiedziała przekornie Ursula niezniechęcona narastającym gniewem w ich rozmowie. – *I spójrz* tylko na te oczy. Skąd oni są?

- Z nieba? – podsunęłam i roześmiałyśmy się. Byli tacy egzotyczni, tacy inni od wszystkich znanych mi osób w Cedar Hill.

- Czy anioły jadają?

Wtedy przypomniałam sobie, że zapomniałam przyjąć ich zamówienie. Obeszłam ladę i pośpieszyłam do nich.

- Co wam podać? – Wysunęłam notes spod fartucha i otworzyłam, rozrywając dół kartki.

Luca wyglądał na zaniepokojonego moim wtrąceniem, jak gdyby zapomniał gdzie się znajdowali. Otworzył znowu swoją kartę, przyglądał jej się całe pięć sekund i podniósł głowę, marszcząc brwi.

- Kawę. Czarną. Mocną.

Wskazał na Nico.

- Kanapkę z krwistą wołowiną i frytki. I szklanek mleka – powiedział w końcu Nico, zamykając menu i przenosząc wzrok na mnie – proszę.

- Czy to wszystko? – Podtrzymałam nasz kontakt wzrokowy, czując jak moje usta układają się w nieśmiały uśmiech.

- *Cazzo*, to wszystko! – syknął Luca w przestrzeń między nami.

Byłam już przyzwyczajona do radzenia sobie z trudnymi klientami, ale nastawienie Luki było niebywałe i poczułam, że tracę temperament szybciej niż normalnie.

- Przepraszam, ale czy przeszkadza ci moja obecność w *miejscu*, w *którym pracuję*? Bo nie musisz tutaj zostać.

Posłał mi pogardliwe spojrzenie, które podtrzymałam.

- Tylko nie napluj mi do kawy.

Ugryzłam się w język i ich zostawiłam.

Kiedy podałam zamówienie Kenny w kuchni, dołączyłam do Ursuli, która sprzątała po Erin i spółce. Zajęłyśmy się ścieraniem pozostałych stolików i zmiataniem podłóg, kiedy czas powoli mijał. Gdy podałam Nicowi jedzenie, zauważyłam zaczątek tatuażu ponad kołnierzykiem z tyłu jego koszulki, następnie spędziłam następnych dziesięć minut za ladą stwierdzając, że był to prawdopodobnie czubek dużego ozdobnego krzyża.

Pięć minut przed zamknięciem, kiedy robiłam obrachunek dochodów zadzwonił telefon Luki i wstał, wychodząc niespodziewanie.

Nico podszedł niepewnie do lady, jak gdyby wchodził w otwarty ogień. Przebudziło się we mnie to samo niewygodne poczucie, że go znam, ale odepchnęłam je. *Weź się w garść.*

- Przykro mi z powodu brata. – Wskazał niedbałym gestem na coś za siebie. – Uważamy, że został upuszczony na głowę, kiedy był niemowlakiem... kilkaset razy.

- Chyba nigdy nie poznałam kogoś tak dociekliwego – stwierdziłam. To była jedyna nienegatywna rzecz, która przyszła mi na myśl o Luce.

Nico poruszył gwałtownie głowę, jakby coś mu zabrzęczało koło ucha. Może tak myślał o swoim bracie.

- Już się chyba do tego przyzwyczailem. Nie pozwól, żeby wytrącił cię z równowagi.

- Nie wytrącił.

- Nie uważasz, że Luca jest przerażający?

Potrząsnęłam głową.

W oczach Nico pojawiła się nagle gwałtowna intensywność i stałam się bardzo świadoma mojego głośnego bicia serca.

- Dobrze – mruknął.

- Ale jest zdecydowanie dziwny – dodałam po namyśle. – I niebywale niegrzeczny.

- Powinniśmy częściej go tutaj przyprowadzać, żebyś trzymała go w ryzach. – Nico wyciągnął czarną kartę kredytową, która lśniła poziomem dobrobytu, o którym mogłabym tylko pomarzyć i podał mi. Niespodziewanie byłam cała na baczności i zastanawiałam się czy o tym wiedział. Zapewne przywykł do posiadania takiego efektu na dziewczynach.

- Więc kiedy się wprowadziliście? – zapytałam, próbując zachować koncentrację.

- Tydzień temu. – Więc nie mogłam go znać. Mój umysł płatał mi figle. Nico wskazał za siebie w kierunku starego domu ze swobodą sugerującą, że to była jedna z wielu ogromnych rezydencji odwiedzanych przez jego rodzinę. Nie, żeby to mnie dziwiło; miał taki wygląd bogatego dzieciaka, którego stać było na wakacje w Europie i wypadki na narty do Aspen. Miał rodzaj rodowodu, który sięgał daleko poza tak przeciętne miasteczko jak Cedar Hill. – Ale pewnie już to wiesz, skoro szpiegowałam nasz dom.

Poczułam krew napływającą do policzków.

- *Nie* szpiegowałam waszego domu!

Uśmiechnął się szerzej.

- Tak to wyglądało.

Przysunęłam do niego czytnik kart i czekałam, aż wbije swój PIN. Opuściłam wzrok na knykcie jego prawej dłoni, które były pokryte fioletowymi stłuczeniami i ciemnoczerwonymi rozcięciami.

- Co ci się stało w rękę? – zapytałam zaskoczona trwogą w moim głosie. Nieprzyjemnie było na nią patrzeć i nie mogłam zrozumieć dlaczego nie krzywił się z bólu.

Nico odsunął rękę od czytnika i spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Och – powiedział powoli, obracając nadgarstkiem i przyglądając się ranie.

Mechaniczne drukowanie rachunku wypełniło ciszę.

- Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku.

Miałam wrażenie, że go zdenerwowałam. Oderwałam rachunek i podałam mu, i tym razem wyciągnął drugą rękę.

- Nie chciałam być wścibska...

- Nie, oczywiście, że nie. – Nico odchrząknął. – Po prostu o tym zapomniałem. Wczoraj zatrzasnąłem drzwi i musiałem stłuc okno zabite deskami z tyłu naszego domu, żeby się dostać do środka. Zalety przeprowadzki i w ogóle...

- Wygląda boleśnie – powiedziałam, wykonując najlepsze naśladownictwo Kapitana Oczywistego.

Nico potrząsnął lekko głową.

- Miewałem gorsze.

Nie wiedziałam czy żartował, czy nie i nim zdążyłabym wymyśleć odpowiedź on już się odwracał.

- Powinienem już iść, Sophie.

- Do widzenia – rzekłam.

- Może niedługo się zobaczymy? – zawołał przez ramię.

- Jeśli tylko nie będziesz próbował znów mnie zabić.

- Postaram się, ale jesteś zdecydowanie mile widziana, żeby wrócić i znowu pospiegować mój dom. – Puścił mi oko i w jego głosie znów pojawiła się lekkość.

- Nie szpiegowałam!

- *Buona notte*, Sophie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

UTOPIONY CZŁOWIEK

Dotarłam do domu, gdzie spotkałam się z widokiem srebrnego mercedesa zaparkowanego na ulicy przed budynkiem. Okrążyłam samochód, który wyolbrzymiał żaloszny stan poturbowanego forda mojej matki poprzez samo stanie blisko niego. Mercedes mógł być wymuskany, ale był pusty i nieznamy. Co więcej, moja matka była już zwykle w łóżku o tej porze, a *nie* przyjmowała bogatych gości. Może i byłam niechlebnym dzieckiem, ale ona była niechlebną żoną, co znaczyło, że jej kalendarz towarzyski był o wiele czystszy od mojego. Teraz zamiast przyjaciół miała projekty.

Zaczęłam panikować, że *naprawdę* przyjmowała gości – takiego, który będzie zamierzał zastąpić mojego ojca. Może mamie znudziło się już czekanie. Może nie chciała stawiać czoła kolejnym czterem latom samotnie, odpowiadając na pytania wścibskich sąsiadów i fałszywych przyjaciół, i nie chciała spędzać każdych walentynek płacząc nad nocą, w którą został jej odebrany mój ojciec. Może to był samochód mężczyzny, który spróbuje to wszystko naprawić.

Spięłam się w sobie. Musiałam zrobić tylko jedno. A nie było tym stanie na zewnątrz i panikowanie. Nie. Zamierzałam wparować do środka, zebrać w sobie każdy ułamek nastoletniego sarkazmu i kapryśności, i wykorzystać to wszystko, by odstraszyć tego tajemniczego konkurenta.

Wpuściłam się przez drzwi wejściowe i zamknęłam je cicho za sobą. Z kuchni dobiegały niskie wibracje... męski głos! Przeszłam wzdłuż przedpokoju, zatrzymując się za drzwiami prowadzącymi do kuchni. Były uchylone.

- Nie wiem dlaczego zachowujesz się tak nerwowo. Przestraszysz ją – mówiła moja matka.

- Czy kiedykolwiek posłuchasz mojej rady, Celine?

Spięty głos wujka Jacka zaskoczył mnie bardziej niż gdyby to był głos innego mężczyzny. Historycznie rzecz biorąc moja mama i brat taty nigdy się nie dogadywali. W oczach mojej matki Jack zawsze w czymś przeszkadzał. Nawet kiedy przeszkadzał z biletami na koncert albo pizzą na wynos, wciąż był utrapieniem. Był jedyną osobą na świecie, której nie zamierzała tolerować. Klasyfikował się niżej od pani Bailey w skali „nie chcę cię widzieć w moim domu”, a *to* mówiło wiele.

W okresie dorastania mój ojciec i wujek mieli tylko siebie – wynik obojga nieobecnych rodziców alkoholików – a ponieważ Jack był młodszy i zawsze sprzeciwiał się ustatkowaniu bardzo polegał na ojcu, wyciągał go wieczorami do miejscowych barów albo wpadał do jego życia podczas prywatnych chwil, które matka chciała zatrzymać

tylko dla naszej trójki. W skrócie Jack zawsze tutaj był i według mojej matki miał zły wpływ.

Ale znałam go też od innej strony – mężczyznę, który zabrał mnie do miasta, żeby zobaczyć *Wicked* w Oriental Theatre tylko dlatego, że kiedyś tam powiedziałam, że lubię musicale; mężczyznę, który celowo zostawał przy moich rozmowach z Millie w pracy, żeby móc dodać swoją „mądrą” radę na temat naszych problemów z chłopcami; mężczyznę, który targał mnie po włosach, kiedy próbowałam narzekać na coś kompletnie poważnego, który ni z tego ni z owego kupował mi nowego iPhone’a i który upierał się, żeby zawieźć mnie do szkoły, kiedy sypał śnieg, żebym nie musiała iść przez breję do przystanku autobusowego. Widziałam człowieka, który starał się z całych sił wkroczyć i mnie chronić, kiedy mój ojciec poszedł do więzienia, a chociaż nie zawsze udawało mu się ochronić mnie przed okrutnymi kpinami i unieważnionymi zaproszeniami na imprezy, to przynajmniej się starał.

Przysunęłam się bliżej do drzwi.

- Nie chcę, żebyś angażował Sophie do swoich konspiracyjnych spraw – warknęła matka. – Czy ty się niczego nie nauczyłeś?

- Opiekowanie się nią jest moim przywilejem, Celine. Złożyłem obietnicę Mickey’owi.

- Myślę, że zrobiłeś już dosyć – odparła mama niebezpiecznie cichym głosem zarezerwowanym tylko dla jej najbardziej przerażających nastrojów. Skrzywiłam się ze współczuciem do wujka.

- Kiedy w końcu zapomnisz o tym gównie? – zapytał gniewnie Jack.

- Kiedy zaakceptujesz, że miałeś w tym swój udział!

Wyjrzałam zza drzwi. Mama stała na jednym końcu kuchni ubrana w szlafrok i pantofle. Jej krótkie złociste włosy okalały twarz, a rysy były napięte w wyrazie obrzydzenia. Miała założone ramiona i przechylała się na bok, wyginając biodro pod wyzywającym kątem. Choć była mała, nikt nie chciał znaleźć się na czarnej liście Celine Gracewell. Ja, ze wszystkich ludzi, zdecydowanie mogłam o tym zaświadczyć.

- Próbuję tylko zapewnić Sophie bezpieczeństwo – powiedział Jack, opuszczając ramiona w rezygnacji. – Dlaczego mi nie pozwolisz?

- Ponieważ ci nie ufam. Nie po tym wszystkim.

Wujek odsunął się o krok i potrząsnął głową, wzdychając sfrustrowany.

- Nigdy mi nie ufałaś.

- Och, zamknij się, Jack.

Czując, że usłyszałam wystarczająco, żeby czuć się skrępowaną przez resztę roku otworzyłam drzwi kopniakiem.

- Co tu się dzieje, do diabła?

Twarz Jacka zalała ulga, przywracając kolor do jego policzków.

- Tutaj jesteś!

- Tak. – Wskazałam na siebie dla dodatkowego efektu. – Tutaj jestem. O co tak wrzeszczycie?

- O nic, o nic. – Przejechał dłonią po siwiejących, króciutko ściętych włosach, drapiąc się po potylicy. – Jestem tylko zestresowany.

Jack zawsze był czymś zestresowany.

- Co tu robisz?

- Dramatyzuje – wysyczała matka nim odpowiedział.

Yay.

- Czy to twój nowy samochód na podjeździe? – zapytałam, zatrzymując się pomiędzy moim wujkiem, a matką i próbując zmienić nastrój. – Jeżeli zarabiasz takie pieniądze z restauracji, to powinienes dać mi podwyżkę.

Nie rozbawił go mój żart.

- Pożyczyłem od znajomego. Nie jeżdżę teraz swoim samochodem.

- Ostatnio zwracasz na siebie za dużo uwagi? – Znowu spróbowałam rozweselić atmosferę.

Naprawdę nie było nic bardziej krępującego niż niezręczna sytuacja. A poza tym wujek Jack jeździł czerwonym klasycznym kabrioletem – hołd złożony kryzysowi średniemu. Musiałam się z niego ponaśmiewać, żeby było sprawiedliwie.

Westchnął.

- Coś w tym stylu.

Mama obeszła mnie żeby nalać sobie szklankę wody.

- Powiedz jej, co chciałeś powiedzieć, byśmy mogły wrócić do swojego życia.

- Co robisz tutaj tak późno? – zapytałam znowu. – I dlaczego nie było cię w pracy? Dostawca wciąż się nie pojawił.

Wujek powłóczył nogami niczym zagubione dziecko, które nie wiedziało, co ze sobą zrobić.

- Wiem – powiedział zmęczonym głosem. – Luis zmarł w piątkowy wieczór.

- Och – powiedziałam, czując nagłe ukłucie wyrzutów sumienia. Dostawca miał imię – Luis, tak, pamiętałam. A teraz Luis, który miał zaledwie czterdzieści lat, nie żył. – Co mu się stało?

- Utopił się.

- Utopił się – powtórzyłam. – W nocy. Gdzie?

- W swojej wannie – odparł prosto Jack, jakby nie było nic dziwnego w tym stwierdzeniu.

- O rany. – Mama zakryła sobie usta.

Z drugiej strony ja otworzyłam szeroko usta. To zdawało się bardzo nielogiczne.

- Samobójstwo? – Ostatnim razem, kiedy podpisywałam dostawę Luis paplał o tym, jaką wspaniałą mieliśmy pogodę.

- Luis miał po co żyć – odparł rzeczowo Jack. – Nie zrobił tego sam. – Co to znaczyło? Nagle dostałam gęsiej skórki. Mój wujek mówił dalej niezniechęcony tą implikacją, każąc mi myśleć nad nią w ciszy. – Eric Cain i ja idziemy jutro odwiedzić rodzinę Luisa. Chcę się przekonać, że sobie radzą podczas tego... wszystkiego. Jego żona była bardzo niepokieszona.

Zaczynałam czuć się jak wielka kretynka. Spotkałam Luisa z dwadzieścia razy i ledwo znałam jego imię; mój wujek znał jego historię, rodzinę, a teraz zamierzał się przekonać, że wszystko u nich w porządku.

- To wspaniałe z twojej strony – powiedziałam, spoglądając na matkę, żeby się ze mną zgodziła – na pewno doceniłaby za to wujka Jacka – ale nie zwracała na mnie uwagi.

- Biedna kobieta – powiedziała cicho.

- Tak trzeba – rzekł do mnie Jack.

- Nic ci nie jest? – Wujek nigdy nie przejawiał wielkich emocji, ale widziałam po nim, że jest zdenerwowany.

- Nic – zbył moją troskę. – Chciałem tylko wpaść i z tobą porozmawiać przed wyjazdem.

- Mogłeś zadzwonić – zauważyłam nie nieuprzejmie, ale jest coś niepokojącego w ludziach, którzy odwiedzają cię bez zapowiedzi. – Jestem ciągle osiągalna.

- Zgubiłem telefon. Muszę sobie kupić nowy.

Matka obeszła stół i usiadła tak daleko od Jacka jak tylko mogła. Zaczęła stukać paznokciami o blat – niezbyt subtelna aluzja – słuchając uważnie naszej rozmowy. Jeżeli pomyślałam, że niespodziewana śmierć Luisa złągodziła jej oczywistą pogardę do wujka, to byłam w błędzie.

Jack zignorował jej rozdrażnienie i miałam wrażenie, że tylko ja odczuwałam pełną niezręczność tej sytuacji.

- Więc... co się dzieje? – zapytałam.

Wysunął sobie krzesło i usiadł, podpierając łokcie na kolanach. Zgarbił ramiona.

- Po tym jak jutro odwiedzę rodzinę Luisa zostaną trochę w mieście. Przez jakiś czas nie wrócę do Cedar Hill. Ale chcę z tobą o czymś pomówić przed wyjazdem.

Patrzył na mnie poważnymi szaro-niebieskimi oczami – to były moje oczy, oczy mojego ojca i niespodziewanie przypomniało mi się, jacy oni byli podobni. Kiedyś mogli być brani za bliźniaków, ale już nie. Życie za kratami nie traktowało dobrze mojego ojca, podczas gdy twarz wujka pozostawała głównie bez zmarszczek, jego włosy były schludne, a skóra lekko opalona po przebywaniu na słońcu.

- O czym chcesz porozmawiać? – Wycofałam się pod blat i ścisnęłam go o wiele mocniej niż chciałam, wyczuwając, że coś jest nie tak. O to się kłócili. Mama dalej bębniła palcami o stół.

- Niedaleko wprowadziła się nowa rodzina i musisz na nich uważać.

Poczułam, jak przez moją twarz przemyka niepokój.

- Co?

Zlustrował mnie ostrożnym wzrokiem.

- Wiesz o czym mówię?

Skinęłam powoli głową, starając się rozgryźć skąd się to brało i dlaczego znowu zaczynałam panikować.

- Co jest złego z Priestly'ami?

Obserwowałam reakcję mamy, by dowiedzieć się czegoś więcej.

- Jakiś teatrzyk – mruknęła, machając lekceważąco ręką. Jednak nie ruszała się z miejsca, monitorując naszą rozmowę.

- Persefono... - Skrzywiłam się odruchowo. Nienawidziłam, kiedy Jack zwracał się do mnie pełnym imieniem. – Nie zamierzam się w to zagłębiać – powiedział. Surowy głos wujka był tak podobny do mojego ojca, że po moim kręgosłupie przeszedł dreszcz. Przez chwilę chciałam zamknąć oczy i udawać, że tutaj był, że wszystko wróciło do normy... że

nie mówiliśmy właśnie o tym, że ktoś utonął we własnej wannie i że nie zamierzaliśmy umieścić wielkiego znaku ostrzegawczego na największych ciachach w okolicy. – Zrób, o co cię proszę.

Nie mogłam powstrzymać sceptycyzmu. Pomimo jego posiniaczonej dłoni w obecności Nico było coś bardzo uspokajającego.

- Kiedy wrócisz?

- Jeszcze nie wiem.

Jak zwykle te same wymijające odpowiedzi. Żałowałam, że nie mam przy sobie Millie Inkwizytorki. Wydobyłaby odpowiedzi od niemowy. I dobrze by się przy tym bawiła.

- Więc tylko tyle zamierzasz mi powiedzieć?

- Nie ma nic więcej do powiedzenia. – Jack odwrócił ode mnie wzrok, wyglądając przez okno w ciemność za naszym domem. – Rozumiesz?

Zamierzałam odpowiedzieć, że tak naprawdę *nic* tutaj nie rozumiałam, ale wtedy stała się najdziwniejsza rzecz. Zerwał się na równe nogi, jakby coś go ugryzło. Krzesło przewróciło się do tyłu i rzucił się przez kuchnię.

- Co, u licha? – Krzesło mamy zaszurało głośno o posadzkę.

Jack podbiegł do zlewu i wyciągnął przed siebie rękę. Już myślałam, że zamierza rozbić okno, ale zamiast tego chwycił za słoik miodu. Gdy znowu na mnie spojrział, jego oczy były czerwone i wytrzeszczone.

- Skąd to się wzięło?

- M-miód? – wyjąkałam. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś panikował przez coś tak łagodnego. – Znalazłam.

Ścisnął w palcach czarną wstążkę, pocierając.

- Gdzie?

Wzruszyłam ramionami.

- Ktoś zostawił w restauracji. Znalazłam, kiedy zamykałam.

Z jego twarzy odpłynęła cała krew, zamieniając jego zwykle zaróżowione policzki w trupio bladą skórę.

- Jeżeli znowu znajdziesz coś takiego, masz tego nie ruszać i natychmiast do mnie zadzwonić.

- Jack, to tylko miód – zauważyłam.

Dlaczego wszyscy zachowywali się ostatnio tak dziwacznie? Już go spróbowałam i przeżyłam, by o tym opowiedzieć, więc nie był zatruty.

- Po prostu to zrób – nakazał cicho. – OK?

- Podobno nie masz telefonu – przypomniałam.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy kupię nowy.

- Jack? – Przez to wszystko zapomniałam o obecności mamy. – Myślę, że powinieneś już iść. Zachowujesz się jak niezrównoważony i czuję się przez to bardzo niekomfortowo. Sophie pewnie chce się położyć.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować – nie byłam zmęczona – ale się powstrzymałam. Matka miała rację.

- Dobrze. – Jack opuścił wzrok na ziemię, kręcąc głową. – Przepraszam, Sophie. Miałem bardzo długi dzień.

- Nic się nie stało. – Posłałam mu pocieszający uśmiech. Pomiędzy kierowaniem restauracją, a zajmowaniem się inwestycjami w mieście Jack zawsze się przepracowywał, ale ostatnio zachowywał się jak nie on; był zmęczony i nerwowy a kiedy teraz umarł Luis jego zachowanie było jeszcze dziwniejsze.

- Dobranoc, Sophie.

- Branoc – odparłam.

Jack skierował się do tylnych drzwi, trzymając w ręce miód.

Pół sekundy później ożywił się czujnik ruchu w naszym ogródku, oświetlając cień mojego wujka, kiedy stał do nas plecami, wpatrując się w roztrzaskaną posadzkę patio i przerośnięty trawnik.

- Co on...

Reszta pytania mojej matki została zagłuszona przez przeraźliwy trzask. Przycisnęłam nos do okna, ale Jack już się oddalał. Spojrzałam w dół, gdzie światło odbijało się od setek odłamków szkła.

- Co za człowiek! – wrzasnęła mama, stając obok mnie przy oknie. – Dlatego właśnie nie chcę by się przy nas kręcił. Zachowanie twojego wujka jest całkowicie irracjonalne. Znowu zaczął pić i jeśli nie przestanie zrobi coś, czego naprawdę pożałuje... - Urwała i zaczęła gładzić mnie po ramieniu. – Wszystko dobrze?

- Tak – skłamałam, przywierając dłonią do okna, żeby przestała drzeć.

- Chciałabym, żeby był tutaj twój ojciec, by go pilnować.

- Myślę, że gdyby tata tutaj był, to nie trzeba by było pilnować wujka Jacka – powiedziałam cicho.

Mama westchnęła.

- Będę musiała poczekać do rana, żeby posprzątać ten bałagan.

- Pomogę ci.

Stałyśmy razem przy oknie i przyglądałyśmy się, jak miód wsącza się do pęknięć chodnika niczym ciemnozłota krew.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SZKARŁATNE SOKOŁY

Millie miała strój do wszystkiego, więc kiedy pojawiła się w sobotę na nadrzecznych boiskach nie zdziwił mnie widok jej maleńkiej pary spodenek i najbardziej obcisłej koszulki koszykarskiej, jaką kiedykolwiek widziałam. Przecisnęła się przez grupki nastolatków, maszerując do mnie w eksplozji czerni i czerwieni.

- Nie brałam cię za fanę Bullsów.

- Och, doprawdy? – Uśmiechnęła się ironicznie i usadowiła się obok mnie na dolnej ławce trybun obok boiska.

- Pozwól, że się poprawię – powiedziałam, kiedy zaczęła spinać włosy w kucyka. – Nie brałam cię nawet za fanę koszykówki.

- Chyba można stwierdzić, że jestem bardziej faną *chłopców*. – Trzasnęła gumką do włosów. – To koszulka Alexa. Skurczyła się w praniu. – Wyszczrzyła się bezwstydnie.

Spojrzałam na siebie: spodnie do biegania trzy czwarte mojej mamy, zwykły szary podkoszulek i stara para Asics z jaskrawozielonymi paskami. Związałam włosy wysoko na głowie, żeby spływały pomiędzy łopatkami w prostym kucyku. Już czułam, że słońce wypalało zabłąkane kosmyki, które były zbyt rzadkie, by dać się spętać z resztą.

Millie zlustrowała mój ubiór, marszcząc nos.

- Wyglądasz... - zaczęła niepewnie.

- ...hardkorowo normalnie? – dokończyłam.

Wysiłek fizyczny nie był moim życiowym powołaniem, ale byłam wdzięczna za dystrakcję od niedawnego zachowania mojego wujka. Minęło już kilka dni od tego całego ataku paniki na widok słoiczka miodu i wciąż nie próbował się ze mną skontaktować. Podczas jego nieobecności Ursula zajmowała się restauracją. Ona zareagowała najgorzej na śmierć Luisa i postanowiła, że nigdy więcej nie weźmie kąpieli w wannie na wypadek, gdyby miała się utopić. Millie i ja podeszłyśmy do tematu trochę mniej dramatycznie, ale i tak cieszyłyśmy się wolnością od jej niezdrowych tyrad, choćby tylko na jeden dzień.

Zazwyczaj nie brałyśmy udziału w Letnim Turnieju Koszykówki Cedar Hill. Nie, żeby słowo „turniej” naprawdę podsumowywało to wydarzenie. To było bardziej koszykarskie spotkanie organizowane każdego lipca przez Związek Mieszkańców Cedar Hill. Jako część stale rozrastającego się programu obejmującego utrzymanie parku, pilnowanie dzielnicy i kino pod gołym niebem ZMCH ciągle wysuwał pomysły, które

trzymały nastolatków z dala od kłopotów w „społecznie mile widziany i pozytywny sposób” podczas wakacji. Turniej koszykarski był jednym z niewielu pomysłów, które naprawdę się spodobały i przez ostatnie lata stał się tradycją, z której wszyscy się naśmiewali, ale nikt nie chciał przegapić. Tak naprawdę było to jedyne, co robiły wspólnie dzieciaki z sąsiedztwa; przez resztę wakacji przypominaliśmy leniwe podmiejskie szarłaty sunące po miasteczku w dwójkach lub trójkach.

Dla Millie i mnie turniej był zawsze bardziej widowiskiem obserwowanym z trybun podczas zajadania się lodami i wypatrywania fajnych chłopców, ale na rzecz „powrotu na socjalnego konia”, jak to nazwała Millie, postanowiłyśmy w tym roku dołączyć. Byłam w najlepszym wypadku pełna zawahania; jeżeli nikt nie chciał spędzać czasu z córką mordercy, to kto zechce pograć ze mną w koszykówkę? Na szczęście brat Millie Alex zaprosił nas do swojej drużyny. Podejrzywałam, że to był sposób, by rozgrywka stała się dla niego większym wyzwaniem – trofea z trzech minionych lat pewnie zbierały już kurz na jego regale.

- Naprawdę możemy to wygrać, wiesz. – Millie rozparła się na ławce, podpierając z tyłu ramionami, badając nasze otoczenie.

Jak zawsze było tu mnóstwo widzów cisnących się na trybunach i wylewających na trawnik otaczający boiska. Erin Reyes i reszta jej gangu zajęły już sobie pierwszorzędne miejsca na szczycie trybun. Zamiast grać w turnieju najprawdopodobniej będą ćwiczyć jak zajadać się lodami na patyku tak uwodzicielsko jak to tylko możliwe. Wykonywały już niezręcznie dobrą robotę. Tuż za terenem boisk płynęła leniwie rzeka, odbijając bezchmurne niebo, a wzdłuż brzegu rzędy młodych drzewek nachylały się nad wodą, jakby czegoś w niej szukały.

- Pamiętam ostatni raz, kiedy grałam w koszykówkę – powiedziała melancholijnie Millie. Wpatrywała się w niebo i zauważyłam, że słońce już obsypało jej blade policzki piegami. – Chciałam podać piłkę Alexowi, ale nie złapał i roztrzaskało się kuchenne okno.

- Dobre czasy – wspominałam z czułością.

- A ty kiedy grałaś? – Opuściła głowę.

- Może nigdy?

Na czole Millie pojawiły się małe zmarszczki.

- Na pewno będziesz dobra.

- Lepiej, żeby tak było – odezwał się nowy głos.

Alex, brat Millie, szedł w naszym kierunku z uśmiechem, który odsłaniał prawie wszystkie jego idealnie proste zęby. Towarzyszyło mu dwóch kolegów – w pierwszym rozpoznałam Robbiego Stensona, bardziej krępa, o *wiele* mniej atrakcyjną wersję Kena,

którą dopełniały opadające brązowe włosy i nazbyt wyregulowane brwi. Nie tyle chodził, co kroczył z wolna jak jakiś elegancki troll. Drugiego chłopaka widziałam ze dwa razy, jak grał w domu Millie, ale nigdy nie mówił za wiele. Miał jasnorude włosy, patykowate kończyny i czoło lśniące bardziej niż cała reszta.

Millie poderwała się na nogi.

- Nareszcie się pokazałeś. Mamy turniej do wygrania.
- Soph, znasz Stenny'ego i Lisa, prawda? – Alex pokazał za siebie.

Ach, chłopcy i ich głupie przezwiska.

- Tak, cześć. – Pomachałam im.

Robbie Stenson skinął mi subtelnie głową w geście „jestem zbyt fajny na to zapoznanie”, podczas gdy „Lis” rzucił we mnie żółtą odblaskową kamizelką. Musiałam się pochylić, żeby ją podnieść. Najwyraźniej nie byli podekscytowani, że jestem w ich drużynie.

Millie odruchowo złapała swoją kamizelkę, po czym upuściła ją, jakby nagle się rozpałała.

- Nie ma mowy. Nie założę tego. Śmierdzi potem.
- Mówisz serio? – Głos Alexa był pełen znużenia wobec siostry.

Millie uniosła wargę w obrzydzeniu.

- Dosłownie wolałabym umrzeć. – Powstrzymałam uśmiech. Ich brytyjskie akcenty sprawiały, że nawet najbanalniejsze wymiany zdań brzmiały jak coś rodem z *Masterpiece Theatre*.

Robbie, Lis i ja założyliśmy kamizelki bez protestu; moja sięgała do kolan i do połowy ramion, pochłaniając wszystko prócz świecących tenisówek. Ostatecznie, po niezbyt subtelnej presji rówieśników z mojej strony, Millie wsunęła swoją kamizelkę.

- Ale z ciebie tyran – mruknęła pod nosem.
- Przynajmniej nasze nogi nadal wyglądają dobrze – próbowałam ją przekonać. Ale nie mogłyśmy schować się przed brzydką prawdą. Tonęłyśmy w ogromnej fluorescencji.
- Najpierw zagramy na pierwszym boisku – zaczął Alex, pocierając ręce. – Nasza drużyna nazywa się Snajperzy.

Millie i ja wykrzywiłyśmy się.

- Najgorsza nazwa na świecie – powiedziałyśmy razem.
- Może więc wymyślicie coś lepszego?

- Och, och, och! – Millie zaczęła podskakiwać. – Może Victorious Secret?

Alexowi zrzedła mina, a Lis jęknął przeciągle.

- To nie ma nawet sensu – wtrącił Robbie.

- Może Ludzkie Markery? – zasugerowałam, pokazując na nasze obrzydliwie oślepiające kamizelki.

- Dobra. – Alex wyrzucił ręce na znak poddania, a Robbie i Lis skinęli w niechętniej zgodzie. – Zmienimy nazwę.

Millie przyłożyła dłonie do ust i przybrała trzeszczący ton głosu.

- Jeden mały krok dla Sophie, gigantyczny skok dla poczucia humoru Alexa.

Robbie oddalił się biegiem, żeby zarejestrować naszą nazwę pozostawiając nas z Lisem i Alexem, który brał całą sytuację tysiąc razy poważniej niż my.

- Zrobiłem małe rozpoznanie – oznajmił, przekazując swoje informacje niczym żołnierz marynarki wojennej. – W tym roku wielu graczy jest od nas młodszych, co daje nam przewagę...

Millie uderzyła mnie w ramię i przestałam zwracać uwagę na jej brata.

- Co?

- Zaraz ty dosłownie umrzesz. – Jej oczy urosły do rozmiaru spodków i obróciłam się by podążyć za jej wzrokiem. – To oni, prawda? Bracia Priestly?

Nie była w całkowitym błędzie, co do tego umierania. Moje serce zdecydowanie spowolniło na co najmniej kilka sekund. Z dalekiego końca boiska kierowali się do nas bracia Priestly; tym razem było ich czterech, ich powiązanie było oczywiste dzięki oliwkowej skórze i ciemnym włosom.

- Nigdy nie sądziłam, że spodobają mi się koszykarskie spodenki na facecie – wydusiłam.

- Właśnie myślałam o tym samym – powiedziała Millie.

„Co oni tutaj robią, do diabła?” zastanawiałam się. Większość z nas przyszła ze względu na tradycję – to był wystarczająco przyjemny sposób na zabicie czasu, ostatnia deska ratunku w słoneczny dzień dla grupy dzieciaków, które nie miały nic lepszego do roboty. Ale ci chłopcy nie byli podobni do reszty Cedar Hill. Myślałam, że będą ponad czymś takim, jak udział w turnieju koszykarskim w jakiejś dziurze.

Luca szedł obok Nico z surowym wyrazem twarzy i z obu stron otaczali ich nowi bracia. Pewnie zdołaliby zwyciężyć pięcioetapowy wyścig gdyby tylko zechcieli.

Poprzez sposób, w jaki bracia zdawali się koncentrować na Luce, kiedy przemawiał przypuszczałam, że był najstarszy chociaż tych dwóch, których jeszcze nie poznałam i byli niezwykle do siebie podobni nie mogli być o wiele młodszy – mieli może osiemnaście albo dziewiętnaście lat. Byli niżsi i bardziej umięśnieni, chociaż posiadali te same kwadratowe szczęki i silne kości policzkowe. Zgadywałam, że Nico był najmłodszy, choć niewiele.

- Na wszystko, co przystojne! – Millie praktycznie się ślinała. – Cztery włoskie ogiery wyrwane z moich snów. Który to Nico?

- Ten z ciemnymi włosami. - Nie odrywałam od niego wzroku.

- Ha ha, bardzo śmieszne.

- Drugi od prawej.

- Wow. A Luca?

- Drugi od lewej.

Millie gwizdnęła przeciągle.

- *Witaj*, niebieskooki.

Alex szturchnął ją w ramię.

- Skończyłaś? Próbujemy omówić taktykę.

- Zamknij się – syknęła, odpychając go. – Jestem zajęta. – Zmrużyła oczy. – Dobra, kim jest ten na prawym końcu? Ten z ulizanymi włosami? I czy to jest *blizna*?

- Nie wiem. Może nazwijmy go Żelem do Włosów.

Im bliżej byli, tym bardziej oczywistym stawało się, że przyciągali uwagę każdej znajdującej się tutaj dziewczyny i wyglądali jakby doskonale o tym wiedzieli. Zastanawiałam się gdzie był piąty brat – jasnooki chłopak z okna, który podniósł rękę bez uśmiechu – ale ta myśl wyparowała, kiedy oczy Nico odnalazły moje i niemal zamieniłam się w rój motylków.

- Cześć – powiedział bezgłośnie.

Odwzajemniłam uśmiech, opierając się pokusie, by chwycić za mój głupi, podskakujący żołądek.

- Jasna cholera, to było czarujące. – Millie przeskakiwała z nogi na nogę. – Idą tutaj. Zachowaj spokój.

Skierowałyśmy się do braci niczym bezwładne magnesy pozostawiając Alexa i jego pomagierów, którzy rozmawiali za nami o nudnej strategii zdeterminowani, jak każdy

chłopak w pobliżu, żeby zignorować nowoprzybyłych. Ostrzeżenie mojego wujka, które wydawało się wtedy takie ważne i ponaglące odpłynęło z wiatrem. Jeżeli ci chłopcy naprawdę byli tacy źli, jak zdawał się uważać Jack, to nagle cieszyłam się, że jestem ltkarem gotowa roztopić się od podfrunięcia za blisko słońca.

- Hej – zawołałam. – Nie wiedziałam, że będziecie dzisiaj grać.

Nico zatrzymał się parę kroków dalej, a jego bracia zamknęli wokół nas krąg.

- Decyzja w ostatniej chwili. Teraz cieszę się, że przyszliśmy.

Millie uszczypnęła mnie. To była jej niema wersja podekscytowanego pisku.

- Ładna kamizelka, Sophie – tym przywitał się Luca. – Ledwo cię widać.

- Luca. – Oderwałam wzrok od Nico, by móc posłać pogardliwe spojrzenie jego bratu. – Jak miło cię widzieć.

Brat stojący obok niego się zaśmiał. Miał chyba najgłupszą fryzurę na świecie: górna część włosów zaczesana w krótkiego czarnego kucyka, a boki ogolone, odsłaniając małe złote kółko w lewym uchu. Był atrakcyjny pomimo tej śmiesznej fryzury, ale kiedy się śmiał jego oczy nienaturalnie się rozszerzały, a otwarte usta pokazywały dwa ułamane przednie zęby, które nadawały mu trochę wariacki wygląd. Przypominał mi szaloną hienę z *Króla Lwa*.

- Zignoruj Lucę. To jego kiepska próba oczernienia cię – wtrącił Nico, przesywając brata wzrokiem.

- I sposób, by zauważyć, że jest mała – dodał Luca.

- Dzięki, Sherlocku. Wiem, że jestem mała.

- Tylko się upewniam.

- Czy ty masz jakiś filtr pomiędzy mózgiem, a ustami? – zapytałam.

- Próbuję nie używać go zbyt często – odparł beztrasko.

- Najwyraźniej.

- Nie płacz z tego powodu, Jaskierku.

- Przymknij się, Luca. – Nico przełożył przez głowę czerwoną kamizelkę i obciągnął. – Uważam, że wyglądasz świetnie, Sophie.

- *Cazzo*, znowu się zaczyna – mruknął Luca. Wywrócił oczami i nachylił się do Kucyka, dodając wykalkulowanym szeptem: - *Tak* właśnie się zachowywał w knajpie. Strasznie denerwujące.

- Wiesz co, Luca, jesteś naprawdę dobry w strategicznym mamrotaniu słów na tyle głośno, by być obraźliwym.

- Dziękuję, Sophie. – Jego głos się rozweselił, sprawiając, że fałszywa szczerość była niemal wiarygodna. – Doceniam.

- Powinnam przyznać ci medal.

- Nie kłopotz się – powiedział z leniwym uśmiechem na ustach. – Dzisiaj dostanę trofeum.

Uniosłam wargę. – Wiem, co możesz zrobić z tym trofeum...

Śmiech Millie zagłuszył resztę mojej wypowiedzi. Objęła mój bok, szczypiąc mnie przez kamizelkę. *Pisk, pisk, pisk.*

- Więc jak nazywa się wasza drużyna? – wtrącił Nico, strategicznie zmieniając temat.

Wysunęłam pierś do przodu i odsunęłam z twarzy wyblakłe, zbłąkane kosmyki włosów.

- Ludzkie Markery.

Luca prychnął.

- A wasza? – zapytała Millie, ale nie kierowała pytania do Nico; patrzyła na Żel do Włosów, przygryzając delikatnie dolną wargę.

Skupiłam się na jego twarzy – Millie miała rację, to *była* blizna. Wyraźnie stara rana, która przecinała lewą brew i lśniła srebrzysto na tle opalanej skóry. Odruchowo zerknęłam na posiniaczoną rękę Nico i poczułam jak coś kołacze się w moim brzuchu. Odepchnęłam to uczucie.

- Szkarłatne Sokoły – odpowiedział Żel do Włosów, wpadając prosto w jej pułapkę i obserwując zachłannie jej usta.

- Intensywne – powiedziała Millie z kokieteryjną miną.

- Do wyboru było to albo Stwórcy Aniołów – dodał Luca. Jego humor był tak śmiertelnie poważny, iż czasami nie wiedziałam czy był zabawny, czy po prostu świrnięty.

- Przestań. – Nico uderzył Lucę mocno w ramię, ale jego brat ani drgnął. Gdybym to ja była odbiorczynią tego ciosu padłabym na ziemię, wołając z płaczem o mamę.

- *Calmati!* Lepiej rozładuję napięcie – wtrącił Żel do Włosów przechodząc z łatwością z jednego języka na drugi, tak jak Nico i Luca. Trudno było stwierdzić, który akcent był ich prawdziwym – amerykański czy włoski. Żel do Włosów nachylił się, żeby ucisnąć nam dłonie, trzymając dłoń Millie trochę dłużej od mojej i zauważyłam, że

gładził ją kciukiem. Być może Millie nareszcie poznała kogoś dorównującego jej w zalotach. – Jestem Dominico. Ale możecie mówić do mnie Dom.

Millie wyrzuciła z siebie najbardziej dziwaczny chichot, jaki od niej słyszałam.

- Jestem Millie, a to Sophie. Witaj w sąsiedztwie.

Witaj w sąsiedztwie? Później będę musiała się z nią podroczyć. Może wpadnie do niego do domu z koszykiem babeczek.

- Dziękuję. Czy ty także pracujesz w restauracji, Millie? – Dom przeciągnął jej imię jakby było pięknym kwiatkiem. Jego czarowanie było równie mocne, co Nico, ale jego oczy były ciemniejsze, wyraz twarzy bardziej intensywny. Przyjrzałam się jego bliźnie, kiedy odsunął się ode mnie, rozpoczynając cichą rozmowę z Millie.

Znowu poczułam na sobie uwagę Nico.

- Życzę wam szczęścia – rzucił szczerze.

- Dzięki, my wam też. – Chciałam mu powiedzieć coś jeszcze, ale kiedy obserwowali nas Luca i Kucyk nie mogłam wydukać choćby słowa bez poczucia nieśmiałości.

- Nie potrzebujemy szczęścia – wtrącił się Luca, zarabiając kolejny zirytowany cios od Nico.

- Luca – zawył Kucyk. Jego głos był nienormalnie wysoki i podobny do Marge Simpson i przez jeden przerażający moment myślałam, że zaśmieję mu się w twarz. Zmarszczył brwi, które zamieniły się w jedną rozmazaną gąsienicę nad oczami koloru kawy. – Możemy iść się zarejestrować?

- Tak, chodźmy, Gino. I tak nie powinniśmy się bratać z konkurencją. – Luca szturchnął łokciem Nico, wycofując się. – *Andiamo*, kochasiu.

- Powiniennem iść się przygotować – powiedział przepaszająco Nico. – Nie chciałbym trafić na złą stronę naszego cudownego dyktatora.

- Myślę tak samo – powiedziałam, ale nie ruszaliśmy się z miejsca. – Gdzie jest reszta twojej drużyny? Nie macie piątego zawodnika?

Pokręcił głową z większą nonszalancją niżbym się spodziewała. Miałam nadzieję, że wspomni piątego brata, podsunie mi, chociaż trop, co do tego dlaczego nie przyszedł czy może fakt, że naprawdę istniał, a ja nie wyobraziłam sobie tamtej nocy straszego ducha chłopca w oknie.

- Jesteśmy we czworo.

- Macie niekorzystną sytuację – zauważyłam. – Ryzykowny ruch.

Nico zrobił oczami coś, co sprawiło, że widoczne w nich drobinki złota zaczęły błyszczeć. Nie byłam pewna czy to była sekretna supermoc, czy efekt słońca, ale byłam pod cholernym wrażeniem. I czułam się trochę wstrząśnięta, chociaż nadal nie potrafiłam rozgryźć dlaczego.

- Zawsze możesz zostać naszym piątym zawodnikiem – szepnął konspiracyjnie. – Obiecuję, że będę trzymał Lucę daleko od ciebie.

Przygryzłam wargę, żeby nie zacząć szczerzyć się jak maniak.

- Millie chyba nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym odeszła do konkurencji.

- Ach, rozumiem. – Przybrał minę skopanego szczeniaka. – Jesteś na to zbyt szlachetna.

- A ty na pewno jesteś zbyt honorowy, żeby mnie od niej ukraść.

- Nie, nie jestem.

Poczułam krew napływającą do policzków.

- Zatem ja będę musiała być wystarczająco honorowa za nas oboje. Poza tym – dodałam, próbując usprawiedliwić przed samą sobą tę odmowę – za chwilę zaczniemy mecz, a już przegapiliśmy sesję strategiczną. Nie chcę zirytować reszty mojej drużyny bardziej niż dotychczas.

- Gdzie oni są?

Wskazałam za siebie na Alexa i resztę żółtych kamizelek, którzy byli w trakcie intensywnej serii pajacyków.

Uśmiech Nico zniknął.

- Ten blondyn?

- To brat Millie i jego koledzy. Myślę, że przekupiła ich, by wzięli nas do drużyny.

Nico przyglądał się Alexowi i pozostałym, kiedy zaczęli wyginać się w ćwiczeniach rozciągających.

- Jestem przekonany, że nie było potrzeba łapówki.

- Soph. – Wróciła Millie i ciągnęła mnie za ramię. – Musimy iść. Zaraz zacznie się nasz mecz.

Dom odsunął się od niej i znów pochwyciłam wzrokiem jego bliznę. Chociaż nie mógł być dużo starszy od nas, coś w tej bliznie go postarzało, nadawało mu inny wygląd. Nie potrafiłam powiedzieć, co w tym było. Przyłapał mnie na patrzeniu i uśmiechnął się lekko, jego twarz zrobiła się nagle wilcza.

Odwróciłam zażenowana wzrok.

- Do zobaczenia na boisku! – Millie pociągnęła mnie za sobą, kręcąc pośladkami o wiele bardziej niż zwykle.

Gdy pomachałam do Nico, ten wciąż wpatrywał się w Alexa. Nie odmachał.

Wygraliśmy pierwszy mecz w porę, by popatrzeć na grę Szkarłatnych Sokołów przeciwko Uratowanym przez Piłki na przeciwnym boisku. Oglądanie braci Priestly było fascynujące; nawet Alex, który wyrażał wobec nich celową bezinteresowność odkąd tutaj przyszli, przyglądał się zachłannie meczowi. Nico i Dom byli najbardziej atletyczni, przemykając po boisku w smugach czerwieni. Zdobyli najwięcej punktów, tylko od czasu do czasu zdając się na Gino, który zdawał się lepszy w zastraszaniu reszty zawodników niż graniu przeciwko nim. Może to przez ten kucyk.

Luca chował się po linii bocznej i kiedy nadarzała się odpowiednia chwila wyskakiwał z cienia niczym żmija, wrywając piłkę przeciwnikowi zanim ten zorientowałby się o jego obecności. Ale tylko tyle robił: przechwytywał piłki. Nie widziałam, żeby zarobił choć jeden punkt. Nawet się nie spocił.

Nasz mecz przeciwko Don't Hassle the Hoff rozpoczęła się przed końcem meczu Priestlich, chociaż oczywiste było, że tak jak my dostaną się do następnej rundy. Wygraliśmy znaczną przewagą 62 punktów do 39. Alex miał w tym największą zasługę, razem z Lisem i Robbiem. Millie była na samym końcu, ale wcale się nie przejmowała. Była tutaj tylko po to, żeby się pokazać, a jeśli przypadkiem musnęła palcami piłkę to nic takiego.

Patrzyliśmy, jak bracia Priestly wygrywają drugi mecz o wiele swobodniej od nas. W trzecim meczu walczyliśmy z Burzliwymi Wiewiórkami. Byłam dotkliwie świadoma obecności Nico przy boisku i postanowiłam, że tym razem postaram się mocniej. Millie obmyśliła chyba ten sam plan, ponieważ choć raz nie piszcziała i nie uciekała od piłki. Tak naprawdę za nią ganiała.

Pod koniec trzeciego kwadransa naszego meczu bracia znajdowali się na drugim boisku, również wygrywając swój mecz, co znaczyło, że obie nasze drużyny trafiły do finału.

ROZDZIAŁ ÓSMY

SCYZORYK

- Cholera – stwierdziła Millie. Krótsze kosmyki jej grzywki podkręciły się i poprawiała gorączkowo fryzurę, kiedy stałyśmy na boisku. – Nie chcę grać przeciwko Domowi. Przekona się, jaka jestem kiepska i nie przyjdzie na moją imprezę w przyszłym tygodniu.

- Już zdążyłaś zaprosić go na imprezę?

Millie zamrugła powoli.

- A ty nie zaprosiłaś Nico?

- Um...

- Boże, Sophie. – Zacisnęła powieki i zaczęła pocierać skronie. – Czasami zastanawiam się, co się wyprawia w tej twojej główce.

- Nawet o tym nie pomyślałam – przyznałam.

- *Nawet o tym nie pomyślałam* – przedrzeźniła mnie w najgorszej imitacji mojego akcentu.

- Nie pochodzę z południa – wytknęłam.

- Impreza odbędzie się w twoje urodziny – odparowała, ignorując mój docinek. – Zdecydowanie powinnaś go zaprosić.

- Zaproszę. – Staralam się nie denerwować perspektywą zaproszenia Nico na domową imprezę odbywającą się w moje urodziny, podczas której zwróci na mnie uwagę aż pięcioro osobników.

- Tymczasem miejmy nadzieję, że Dom nie straci do mnie całego szacunku podczas tego meczu.

- Nie przejmuj się – powiedziałam uspokajająco, poprawiając sobie kucyka. – Już ujrzał, jaka jesteś kiepska.

Zmiażdżyła mnie wzrokiem.

- Już wystarczająco złe jest to, że zobaczył mnie spoconą. Dzisiaj musi być prawie czterdzieści stopni.

Dołączyli do nas Alex, Robbie i Lis, i znowu zaczęli się rozciągać. Byli tacy podeksytowani, że to było niemal śmieszne.

- Jeszcze jeden meczyk, ludzie. Prawie wygraliśmy – powiedział Alex.

- *Na pewno* nie wygramy – szepnęła Millie.

Kiwnęłam głową z powagą.

- Mamy przerąbane.

Alex skoncentrował się na nas z miną pełną niepokoju. Byłyśmy tykającymi bombami i jego świadomość tego faktu nie mogła być oczywistsza.

- OK, Szkarłatnym Sokołom brakuje jednego człowieka, co znaczy, że Lis, Stenny i ja przejmujemy najsilniejszą trójkę. Millie i Sophie, wy zostańcie przy najwyższym.

- Nie chcę kryć Luki! – zaprotestowałam.

- Mogę kryć Doma? – zapytała z nadzieją Millie.

Alex przeczesał włosy, odgarniając z oczu spocone kosmyki.

- Nie. Jeżeli Luca będzie mógł się swobodnie poruszać, popsuje nam taktykę.

Ponad ramieniem Alexa widziałam, jak bracia Priestly zajmują pozycje na boisku. Nico przerzucał w rękach piłkę ze skupionym wyrazem twarzy. Obok niego Luca uśmiechał się z wyższością, jakby to wychodziło z mody. Zastanawiałam się czy posiadał jakiegokolwiek inne miny oprócz „jestem zarozumiałym dupkiem”.

- Ziemia do Sophie.

- Co?

Alex gapił się na mnie, jego wielkie błękitne oczy były tak samo rozszerzone jak u Millie. Czasem to było przerażające, jak bardzo byli do siebie podobni przez mimikę twarzy.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Potrząsnęłam durnie głową.

- Mówiłeś coś?

Westchnął głośno i położył ręce na moich ramionach, wbijając we mnie wzrok. Normalnie byłabym wniebowzięta, gdyby przystojny starszy brat Millie podszedł do mnie tak blisko, ale rozpraszała mnie dokuczliwa świadomość obecności Nico.

- Musisz pilnować, żeby Millie była skoncentrowana. Ja zajmę się resztą. Szkarłatne Sokoły przegrają.

- Musisz przestać ich tak nazywać, bo nie potrafię wziąć cię na poważnie.

Przycisnął do mnie mocniej dłonie, jakby podtrzymywał moją determinację. Przyglądałam się, jak jedna kropelka potu spływa po boku jego twarzy na gardło.

- Sophie, czy ty możesz się skoncentrować?

- Hej, koleś, myślę, że cię zrozumiała.

Alex zabrał ręce i odsunęłam się, by zobaczyć stojącego za nim Nico. Znowu posyłał mi to spojrzenie – spojrzenie „nie ufam ci i może chcę cię zabić”, ale tym razem kierował je z bliska i pełne było wrogości.

- Tak bardzo martwisz się przegraną, że musisz nas podsłuchiwać? – odparł Alex.

Nico wygiął brew.

- Tak bardzo jarasz się tym meczem, że musisz wywoływać u niej paranoję? Opuść jej.

Alex stawiał czoła Nico; byli niemal tego samego wzrostu, ale Nico był wyższy.

- Lubię wygrywać, ona również.

- Mogę się założyć, że Sophie lubi także dobrze się bawić. Słyszałeś o czymś takim? – Nico zacisnął szczękę. – Zostaw ją w spokoju.

- Kim ty w ogóle jesteś, do diabła? – warknął Alex. – Nie znasz żadnego z nas, więc może przestaniesz wtrącać się w nasze sprawy i zaczniesz martwić się o siebie?

Nico nie ruszył się. Stali prawie tors przy torsie i widziałam po tym, jak Alex spoglądał w kierunku Robbiego i Lisa, że szukał wsparcia. Nie pierwszy raz ujrzałam defensywną postawę Nico i rozumiałam, że jego nieufność wobec Alexa brała się z mojego powodu. Wyglądało to tak, jakby Nico próbował wydrążyć dziurę w czole Alexa.

- Chłopcy, wyluzujcie się! – Wcisnęłam się w przestrzeń pomiędzy nimi, rozdzielając ich za pomocą dłoni. Alex odsunął się, ale Nico nie było tak łatwo ruszyć. Praktycznie wyczuwałam jak przez jego pory sączy się testosteron. – Zaczniemy już, dobrze?

- Dobra. – Alex zgrzytnął zębami.

- Dobra. – Nico obrócił się na pięcie i pokazał gestem na braci. Zebrali się w małą grupkę po drugiej stronie boiska.

Millie podeszła do mnie, ścisząc głos.

- Wydaje mi się, że Dom zaprosi mnie na randkę.

Alex i Nico zajmowali miejsca do rzutu sędziowskiego.

- Skąd wiesz?

Gdzieś za nami rozległ się krzyk; piłka była w grze i została przejęta przez Nico.

- Flirtował ze mną jak szalony. A myślałam, że to *ja* jestem bezwstydną! Wyczuwam, że nie chce czekać ze spotkaniem do imprezy.

Nico zdobył pierwszy punkt zanim miałam szansę na odpowiedź.

Mecz rozgrywał się w tak szybkim tempie, że ledwo mogłam nadążyć. Prawie nie dotknęłam piłki, a Millie udało się odbić nią tylko raz zanim przebiegł obok niej Luca, odbierając jej piłkę. Ilekroć mijał mnie Nico miałam wrażenie, że naumyślnie zwalniał, żebym poczuła, jak się o mnie ociera i rozkosznie zapominałam, że miałam kryć Lucę. Po połowie meczu przegrywaliśmy sześcioma punktami.

Na początku trzeciego kwadransu Robbie podał mi piłkę – stałam niekryta obok kosza. Wskoczyłam do przodu, ale piłka została wybita z moich rąk zanim zdążyłam wycelować. Oskoczyła na bok, kiedy Gino wpadł prosto na mnie. Wyleciałabym z boiska gdyby Nico nie wyskoczył znikąd, łapiąc mnie od tyłu. Potknęłam się o niego z głuchym odgłosem.

- Ostrożnie – wydyszał, owiewając nierównym oddechem mój kark.

- Nico! – zawołał Luca. – Uwaga na głowy!

Podniosłam wzrok w samą porę, by zobaczyć wielką pomarańczową plamę śmigającą prosto w moją twarz. Uderzyłam głową w klatkę piersiową Nico i chwycił mnie kurczowo, kiedy się na niego osunęłam.

- *Tu sei pazzo!* – wykrzyczał Nico nad moją głową.

Po moich policzkach spłynęły łzy, mieszając się z krwią lejącą się z mojego nosa.

Zebrał się wokół mnie mały tłum.

- Przepraszam. – To był głos Luki, ale nie potrafiłam się na nim skupić. – Chociaż powiedziałem „uwaga na głowy”.

- Po co podawałeś mi piłkę, kiedy jej twarz znajdowała się na drodze? – zapytał wściekle Nico.

- Po co ją obmacywałeś w trakcie meczu koszykówki?

- *Vaffanculo!*

Nie musiałam rozumieć włoskiego, żeby zgadnąć, co to znaczyło.

Millie zerwała z siebie kamizelkę i podała mi. Zaczęłam wycierać nos, ściskając nasadę nosa wolną ręką, żeby zatrzymać krwotok i usiłując nie czuć kilkuletniego odoru chłopięcego potu.

- Czy wszyscy mogą dać jej trochę przestrzeni? – zażądała Millie.

Nico zabrał ręce z mojej talii i dołączył do reszty, każdy patrzył na mnie z innym poziomem niepokoju. Oprócz Gino, który śledził ruchy pobliskiego motyla i śmiał się do siebie.

- Myślisz, że dasz radę grać dalej, Sophie? – zapytał Alex.

Nico najeżył się, odwracając do niego.

- Jaja sobie robisz, facet? Tylko tyle potrafisz powiedzieć?

- Jaki ty masz problem, *do cholery*? – odparował Alex.

Zanim Nico zdążyłby odpowiedzieć, Millie tupnęła nogą o asfalt niczym najbardziej rozgniewana dwulatka na świecie.

- Cholera jasna, co jest nie tak z waszą *dwójką*? Durni chłopcy i wasz *durny* duch rywalizacji. Zamknijcie się wszyscy! Sophie i ja *nie* będziemy kontynuować tej *dziecięcej* gry z porywczymi *neandertalczykami*, żebyście mogli sobie wygrać jakieś *durne*, tanie trofeum. Nie chcemy brać dalszego udziału w tej żałosnej szaradzie.

- Ja... - zaczął Luca.

- Nie! – Millie uniosła palec wskazujący i wycelowała w jego oko, jakby zamierzała je wydlubać. – Ani słowa więcej od *ciebie*. Jeżeli masz coś do powiedzenia, możesz napisać w laurce i wysłać ją do domu Sophie z *najsłodszymszym bukietem kwiatów*, jaki można kupić. Możesz tam napisać jak bardzo ci *przykro* za bycie tak *wielkim* dupkiem i niemal jej *zabicie*. Ona mogła *umrzeć*. Rozumiesz? *Umrzeć!* A ty okazujesz tylko ten uśmieszek. Nie uważam, żeby to było choć w najmniejszym stopniu śmieszne, a powiem ci, że doskonale znam się na poczuciu humoru. Więc może zetrzesz ten uśmieszek ze swojej paskudnie idealnej twarzy i nabędziesz poczucie człowieczeństwa, ty próżny palancie.

Nie mogłam pojąć, jakim cudem nikt nie śmiał się z absurdalnego dramatyizmu Millie. Gdyby bolało mnie troszkę mniej, sikałabym ze śmiechu.

- Mil... - spróbował Alex.

- Nie, Alex! – krzyknęła. – Nie chcę słuchać twoich wymówek. Skąd ty się w ogóle urwałeś, co? Nie mogę uwierzyć, że wypełzliśmy z tej samej macicy. Jeżeli nie jesteś wystarczająco męski żeby iść przez życie bez sztucznego trofeum mówiącego ci coś o samym sobie, to nie jesteś wystarczająco męski, żeby odzywać się do mnie albo Sophie. Tyczy się to was *wszystkich*, idioci. – Złapała mnie za ramię i zaczęła odciągać. – Schodzimy z boiska, tam gdzie są lody. I to ostateczne!

Widziałam w ich oczach szok; najwyraźniej nie docenili Millie. Nico piorunował wzrokiem swojego brata. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Luca już dawno byłby w świecie zmarłych.

- Wracamy do gry? – Usłyszałam pytanie Alexa, kiedy opuściliśmy boisko.

- Mogę przesiedzieć mecz, żeby wyrównać szanse. – Moje serce podskoczyło na propozycję Nico.

- Nie ma mowy. Dokończymy w takim układzie. I tak was pokonamy.

Głupi Alex.

Nico znalazł mnie po meczu, jak opatrywałam sobie nos nierozpakowanym lodem na patyku. Millie poszła szukać Doma, żeby spróbować uratować ich kiełkującą miłość po jej zwariowanym wybuchu na boisku. Alex odmaszerował naburmuszony, a Luca zapewne chełpił się gdzieś ogromnym trofeum.

- Gratuluję wygranej.

- Dzięki. – Nico usadowił się na trawie obok mnie i zgiął nogi w kolanach, obejmując je ramionami. – Ale nie sądzę, żeby półmetrowe plastikowe trofeum miało poprawić mi życie.

- Pewnie byście przegrali, gdybym grała dalej – powiedziałam przekornie. Odsunęłam loda od nosa i poruszyłam nim, żeby odzyskać czucie, czując ulgę, że nie wydawał się złamany.

- Jak nowy – stwierdził Nico. Nachylił się, żeby przyjrzeć się bliżej i zauważyłam garstkę piegów na jego nasadzie nosa. – Idealny.

- Co jest, chłopcy, z wami i waszą nieustanną potrzebą atakowania mnie, co? – zapytałam. – Uwzięliście się na mnie czy coś? Moglibyście być przynajmniej w tym subtelniejsi.

- Musi coś w tobie być. – Nico uśmiechnął się szelmowsko. – Zazwyczaj jesteśmy bardzo dyskretni.

- Czworo chłopaków i dyskretna. Te dwa terminy niezbyt pasują do siebie w moim umyśle.

- Cóż, właściwie to nie jest nas cz... - Nico przerwał niespodziewanie, kiedy coś za mną przykuło jego uwagę.

Obejrzałam się przez ramię.

Za ostatnim boiskiem na brzegu rzeki rozpoznawałam sylwetkę z kucykiem popychającą kogoś z krótkimi blond włosami za drzewa. Alex i Gino. Trudno było coś zobaczyć, ale wyglądało na to, że się kłócili.

Nico zerwał się na równe nogi. Próbowałam dotrzymać mu kroku, ale był o wiele szybszy ode mnie.

W ciągu kilku sekund znalazł się nad rzeką, lawirując pomiędzy drzewami i ściągając Alexa ze swojego brata. Gdy ich dogoniłam, znalazłam Gino zgiętego w pół, trzymał luźno głowę w rękach i nie ruszał się. Niedaleko Nico przyciskał Alexa do drzewa i obrażali się nawzajem.

Alex szarpnął się w bok i zamachnął nogą na Nico, sprawiając, że przewrócił się do tyłu.

- To nie ma z tobą nic wspólnego! – wrzasnął Alex, kiedy obaj szybko się podnieśli.

- Właśnie znokautowałeś mojego brata! – krzyknął Nico, rzucając się na Alexa i złapał go za kolana. Popchnął go na małe drzewko, które przekrzywiło się pod ich wspólnym ciężarem.

- Przestańcie! – Próbowałam odsunąć Nico od Alexa, ale to było na nic. Odsunęłam się chwiejnie do tyłu w samą porę, by uchylić się Alexowi, który wypadł do przodu, uderzył Nico z główki i powalił go na ziemię.

- Alex! – wrzasnęłam. – Czyś ty oszalał?

- Jego brat zaczął! – Stanął nad Nico. – Jesteście rodziną podłych oszustów! Wracajcie tam skąd przyszliście!

Nico splunął krwią.

- Nie wypowiadaj się na temat mojej rodziny – zagroził. Wstał z wielkim trudem, stawiając czoła staraniom Alexa, żeby znowu go przewrócić. Odzyskał równowagę i zamachnął się. Alex zrobił unik, zostawiając go mocującego się z powietrzem. Gdy Alex po raz kolejny go pchnął, Nico się nie ruszył. Zamiast tego wyrzucił ramię przed siebie i chwycił Alexa za szyję, ciągnąc go na ziemię.

Jak Alex przeklinał i ciosał dłońmi w jego boki, Nico wsunął pięść do tylnej kieszeni i wyciągnął coś. Machnął nadgarstkiem i to coś stało się dwa razy dłuższe. Zacieśnił uchwyt i pochylił się nad Alexem tak, że oboje prawie dotykali nosami ziemi. Nie widziałam, co robił, ale dostrzegłam błysk w ręce Nico, kiedy poruszał nią pomiędzy ich walczącymi sylwetkami i krzyknęłam głośno, gdy coś do mnie dotarło.

- Nicoli, *smettila!*

Podskoczyłam na dźwięk głosu Luca. Wyszedł zza mnie biegiem do swojego brata. Chwycił Nico za kark i odciągnął siłą od Alexa.

Nico zbladł na twarzy, kiedy jego brat szeptał mu pośpiesznie do ucha. Obejrzałam jego otwarte dłonie – zniknął trzymany przez niego nóż.

Obok nas Gino powoli zaczynał dochodzić do siebie. Podniósł się, pocierając po tyle głowy. Zlustrował nieprzytomnym wzrokiem scenę, po czym niemal mnie przewrócił, kierując się brzegiem do braci.

Alex również powstał i cały dygotał ze złości. Ruszył w stronę Gino.

- Nawet o tym nie myśl – powiedział Luca. – Po prostu odejdz.

- Dwoje na jednego to niesprawiedliwe – odparł Alex, zaczynając krążyć wokół braci, z których dwóch było całkowicie wyłączonych. Nico nie odezwał się słowem odkąd Luca odciągnął go od Alexa, a Gino nadal miał trudność ze staniem prosto. Widziałam, jak Alex mierzy ich wzrokiem, skupiając się na ich urazach. – Następnym razem powinienes toczyć własne bitwy, Gino.

Stałam pomiędzy nimi.

- Alex, wracaj do domu – nakazałam. – Sytuacja nie musi robić się jeszcze gorsza.

Spojrzał spod przymrużonych powiek na Nico, potem na Lucę, oceniając swoje możliwości. Wtedy niechętnie się poddał.

- Dobra. Idziesz? – zapytał mnie.

Zerknęłam na Nico. *Nie bez wyjaśnienia.*

- Za chwilę.

- To źli ludzie, Soph – powiedział zdezorientowanym głosem. – Dlaczego stajesz po ich stronie?

- To zajmie tylko chwilę – powtórzyłam, próbując zlekceważyć wyraz zdrady na jego twarzy.

- Jak sobie chcesz. Zabieram się stąd. – Alex zaczął się oddalać, ale rzucił jeszcze przez ramię „Masz szczęście!”. Nie wiedziałam, do którego brata mówił.

- Nie – powiedział Luca. – To ty masz szczęście.

Kiedy Alex zniknął nam z oczu, skupiałam całą uwagę na braciach Priestly. Nico dyszał ciężko z nieczytelną miną, rozglądając się po trawie. Obok niego stał Gino, którego włosy zwisały w nierównych kosmykach wokół uszu, jak u przekrzywionej pieczarki. Wyglądał tak samo szalenie, jak na boisku: niepotrafiący skupić się na czymś na dłużej niż kilka sekund. Luca przyglądał mi się spokojnie.

- Pójdziemy już – powiedział, jak gdyby opuszczał imprezę, a nie bijatykę.

- O co chodziło, do diabła? – zapytałam, ignorując jego nonszalancję.

- Wyzwał mnie od oszustów – odpowiedział powoli Gino, jakby dopiero co wracało do niego wspomnienie. Najwyraźniej doznał wstrząśnienia mózgu, ale nie potrafiłam rozgryźć, co się stało z Nico, który wciąż był niezwykle milczący i patrzył w dół. – Powiedział, że grałem nieczysto.

- No i co? – zapytałam.

- No i musiałem zamknąć mu durną jadaczkę! – Uniósł głos i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z jego seplenienia. To musiał być wynik ułamanych zębów.

Luca wywrócił oczami.

- Wyluzuj, Gino.

- Bójka nie jest właściwą metodą uciszenia kogoś – powiedziałam, powstrzymując się od dodania: *ty kretynie!* Złapałam ramię Nico i odsunęłam od Luki. Podniósł wzrok znad trawy, a jego oczy się rozjarzyły: w końcu zdawał się mnie rozpoznać.

- Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć, Sophie – powiedział cicho. – Staraniem się bronić brata i sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Tak myślisz?

- Idziemy – oznajmił Luca, pokazując Nicowi, żeby za nim poszedł. – Już.

Jego ciemne oczy lustrowały pole wokół mnie, kiedy się odsuwał.

- Czekaj! – powiedziałam, idąc za nim.

Odwrócił się.

- Widziałam, jak zamierzyłeś się nożem na Alexa. Nie możesz tak sobie tego zostawić! – Sama nie mogłam uwierzyć w to, co mówię. Coś takiego było strasznie pokręcone.

Nico potrząsnął głową.

- Nie zrobiłem nic w tym stylu.

- Widziałam – zaprzeczyłam. – Wyciągnąłeś nóż ze swojej kieszeni.

- Nie wiesz, o czym mówisz – odezwał się Luca, nawet się do mnie nie odwracając. – Chodź, Nicoli.

Nico zmarszczył czoło z troską.

- Musiałaś to sobie wyobrazić, Sophie.

- Nie wyobraziłam – zaprotestowałam.

Nico mnie nie słuchał. Posyłał mi to spojrzenie – takie samo, jakiego używali dorośli, kiedy traktowali was protekcjonalnie – spojrzenie pani Bailey.

- Wcześniej przeżyłaś traumatyczny wypadek. Musisz wypocząć.

Odsunęłam się od niego.

- Wiem, co widziałam.

Teraz byłam wściekła. W jednej chwili Nico był pełen humoru i troski, a w drugiej zamierzał się nożem na brata mojej najlepszej przyjaciółki, a potem kazał mi myśleć, że zwariowałam, kiedy go o to pytałam.

- Jeszcze o tym porozmawiamy, dobrze? – zapytał Nico.

Skinął mi krótko głową, po czym odwrócił się na pięcie, pozostawiając mnie przeszywającą wzrokiem jego głowę i zastanawiającą się czy ja wariowałam, czy on był najbardziej przekonującym kłamcą, jakiego poznałam.

Zamierzałam wrócić się przez boiska i odszukać Millie, kiedy coś nad brzegiem rzeki przykuło moją uwagę. Poszłam za blaskiem i chwilę potem przekopywałam trawę i podnosiłam scyzoryk, który widziałam w ręku Nico – a więc to *tego* szukał. A ja myślałam, że jego opuszczony wzrok był pokazem wyrzutów sumienia. Poczułam dziwną mieszankę triumfu i mdłości, kiedy obróciłam ostrze w ręce. Było długie na piętnaście centymetrów i ostre jak brzytwa. Zamknęłam je. Uchwyt był ciężki, złoty, a pośrodku i bardziej u dołu został wyryty herb. Był kruczoczarny i wewnątrz znajdował się przycupnięty orzeł wyryty w bogato zdobionych odcieniach głębokiej czerwieni. Jego do połowy rozłożone skrzydła muskały zarys herbu.

Pod herbem widniała inskrypcja:

Nicoli, 12 maj 1998

Niemal go wypuściłam. To nie był jakiś tam scyzoryk; to był drogocenny, *spersonalizowany* scyzoryk podpisany imieniem Nico i, jak przypuszczałam, jego datą urodzenia. Był ważny; miał znaczenie. I nie miałam bladego pojęcia, co to wszystko mogło znaczyć.

Po raz kolejny przekręciłam uchwyt, skupiając się na ptaku w herbie. Wiedziałam, jak wygląda orzeł i za drugim razem stwierdziłam, że to nie był orzeł. Może jastrząb? Wtedy do mnie dotarło. Ptak wewnątrz herbu był sokołem. Szkarłatnym sokołem. Nie wiedziałam również, co to znaczy, ale teraz byłam przekonana, że znaczy coś dla tych braci i zdecydowanie znaczyło cholernie mnóstwo dla Nico.

Ta świadomość wzbudziła we mnie panikę, ponieważ wiedziałam, że nie miałam wpływu na własną reakcję na to wszystko. Nawet, jeśli mój wujek *miał* rację, co do rodziny Priestly i tak nie mogłam nic poradzić na to, jak moje serce podskakiwało za

każdym razem, kiedy myślałam o ciemnych oczach Nico – było w nim coś, czego nie umiałam zignorować. Narastały we mnie uczucia do kogoś, kto chodził z podejrzanymi siniakami na rękach i nosił wszędzie ze sobą broń, którą najwyraźniej był gotów *wykorzystać*. Broń, po którą wróci, ale której nie znajdzie. Wiedziałam, że nie mogę ufać mojemu nierozsądnemu sercu, a to znaczyło, że musiałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby trzymać się od niego z daleka, by nie musieć słuchać serca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

WŁAMANIE

Usiłowanie unikania Nico Priestly i jego braci miało krótkie życie.

Gdy parę dni później dotarłam do domu po zmianie w restauracji, niebo się otworzyło ustępując miejsca jednej z najgorszych letnich burz odkąd pamiętałam.

Osunęłam się na drzwi wejściowe, kiedy nad chmurami przetoczył się grzmot, podnosząc włoski na moim karku i zwiastując nowy atak ulewy. Po setnym przeszukaniu torebki przyznałam porażkę. Zapomniałam kluczy, a ponieważ moja matka wyjechała do miasta do klientki nie miałam jak wejść do domu. Rozładowała mi się bateria w komórce, więc nie wiedziałam, o której wróci i nie zamierzałam roztopić się na werandzie w oczekiwaniu na nią.

Podniosłam się i - próbując zlekceważyć fakt, że deszcz zespawał mnie z dżinsami - popędziłam ulicą, przeskakując nad wszystkimi kałużami. Jeżeli pobiegnę prędkością światła, obejmując najszybszą ścieżkę to dotrę do restauracji - która znajdowała się dziewięć przecznic dalej - w porę, kiedy Ursula i nowa kelnerka Alison będą zamykać. Wtedy wejdę do środka, znajdę klucze i popłynę z powrotem do domu.

Gdy nareszcie skręciłam w parking restauracji, moje stopy ślizgały się w przemokniętych butach i kompletnie zdrętwiał mi nos. Wewnątrz knajpy wszystkie światła były zgaszone. Cała restauracja przypominała niski betonowy prostokąt kulący się pod nocnym niebem.

Spóźniłam się.

Przebiegłam przez parking, licząc na schronienie pod wysuniętym daszkiem nad wejściem. Mogłam przeczekać najgorszy etap burzy, następnie udać się do domu Millie.

Gdybym mogła normalnie przed siebie patrzeć i gdyby burza nie szarpała moimi włosami tuż przed twarzą, zauważyłabym sylwetkę stojącą przed wejściem zanim w nią uderzyłam.

- Ej! Uważaj!

Zrobiłam chwiejny krok do tyłu, będąc jedną nogą pod schronieniem, ale przedtem ujrzałam, że nieznajomy przylegał do drzwi, trzymając ręce na szybie jakby zaglądał do środka. Obrócił się i zrzucił kaptur.

- Nico?

- Sophie?

- Co ty tutaj robisz? – zapytaliśmy jednocześnie.

- Zostawiłam klucze w środku i nie mam jak dostać się do domu.

Nico skinął wyrozumiale głową. Czekałam na jego odpowiedź. Po dłuższej chwili odpowiedział cicho:

- Chciałem się z tobą zobaczyć.

Niebo rozjaśniła kolejna błyskawica i zobaczyłam jego twarz w całości. Była poważna i dziwnie bezbronna. Niecodzienna była myśl, że miał w sobie taką stronę; uważałam go za nieskazitelnego i bardzo pewnego siebie.

I niebezpiecznego, przypomniałam sobie gwałtownie. Skup się, Sophie.

Odsunęłam się od niego odruchowo i stałam bez ruchu w deszczu.

- Nie powinieneś tutaj przychodzić – powiedziałam, ciesząc się ze stanowczości mojego głosu. – Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, byśmy spędzali ze sobą czas.

- Co masz na myśli? – zapytał niespodziewanie powściągliwym tonem.

- Wiem, że mnie okłamałeś. – Wróciło do mnie wspomnienie i sięgnęłam do torebki. Wyciągnęłam nóż. Był zamknięty, ale czułam drżenie palców, kiedy ścisnęły zimny metalowy uchwyt. Nie sądziłam, że mi go wyrwie, ale nie byłam tego taka pewna – skąd miałam wiedzieć? Zrobiłam jeszcze jeden krok do tyłu i zacisnęłam dłoń, próbując zignorować deszcz moczący mi bluzkę.

Nico podszedł bliżej. Patrzyłam, jak przeniósł wzrok na moją rękę, ale nie wykonał ruchu, by zabrać nóż. Ostrożnie uniosłam go wyżej, by zawisł pomiędzy nami.

- Poznajesz to?

Obserwował mnie z wykalkulowanym spokojem. Towarzyszył nam jedynie odgłos jego nierównego oddechu i odległy grzmot, kiedy moja ręka dygotała.

- Więc? – zapytałam.

Cisza się przeciągała. Jego oddech się wyrównał, ale wyraz twarzy pozostał niezmienny, zdeterminowany. Kiedy w końcu mi odpowiedział, zdawało się, że włożył w to całą swą energię. Zacisnął usta i wydusił powoli słowa, jakby zdradzał go własny język.

- To moje.

- Znalazłam w trawie po tym jak sobie poszedłeś. – Niepotrzebny szczegół – prawdopodobnie wrócił po niego, kiedy stamtąd odeszłam – ale czułam przymus przypomnienia mu, że miałam rację, a on nie miał prawa przekonywać mnie o

czymkolwiek innym. Wiedział, że ja wiedziałam, że nóż należał do niego i im mniej podawał mi informacji, tym bardziej robiłam się podejrzliwa.

Opuściłam rękę i zrobiłam krok w jego stronę, wciskając się w jego przestrzeń osobistą pod daszkiem, żeby ściana pomiędzy nami uległa zniszczeniu.

Spiął ramiona.

- Dlaczego nosisz przy sobie nóż?

Grał na zwłokę, przeczesując włosy palcami i chwytając za kępy, sprawiając, że sterczały mu nad uszami. Kiedy opuścił rękę, westchnął z rezygnacją.

- Ten nóż był prezentem od mojego wuja – zaczął powoli, jakby czytał scenariusz. – Potrafi być trochę... ekscentryczny.

Obróciłam nóż w dłoni, przesuwając kciukiem po herbie sokoła i znajdującym się pod nim napisem.

- Jeżeli nie masz lepszego określenia.

- W mojej rodzinie, kiedy kończymy szesnaście lat wuj daje nam scyzoryki podpisane naszym imieniem i datą urodzenia – ciągnął, brząc na pewniejszego siebie. – Coś takiego robił jego ojciec, mój dziadek, dlatego on robi to samo dla nas. To taka rodzinna tradycja.

- Wydaje mi się trochę niebezpieczne. – Nie próbowałam chować krytyki.

Nico wzruszył ramionami i przyznał cicho:

- Można tak powiedzieć o Felice.

- Fe-li-cze – powtórzyłam. Imię pasowało do darczyńcy noża. – Na szesnaste urodziny dostałam kolczyki. Ale żadnej broni.

Nico przesunął kciukiem po dolnej wardze i zorientowałam się, że skupiam się na tym, jak przygryzał ją zębami.

Otrząsnęłam się z tej myśli i znowu się od niego odsunęłam.

Skup się.

- Widziałam, jak wyciągnąłeś go podczas bójk z Alexem – powiedziałam. – Czy zamierzałeś... - Zawahałam się. – Co zamierzałeś z nim zrobić?

- Nic – odpowiedział z takim przekonaniem, że prawie czułam przymus, by mu uwierzyć. – Nigdy bym go nie wykorzystał przeciwko drugiej osobie, szczególnie przeciwko bratu twojej przyjaciółki. Ale pomyślałam, że jeśli go zobaczy to wycofa się i zostawi mojego brata w spokoju. Już pozbawił przytomności Gino, ale wracał po więcej.

Był tak bardzo ambitny, tak wściekły, że wygraliśmy i przekonany, że oszukiwaliśmy. Chciałem się go pozbyć zanim włączyłaby się reszta moich braci.

- Więc chciałeś zagrozić mu *nożem*? – zapytałam z niedowierzaniem.

- Nie – zawahał się Nico, potrząsając głową. – Nie w taki sposób. Ja tylko... sam nie wiem. Próbowałem zażegnać kryzys... - urwał.

Musiałam zwalczyć chęć złapania jego brody pomiędzy palcem wskazującym, a kciukiem, żeby podtrzymać jego wzrok. Czy to była prawda, czy dobrze ułożone kłamstwo?

- Po co w ogóle go nosisz?

- Trudno to wytłumaczyć – odpowiedział i jego wyraz twarzy stał się nagle zażenowany. – Chyba dlatego, żeby czuć się bezpiecznym i żeby móc ochronić braci gdyby zaszła taka potrzeba. Od śmierci mojego ojca wszystkim nam jest ciężko. Jego odejście nas zmieniło. Zmieniło mnie. Nie znam tego miasteczka ani jego mieszkańców, i tak bardzo przywykłem do noszenia ze sobą noża dla poczucia bezpieczeństwa, że trzymanie go w kieszeni jest dla mnie naturalne. – Przełknął ciężko ślinę, tłumiąc emocje, które osłabiały jego głos. – Wiem, że to dziwny sposób na radzenie sobie z takim przeżyciem, ale mnie pomaga.

Miałam wrażenie, że nóż nagle przybrał na wadze.

- Nie wiedziałam.

Nico wzruszył ramionami. Kolejna błyskawica rozświetliła jego twarz i zauważyłam, że była ponura od wspomnień. Wsparł się o drzwi wejściowe w pokonanej postawie. W jakąkolwiek bawiliśmy się grę prawdy to ja byłam zwyciężczynią i czułam się niespokojnie z tego powodu.

- Jest jak jest – mruknął.

Musiałam odwrócić od niego wzrok. Sama przeżywałam te uczucia żalu i smutku, nawet się w nich pławiłam i po co to wszystko? Dla ojca, który zasługiwał na swój los i który ostatecznie do mnie wróci. Wiedziałam, że było w Nico coś, co czyniło go złą partią dla mnie, ale były pewne rzeczy w jego życiu, których nie mógł zmienić i to nie czyniło go złym człowiekiem.

- Przykro mi.

- Nie, to mnie przykro. – Wyprostował się nagle, jak gdyby ktoś nad nim pociągnął za sznurki i bezbronność w jego posturze wyparowała. – Idiota ze mnie, że wyciągnąłem ten nóż, ale nie zraniłbym nim Alexa, przysięgam. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Proszę, przekaz to Millie.

- Nie wspominałam Millie o nożu – powiedziałam, czując jak żołądek ściska mi się z poczucia winy. To wiele mówiło.

- Och – powiedział cicho.

- Alex go nie zobaczył i nie chciałam pogarszać sytuacji. Poza tym po wszystkim wysłał mi wiadomość, przeprasząc, że zrobiło się gorąco, więc pomyślałam, że moglibyśmy wziąć to za odosobniony incydent, który wymknął się spod kontroli i może obaj o wszystkim zapomnieć. – Mówiłam szybko, prawie niezrozumiale. Nagle miałam wrażenie, że płoną mi policzki. Nie powiedziałam Millie wszystkiego. Czy byłam przez to złą przyjaciółką? Czy może tylko idiotką? Ponieważ pomimo świadomości, że nie powinno mi zależeć na Nico, to zależało i chociaż starałam się go unikać miałam nadzieję, że go zobaczę – dam mu szansę, żeby się wytłumaczył.

- Dziękuję – powiedział szczerze. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem i przepraszam, że cię okłamałem. Wydawało mi się, że tak będzie łatwiej, ale potem wiedziałem, że źle zrobiłem. Chciałem przyjść i o tym porozmawiać.

- Więc dlatego tu jesteś? – zapytałam, zastanawiając się nad późną porą jego wizyty.

Nico uśmiechnął się, ukazując lśniące białe zęby w ciemności.

- Masz mnie.

Wsadziłam nóż z powrotem do torebki i zajrzałam przez drzwi knajpy, tak jak on zrobił to wcześniej nie dlatego, iż sądziłam, że ktoś jest w środku, ale dlatego, że niespodziewanie czułam nieśmiałość i nie wiedziałam, co innego począć.

- Możesz wejść do środka? – zapytał.

Mokre włosy załopotwały wokół mnie jak sznurki, kiedy pokręciłam głową.

- Wszyscy poszli do domów.

- Może uda mi się coś z tym zrobić.

- Uda ci się teleportować mnie do mojego domu?

Wziął nierówny wdech i zapytał szarmancko:

- Chcesz, żebym spróbował?

- Teleportować mnie?

- Nie. – Odchrząknął. – Spróbuję otworzyć drzwi, jeśli chcesz.

- Co? Jak?

- Czy mam twoje pozwolenie?

Podniosłam ręce. – Jak najbardziej.

- Mogłabyś troszkę się odsunąć?

- Naprawdę zamierzasz to zrobić?

Zacisnął zęby.

- Tak.

Zgodziłabym się na wszystko, o co by mnie wtedy poprosił, ponieważ cały mokry od deszczu wyglądał niesamowicie. Jego faliste brązowe włosy były wilgotne i odgarnięte z twarzy, odsłaniając pełen efekt wyrzeźbionych kości policzkowych. Wycofałam się.

Nico odwrócił się do mnie plecami i wyciągnął z tylnej kieszeni coś przypominającego wieczne pióro.

- Co to?

- Inny prezent, który by cię nie zachwycił – odparł po prostu, po czym zbliżył się do drzwi, całkowicie mi je przesłaniając.

Przez ponad minutę widziałam jedynie nieznaczące ruchy jego ramion, kiedy majstrował przy drzwiach – najpierw górny zamek, który ustąpił z lekkim stukotem, a potem cięższy na dole, który zajął więcej czasu. W końcu nacisnął klamkę i drzwi stanęły przed nami otworem, wprawiając w ruch dzwonek u góry.

Opadła mi szczęka.

- Właśnie włamałeś się do restauracji.

- Za twoim pozwoleniem. – Włożył do kieszeni swój tajemniczy przedmiot i odsunął się, bym mogła wejść pierwsza. – Panie przodem.

Wpatrywałam się w niego, wchodząc do środka, żeby wstukać kod alarmu zanim zdołałby się włączyć.

- Masz to w nawyku?

- Nie – odparł, idąc tuż za mną. – Jak byliśmy młodszy moi bracia i ja zwykliśmy szukać sobie narzędzi, żeby włamywać się do swoich pokojów. Nigdy nie było to nic poważniejszego od wojen pokojowych. Po prostu miałem głupie szczęście, że stary śrubokręt zdołał dziś otworzyć te drzwi. Te zamki powinny być mocniejsze.

Pstryknęłam włącznik, pobudzając do życia rząd wbudowanych w sufit lamp, które oświetliły ścieżkę na drugą stronę knajpy.

- I zdarzyło ci się nosić go ze sobą, ponieważ...?

- Próbowałem dzisiaj dostać się do starej stodoły u mojego wuja, byśmy mogli ją wykorzystać jako magazyn.

Nico kroczył za mną, rozglądając się po wnętrzu restauracji, jakby to była najbardziej fascynująca rzecz, jaką kiedykolwiek ujrzał.

- Moja matka zamówiła całą ciężarówkę antyków do nowego domu, ale nie chce żebyśmy wnieśli je do domu, dopóki nie wróci za parę tygodni zza oceanu. Najpierw chce dokończyć obraz. Więc na razie szukamy miejsca, gdzie je upchać.

Weszłam za ladę i zaczęłam szukać kluczy.

- Twoja mama powierza swoim synom zaopiekowanie się jej drogocennymi meblami pod jej nieobecność?

Nico wszedł za mną, ocierając się o mnie ramieniem, kiedy szukaliśmy ręka w rękę.

- W sumie tak.

- Chyba nie jestem tym całkowicie przekonana, ale to wydaje się prawdopodobniejsze niż inne teorie.

- Jakie teorie?

Uniosłam podbródek.

- Co powiesz na taką, że jesteś osławionym złodziejem biżuterii?

Nico przechylił głowę na bok i uśmiechnął się. Napięcie uleciało z jego barków.

- To brzmi nawet fajnie.

- Albo co jeśli rabujesz bezbronne staruszki, kiedy śpią smacznie w swoich łóżkach?

- Niefajnie.

Na chwilę zaprzestałam poszukiwań i spojrzałam na niego – na jego atramentowo-brązowe oczy, zarys górnej wargi, to jak włosy zakręcały mu się pod uszami. Było w nim coś mglistego, coś mrocznego i niepewnego. Wszystko to rozpało w moim wnętrzu rodzaj niepokoju, którego nie czułam od dłuższego czasu. Przypomniałam sobie ostrzeżenie wujka i nie pierwszy raz poczułam na sobie jego ciężar.

- Problem polega na tym – powiedziałam, urywając na moment – że nie wiem *kim* jesteś.

Nico podtrzymał pewnie mój wzrok.

- Może to jest w tym częścią zabawy.

Zbyt wytracona z równowagi by odpowiedzieć, odnowiłam poszukiwania kluczy, a Nico wybuchł niskim śmiechem. Zdecydowanie nie planował, żeby to brzmiało uwodzicielsko, ale ten dźwięk połączony z naszą bliskością miał na mnie taki właśnie wpływ.

- A więc twoja mama wyjechała za granicę i zostawiła wszystkich synów w nowiuteńkim domu? – zapytałam, próbując odwrócić swoją uwagę. – Wydaje się bardzo ufna.

- Wręcz przeciwnie – odparł Nico, znowu się śmiejąc. – Po prostu miłość do weneckich mebli przebija nieufność, którą żywi do pięciu synów.

Pięciu synów! Więc nie wyobraziłam sobie Piątego Chłopca Priestly i zdecydowanie nie widziałam tamtej nocy ducha.

- *Staramy się* uszanować jej życzenia, kiedy jest nieobecna – dodał po namyśle Nico. – Choć czasami robimy bałagan i oczywiście się bijemy, jak to bracia.

- Nie mam żadnego rodzeństwa, więc niewiele wiem o tej całej rywalizacji.

Nico przytaknął w zamyśleniu.

- Szkoda. Bracia są moimi najlepszymi przyjaciółmi.

- Nawet Luca? – Nie mogłam się powstrzymać.

Uśmiech Nico był pełen zrozumienia.

- *Nawet Luca.*

- To... zaskakujące.

- Nie jest taki okropny.

Ugryzłam się w język.

- Nie ma nic ważniejszego od rodzinnych więzi – ciągnął. – Gdy mój dziadek jeszcze żył zawsze mawiał: „*La famiglia prima di tutto.*” Tak ma napisane w mauzoleum.

Bogacze? Znowu ugryzłam się w język.

- Co to znaczy?

- „Rodzina ponad wszystko”.

- Fajnie – rzekłam nieco nieudolnie. – Gdy umarł tata mojej mamy, na jego nagrobku napisano „Wystrojony bez celu podróży”.

Zdezorientowany wyraz twarzy Nico był, jak można się było spodziewać, ujmujący.

- Był ateistą – wyjaśniłam.

- Och. – Konsternacja zamieniła się w krzywy uśmiech. – Zabawny ateista.

- Umarł tak jak żył – wymyślając żarty, które wkurzały babcię.

Pochyliłam się i zaczęłam przeszukiwać szafki za ladą – były tam poskładane fartuchy, stare brudne swetry i czyjaś para dresów. Pewnie moja.

Nico przeglądał dokumenty leżące na wierzchu blatu.

- Czy twojemu kierownikowi nie przeszkadzałaby tutaj twoja obecność?

- Nie ma tam moich kluczy – powiedziałam, otwierając następną szafkę i grzebiąc w środku – sam kurz i popsute długopisy. – Znajdują się pewnie w jednej z tych ciup.

Spojrzałam na Nico. Podniósł kartę menu i przeglądał ją.

- Nie miałby nic przeciwko? – powtórzył.

- Nie. – Zajrzałam do innego kącika i poczułam, że koniuszki moich palców muskają coś metalowego i poszarpanego. – Zamknę za nami. Nawet się nie dowie, że tu byliśmy.

Słyszałam szelest przesuwanych kartek, kiedy Nico przyglądał się niektórym, a potem odkładał na swoje miejsce.

- Gdzie on w ogóle jest?

Zmieniłam pozycję ramienia, żeby móc dosięgnąć głębiej.

- Kto?

- Twój kierownik.

- Jego kolega zmarł, więc pojechał odwiedzić jego rodzinę. Nie wiem gdzie jest teraz. – Zatrzymałam się, kiedy przed oczami ukazała mi się dezaprobująca twarz mojego wujka, cała napuchnięta i zaczerwieniona. Z lekkim ukłuciem zdałam sobie sprawę, że za nim tęskniłam. Miałam nadzieję, że wkrótce do mnie zadzwoni.

Zacisnęłam dłoń na kluczach, macając ich znajomy kształt z cieniem triumfu.

Nico przestał szeleścić.

- Więc tak po prostu nie wrócił?

Wyciągnęłam je – jeden mosiężny klucz od restauracji, drugi srebrny i mniejszy do mniejszego zamka, fioletowy klucz do domu i błyszczący breloczek z wieżą Eiffla od Millie. Wskoczyłam w górę i triumfalnie pomachałam przed sobą kluczami.

- Mam je! – Wrzuciłam klucze do torby.

Uśmiech Nico rozciągał się bardziej z jednej strony, unosząc prawy policzek. Staliśmy parę kroków od siebie, nie byliśmy już rozproszeni poszukiwaniami i nie

mieliśmy na co innego patrzeć niż na siebie. Niespodziewanie nasze otoczenie stało się o wiele bardziej intymne. Stojąc przemoczona w knajpie, stałam się jeszcze bardziej świadoma jego obecności i każdego wydechu, który był głośniejszy niż powinien.

- Chcesz, żebym odwiózł cię do domu? – zapytał. – Tam na zewnątrz dalej mocno pada. Nie chcę, żebyś zamieniła się w kałużę.

- Czy ty sugerujesz, że jestem wiedźmą?

Nico udał przerażoną minę.

- Absolutnie nie. Zawsze jestem dżentelmenem.

- Poza momentami, kiedy przewracasz niewinne dziewczyny przed swoim domem i włamujesz się w środku nocy do restauracji – wytknęłam. Pomyślałam o skomentowaniu scyzoryka, ale pohamowałam się, myśląc o jego ojcu i wszystkim, co mi dopiero wyznał.

Skinął głową z powagą.

- Tak. Poza tymi momentami.

Zawahałam się.

- Podwózka byłaby świetna.

Podążyłam za nim z powrotem na drugi koniec restauracji, koncentrując się na jaśniejszych pasmach orzechu w jego ciemnych włosach.

Gdy Nico kierował się do drzwi, chowając ręce głęboko w kieszeniach, po raz kolejny przyjrzał się knajpie.

- To miejsce jest takie... retro.

- Trzeba się przyzwyczać.

- Jak z moją matką – zachichotał miękko. – Właściwie czasem myślę, że nadal się przyzwyczajam.

- To samo czuję do pewnych osób. – Uśmiechnęłam się, myśląc o Jacku i celowo *nie* myśląc o ostrzeżeniu. Potrafił być trudny i nieprzewidywalny, ale kiedy pojawiał się w twoim życiu to zostawał w nim na dobre, podobnie jak pieprzyk, który jest częścią twego życia.

- Ale mogę się założyć, że nikt nie czuje tego w stosunku do ciebie, Sophie.

Och, jedynie jakieś tysiąc mieszkańców Cedar Hill.

- Zdziwiłbyś się.

- Naprawdę? – Nico odwrócił się do mnie, zatrzymując się na progu.

- Powinniśmy iść – mruknęłam, zmuszając się do skupienia na wszystkich wątpliwych cechach tego chłopaka, a nie na tym, jak traciłam oddech ilekroć na mnie popatrzył.

Jeżeli Nico był rozczarowany to tego nie okazywał. Zamiast tego rozpiął swoją bluzę.

- Weź – powiedział, wyciągając ją do mnie. – Będziemy musieli pobiec do samochodu. – Trzymał ramię przed sobą, pozostając w samej czarnej koszulce i ciemnych dżinsach. Zacisnął szczękę i miałam wrażenie, że ośmielał mnie do odrzucenia jego gestu. – Proszę.

- Cóż, skoro nalegasz.

Wzięłam bluzę i narzuciłam na siebie. Była co najmniej o cztery rozmiary za duża. Kiedy ją zapięłam i wyprostowałam rękawy, żeby zakrywały mi dłonie, Nico przestał wyglądać tak poważnie. Zwalczyłam ochotę zrobienia piruetu, żeby bluza rozwiła się niczym peleryna. *Nie bądź dziwadłem.*

Nico uśmiechał się do mnie ironicznie.

- No co? – Podparłam ręce – teraz niewidoczne – na biodrach. – Nigdy wcześniej nie widziałeś przemoczonego szczura w za dużej bluzie?

- Żadnego podobnego do ciebie – zaśmiał się.

- Musisz częściej wychodzić z domu.

- Najwyraźniej.

Zgasiłam światła, wbiłam kod alarmu i zamknęłam za nami restaurację, wychodząc za nim w ulewę.

Nic dziwnego, że wcześniej nie zauważyłam SUVa Nico – był zaparkowany po przeciwnej stronie parkingu, gdzie nie dosięgały nawet latarnie. Rzuciliśmy się do niego biegiem chwając się pod siłą wiatru, który chłostał nam deszczem w twarze. Gdy dotarliśmy do samochodu wpadłam do środka, mocując się z zamknięciem drzwi. Opadłam na chłodne skórzane siedzenie, opatulając się ramionami, podczas gdy Nico rozpałił silnik. Szczękał zębami bez ciepła zapewnianego mu przez bluzę.

Przez całą drogę podawałam mu kierunki do mojego domu i rozplątywałam włosy, żeby nie nakręciły się za bardzo pod wpływem wilgoci. Właśnie rozluźniałam się w swobodnej rozmowie i przyjemnym uczuciu suchości, kiedy podjechał pod mój dom.

- Dzięki za podwózkę. – Próbowałam nie brzmieć na zbyt zawiedzioną, że nasz wspólny czas dobiegł końca. Otworzyłam drzwi, które wyleciały z rozmachem od poddmuchu wiatru.

- Sophie. – Nico nachylił się i złapał mnie za nogę, zatrzymując dolną część mojego ciała w ciepłym wnętrzu auta. – Zaczekaj.

Moje serce podskoczyło i zaczęłam się martwić, że usłyszy jak nagle głośno zadudniło. Starłam się nie oddychać za szybko ani nie zapatrzeć się na jego dłoń na moim kolanie. Spojrzałam na niego i zauważyłam, że przygląda się moim ramionom, mojej talii, mojej... *jego* bluzie.

- Och. – Potrząsnęłam głową, rugając się w myślach. – Twoja bluza.

Zaczęłam ją rozpinąć.

- Nie, nie chodzi o to – odparł szybko, nie zabierając ręki z mojego kolana. – Oddasz mi innym razem.

Opuściłam dłonie na kolana i czekałam, wstrzymując oddech. Widziałam, że do czegoś się przygotowywał. Przez moją głowę przewijało się tysiąc różnych możliwości i niespodziewanie serce tłuło się o moje żebra, jakby próbowało się wyrwać.

Wciągnął gwałtownie oddech, patrząc nagle niepewnie.

- Scyzoryk – powiedział cicho. – Mogę go dostać z powrotem?

Mina mi zrzedła i coś we mnie – bardzo przypominało nadzieję – skurczyło się i zdechło. Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam nóż, upuszczając go do jego wyciągniętej dłoni w jednym szybkim ruchu.

- Oczywiście. Zapomniałam.

Zacisnął wokół niego dłoń i przez jego twarz przemknęła ulga, odprężając jego postawę.

- Dziękuję.

- Tak będzie najlepiej. Wiesz, to nie byłby zbyt dobry pomysł, gdybym chodziła z nożem. Prawdopodobnie bym na niego upadła albo coś. – Słowa wypadły ze mnie w nieproszonych, wysokich zdaniach, próbowałam odwrócić swoją uwagę od przemożnej niezręczności tej sytuacji. – Pewnie skończyłoby się na tym, że bym się zabiła czy coś, a zdecydowanie potrafię wyobrazić sobie o wiele mniej żenujące sposoby na śmierć. – *Czy mogłabyś zachowywać się bardziej nieodpowiednio?* Skrzywiłam się zaraz potem i wyskoczyłam z samochodu nim strzeliłabym następną gafę. – Jeszcze raz dzięki za wszystko.

- Sophie? – Nico przechylił się przez miejsce pasażera z poważnym wyrazem twarzy. – Zrobisz coś dla mnie?

- Co?

- Nie myśl o sposobach na śmierć.

- Nie będę.

- Dobrze.

Odsunął się z małym, opanowanym uśmiechem i zamknęłam drzwi.

Stałam w deszczu, obserwując samochód, dopóki nie zniknął na końcu ulicy. Potem pomyślałam o chłopcu z posiniaczoną ręką oraz spersonalizowanym nożu, którzy właśnie włamali się do restauracji mojego ojca i zastanawiałam się dlaczego, do diabła, tak bardzo smuciłam się jego odjazdem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ARTYSTA

Mogłam zrobić tylko jedno z bluzą Nico.

- Doskonale – powiedziała Millie, kiedy zadzwoniłam do niej następnego poranka, żeby o wszystkim opowiedzieć. – Wykorzystaj to jako wymówkę, żeby pójść do jego domu i zaprosić na sobotnią imprezę!

Przez kłótnię z Alexem Millie nie była największą fanką Nica, ale nigdy nie chowała urazy, a biorąc pod uwagę, że „chłopcy będą chłopcami” stwierdziła, że zdecydowanie mogła „zobaczyć w nim potencjał” i nadal powinnam go zaprosić na jej imprezę. Domyślałam się, jak Alex zareaguje pojawienie się Nico, ale Millie się upierała. Alex nie mógł wetować jej gości. Szczególnie, że miała ich tak mało w porównaniu do niego.

Poza tym była niesamowicie zainteresowana moim żalonym życiem romantycznym, a ponieważ Nico był nowy w Cedar Hill i najwyraźniej nie miał pojęcia o niedalekiej przeszłości mojego ojca, ujrzała w nim rzadką, pozbawioną osądu, okazję, żebym się zakochała. Nie liczył się fakt czy mógł być dla mnie złą partią, czy nie. To tylko sprawiało, że była bardziej zainteresowana nim i jego rodziną, tym bardziej, że Dom zaprosił ją na randkę tuż po turnieju koszykówki.

- O osiemnastej spotykam się z Domem, więc spróbuj zadzwonić później, jeśli dowiesz się czegoś soczystego – pisnęła przez telefon. – I nie zapomnij cyknąć zdjęć, jeśli wejdiesz do środka. Jesteś mi to winna. Jestem zbyt młoda, by umierać z ciekawości.

Postanowiłam nie mówić Millie, że nie będę robić zdjęć w domu Nico bez jego wiedzy, jak jakiś stalker. Wystarczająco przerażająca była myśl o zaproszeniu go na imprezę. Co jeśli odmówi? Co jeśli się zgodzi, a kiedy się tam pojawi dowie się o moim statusie społecznego pariasa?

- Tylko jeśli dowiesz się czegoś o bliźnie Doma – odparłam.

- Łatwizna. Życzę szczęścia. Nie pożałujesz tego – zanuciła i rozłączyła się.

Do czasu, jak dotarłam do posiadłości Priestlich byłam kłębkim nerwów. Budynek przywrócony do prawowitej królewskości wyglądał jak bajkowy pałac. Pod ciężkimi promieniami słońca okna błyszczały jak brylanty i bez bluszczu pełnącego wzdłuż ścian dom miał kolor nieskalanej, alabastrowej bieli.

Jak miałam się do tego zabrać? *Cześć, dzięki za pożyczenie bluzy. Tak na marginesie, może przyjdiesz w sobotę na imprezę Millie? Zbiegiem okoliczności odbędzie się również w moje urodziny, ale większość gości będzie mnie ignorować, ponieważ mój tata jest*

mordercą, co teoretycznie czyni mnie potomkiem diabła. Więc jak, przyjdiesz? Cudownie. A co jeśli Nico nie ma w domu i otworzy mi Luca? Cześć, powiedz swojemu bratu, żeby przyszedł na imprezę Millie, ale upewnij się, że ciebie zabraknie, bo jesteś do kitu. Gdyby otworzył Gino mogłabym odwrócić jego uwagę czymś błyszczącym i mieć nadzieję, że ostatecznie pojawi się Nico.

Z bluzą przerzuconą przez ramię i myślami o tym, jak to wszystko może źle się potoczyć, wcisnęłam dzwonek przy drzwiach. Gdy nie usłyszałam jego echa wewnątrz, postanowiłam użyć mosiężnej kołatki dla pewności. Zaczekałam. Zapukałam jeszcze raz.

Co teraz? Nie przyszły mi do głowy żadne błyskotliwe pomysły co do tego, gdyby nikogo nie było w domu. Miałam zostawić bluzę pod drzwiami i dać sobie spokój? Cóż za rozczarowanie. Bez namysłu obeszłam posiadłość do miejsca, gdzie podjazd zamieniał się w wąską ścieżkę rozciągającą się wokół budynku.

Jak doszłam do ogrodu zatrzymałam się zaskoczona. Nie wiem czego się spodziewałam – może kortu do tenisa albo basenu – ale zdecydowanie nie tego, co znalazłam. Ciasny i zarośnięty ogród był bardzo daleki od zamożnej fasady domu. Na obrzeżach kępy chwastów spletały się ze zwiędłymi krzewami róż. Trawa sięgała mi za kolana i miała brzydki szaro-zielony odcień. Na samym krańcu zniszczonego ogrodu znajdowały się pozostałości fontanny ze skomplikowanymi rzeźbieniami w blokach kamienia; a pośrodku trawnika wielki drewniany stół balansował na trzech, wyjedzonych przez korniki, nogach.

Za mną znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi inkrustowane witrażami, które wychodziły na ogród. Były lekko uchylone.

Zastukałam knykциями o szybę, popychając drzwi i zajrzałam do przestronnej kuchni. Ściany i szafki były surowo białe, a jasny parkiet wyglądał na nowy. Czarna żeliwna kuchenka sięgała do wysokiego sufitu, który był wysadzany żarówkami.

- Kto tam? – Ze środka dobiegł melodyjny głos, wytrącając mnie gwałtownie z węszenia.

Zawahałam się. Jeśli nie znałam tego głosu, to ten głos nie pozna mnie, więc na co potrzebne moje imię?

- Sophie – odparłam po dłuższej chwili.

Zero odpowiedzi.

- Chciałam tylko zwrócić bluzę.

Popchnęłam drzwi trochę dalej. Moim oczom ukazało się więcej przestrzeni kuchennej. Na białych ścianach wisiało kilkanaście obrazów olejnych w zdobnych ramach. W jednym rozpoznałam *Madonnę z Dzieciątkiem* Da Vinciego – ulubiony obraz mojej babci – jednak reszta, choć również religijna, była dla mnie obca. Wpatrywałam się

w zdziwieniu. Nigdy wcześniej nie widziałam w domu takiej sztuki – prawie jak w galerii albo kościele, i poczułam się onieśmielona całą tą wspaniałością. Brałam pod uwagę wyciągnięcie komórki i pstryknięcie fotki dla Millie, ale powstrzymał mnie głos rozsądku.

Weszłam ostrożnie do środka.

Pośrodku kuchni znajdowała się wyspa kuchenna z marmurowym blatem, a za nią szklany stół zasłany kilkunastoma arkuszami papieru i garścią ołówków. Przy stole siedział chłopak. Rysował.

- Halo? – zawołałam, chociaż widziałam, że wiedział o mojej obecności.

Podniósł wzrok i natychmiast odnalazł mnie przeszywającymi błękitnymi oczami. Zajrzałam w nie, marszcząc brwi, kiedy mój żołądek zamienił się w galaretę.

- Luca?

Nie odpowiedział. Odłożył tylko ołówek i siedział w niemym zamyśleniu, trzymając łokcie na stole i opierając brodę na splecionych palcach, jakby się modlił.

Poczułam, jak oddech staje mi w gardle.

- Och!

To nie był Luca, tylko chłopak z okna. Tak jak tamtej pierwszej nocy jego oczy się rozszerzyły, ale tym razem w rozpoznaniu. Osadzone w oliwkowej skórze miały barwę jasnego, zdumiewającego błękitu. Były takie same jak u Luki, ale coś wydawało się w nich innego... być może były cieplejsze.

- Poznaję cię – powiedział tym przyjemnym, śpiewnym głosem.

Podeszłam do niego całkowicie urzeczona. Posiadał przenikliwe oczy Luki, jego złotą skórę i kruczoczarne włosy. Ale kiedy włosy Luki były potargane, opadając kosmykami na oczy, to włosy tego chłopaka były krótko przystrzyżone, całkowicie odgarnięte z twarzy, odsłaniając szpiczasty podbródek i poważne kości policzkowe. Był także chudszy i nieznacznie zgarbiony. Nie potrafiłam stwierdzić czy był starszy ode mnie – nie wyglądał, ale podobieństwo do Luki kazało mi myśleć, że chyba był.

- Tydzień temu obserwowałam mój dom. – Opuścił dłonie i oparł na stole przed sobą, ale jego oczy pozostawały pełne ostrożności.

Zatrzymałam się, kiedy doszłam do stołu, stojąc niepewnie. Wtedy zdałam sobie sprawę dlaczego nie ruszył w moim kierunku i dlaczego nie brał udziału w turnieju koszykówki. Siedział na wózku inwalidzkim.

- Tak, to byłem ja – odparłam. Staralam się nie gapić, ale był tak bardzo podobny do Luki, a jednak tak bardzo niepodobny, że trudno było się z tym pogodzić. – Byłam ciekawa.

- Sądzę, że chwilę potem zaliczyłaś spektakularny upadek – dodał, ale nie nieuprzejmie.

- To punkt sporny. Twój brat na mnie wpadł.

Uśmiechnął się, przez co nagle wyglądał bardzo młodo i chłopięco.

- Mam nadzieję, że przeprosił.

- Ostatecznie. – Podeszłam trochę bliżej, dopóki nie stykałam się dłońmi ze stołem. – Jesteś taki do niego podobny. – To były te oczy... takie nienaturalne. Niewiarygodne dla mnie było, że istniały w dwóch innych twarzach. – Do Luki. Nie chcę tak się gapić, ale to naprawdę niezwykle.

- Cóż – rzekł – może jesteśmy bliźniakami, ale nie jesteśmy tacy sami.

Byłam tylko częściowo zaskoczona. Chociaż ich podobieństwo było zaskakujące, wszyscy bracia Priestly mieli te same rysy, a ten chłopak posiadał aurę niewinności, której brakowało Luce. Wydawał się słodki i nieskalany przez coś, co uczyniło jego bliźniaka takim wielkim dupkiem.

- Po pierwsze nie potrafi manewrować wózkiem inwalidzkim choćby w połowie tak dobrze, jak ja. – Zastukał prawą ręką w koło i uśmiechnął się kpiarsko. – A po drugie jestem mądrzejszy.

- Nie wątpię. – Wyglądał na zadowolonego moim przytaknięciem. – Jestem Sophie. Ale już to mówiłam.

- Witaj, Sophie. – Jego uśmiech był czymś pięknym. Pomyśleć, że Luca miał potencjał by wyglądać i zachowywać się w taki sposób, a jednak postanowił tego nie robić. – Jestem Valentino.

Przysunął się do przodu i wziął do ręki ołówek, obracając nim pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Podążyłam za nim wzrokiem i nabrałam głośno powietrza, kiedy ożyły pode mną kartki papieru. Usiłowałam obejrzeć je wszystkie naraz.

- Są niesamowite.

Valentino machnął ręką na szkice ze swobodą, która wydawała się nie na miejscu. Były cudowne i musiał o tym wiedzieć. Co więcej powinien *przyznawać* się do swojego talentu i mi przytaknąć. Zwykłam myśleć, że mój ojciec był artystą, ponieważ potrafił narysować Myszkę Mickey, ale ta sztuka była na całkiem innym poziomie.

Przesunęłam wzrokiem po rysunkach i zatrzymałam się na widok bocznego profilu Nico. Przez zmarszczone czoło przechodziły ostrożne cienie i zbierały się pod kośćmi policzkowymi. Jego usta były rozchylone w koncentracji, włosy skręcały się pod uchem, kiedy patrzył przed siebie, skupiając się na czymś poza kadrem.

- Nadajesz temu taki rzeczywisty wygląd.

Zerknęłam na Valentino. Przygryzał wargę, myśląc.

- Szukam cech, które nie są widoczne na pierwszy rzut oka – powiedział. – Cech, które określają część tego, kim jesteśmy i co naprawdę czujemy w głębi duszy. Staram się zajrzeć pod powierzchnię.

Jego głos zaczął pęcznieć od napiętności i ręce nabrały własnego życia.

- To życie jest tak złożone, że rzadko kiedy mamy okazję robić, co nam pisane. Zamiast tego nosimy maski i wznosimy mury, żeby nie musieć radzić sobie ze strachem przed odrzuceniem, poczuciem żalu, samą myślą, że ktoś mógłby nas nie pokochać przez to kim jesteśmy tak naprawdę, że ten ktoś może nie zrozumieć, co nas napędza. Pragnę badać autentyczność życia, nie tylko jego korzystne światło. Wszędzie jest piękno; nawet w ciemności czai się światło i to najrzadszego rodzaju.

Obserwowałam, jak entuzjazm rozjaśnia jego rysy twarzy.

- Nie znam nikogo, kto myśli i przemawia w taki sposób – przyznałam. – To... odświeżające.

- To jest prawda – odparł.

- Mogę zobaczyć resztę?

Odłożył ołówek i odjechał trochę wózkami. Przerzuciłam bluzę przez krzesło obok i pochyliłam się nad stołem, podpierając się na dłoniach.

Szkic Gino i Doma, jak grali w grę wideo; siedzieli na podłodze z podwiniętymi pod siebie nogami, jakby znowu byli małymi chłopcami. Ściskali w dłoniach kontrolery i śmiali się razem, stykając się ramionami i odrzucając głowy do tyłu. Ich oczy ściągały się w kącikach i marszczyli nosy w rozbawieniu. Dom wolną ręką targał kucyka Gino.

- Jak doskonały moment – westchnęłam.

- *Szczęście* – powiedział cicho Valentino, wbijając spojrzenie w scenę.

Wróciłam wzrokiem do profilu Nico. Zaciśnięta szczęka, skoncentrowanie na twarzy.

- A to jest *Determinacja* – dodał Valentino.

Obok szkicu Nico znajdował się portret kobiety stojącej w kuchni. Ścisnęła dłońmi boki zlewu, wyglądając przez okno przed sobą. Była smukła i rozczochrana, ubrana w jedwabny długi szlafrok, który układał się wokół jej stóp. Jej nos oświetlały promyki słońca, a po plecach spływały swobodnie ciemne włosy. Jej brwi ściągały się pod ostrym kątem.

- To twoja matka?

Przytaknęła.

- Jest piękna – powiedziałam.

- Jest rozgniewana – odparł obiektywnie Valentino.

Wyciągnęłam rękę i przysunęłam sobie następny portret. Luca. Siedział samotnie na werandzie ubrany w czarny garnitur. Przyciągał kolana do piersi, podpierając się na nich łokciami i nachylając do przodu. Jego ramiona były zgarbione, czyniąc jego sylwetkę mniejszą, jak Valentino. Patrzył w ziemię, na nic, i ścisnął kurczowo włosy, jakby próbował zadać sobie ból.

Przełknęłam z trudem ślinę. Ciężko było na to patrzeć. Zerknęłam na Valentino i zobaczyłam, że on również nie patrzył na portret.

- *Cierpienie?* – podsunęłam cicho.

- *Żal* – odpowiedział.

- Zagłębienie pod maskę musi być trudne – powiedziałam z nagle ściśniętym gardłem.

Valentino uniósł podbródek.

- Nie trudniejsze od noszenia maski.

Wycofałam dłonie i wyprostowałam się, kiedy oblała mnie fala czegoś nieprzyjemnego. Nie chciałam dłużej oglądać tych portretów. Nieswojo było patrzeć w najmroczniejsze momenty cudzej duszy bez jej wiedzy.

- Myślisz, że ty nosisz maskę?

- Noszę ją teraz. – Valentino uśmiechnął się łagodnie. – Oboje nosimy.

- To smutna myśl.

- Tak – powiedział. – Ale czasami zastanawiam się nad alternatywą. Wyobraź sobie, gdybyśmy nie mieli sekretów, żadnego wytchnienia od prawdy. Co gdyby wszystko zostało ujawnione w chwili, kiedy się poznaliśmy?

Ta myśl zawirowała mi w głowie. *Cześć, nazywam się Sophie. Mój wujek to paranoiczny wariat, ojciec siedzi w więzieniu za morderstwo, a matka zakopuje się w pracy żeby nie myśleć o złamanym sercu. Jestem przekonana, że wolę kreskówki od prawdziwego życia i mam tylko jedną prawdziwą przyjaciółkę. Boję się burzy i nie mam zaufania do kotów. Mam obsesję na punkcie uroku leniwców i czasem płaczę na reklamach.*

- To byłoby okropne – przyznałam.

Valentino uśmiechał się, jakby właśnie wysłuchał mojego wewnętrznego monologu.

- Absolutny chaos.

Skinęłam głową, czując się przytłoczona. Gdzieś w głębi duszy walczyłam z niespodziewaną ochotą, żeby wybuchnąć płaczem. Jakby wyczuwając moją wewnętrzną walkę, Valentino dał mi chwilę prywatności. Odwrócił wzrok i zaczął układać szkice w jeden stosik, dopóki nie widziałam tylko tego, nad którym pracował. Widniał na nim mężczyzna, chyba po czterdziestce, ubrany nienagannie w lśniący ciemny garnitur i patrzący prosto na mnie z kartki. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że go znam, że gdzieś go już widziałam, ale chwila minęła i wiedziałam, że widzę w nim jego syna. Był tak bardzo podobny do Nico, że poczułam jakby ktoś mnie kopnął w brzuch. Posiadał te same ciemne oczy z jaśniejszymi kropkami, ten sam prosty, wąski nos i te same zakrzywione usta. Jego włosy były gdzieś tam siwe i przerzedłe, ukazując czoło pełne zmarszczek. Miał ponury wyraz twarzy.

- Powaga? – ośmieliłam się.

- Nie – odparł Valentino, nie podnosząc wzroku. – To jest Śmierć. – Patrzyłam, jak rozmazuje krawędzie. – Codziennie rysuję mojego ojca, żeby nigdy go nie zapomnieć. Ale nie potrafię już znaleźć w nim więcej. Jest teraz z aniołami i nie musi już nosić maski. Wszystko czym był zniknęło.

- Przykro mi – powiedziałam słabo. Nie wiedziałam, co innego powiedzieć, a to nadal nie wydawało się choćby w połowie wystarczające.

Valentino wzruszył ramionami, jego wyraz twarzy był rzeczowy.

- Nie da się uniknąć nieuchronności śmierci. Przyjdzie po ciebie w ten czy inny sposób i ostatecznie zabiera nas wszystkich do tego samego miejsca. Przepraszanie za to jest jak przepraszanie za świecące słońce albo padający deszcz. Jest jak jest.

Chciałam mu powiedzieć, że poszczyściło mu się z tym pragmatyzmem, ale nie miałam szans. Za mną otworzyły się drzwi. Najpierw dotarł do mnie zapach: niewyraźna słodkość w powietrzu.

- Valentino? – Podążył za nim kruchy i łagodny głos mężczyzny.

Odwróciłam się, by zobaczyć szczupłego człowieka w wieku średnim, który przyglądał mi się zdziwiony. Miał oliwkową skórę i najbardziej srebrzyste włosy, jakie kiedykolwiek widziałam. Jego brwi były tak jasne, że ledwo je zauważyłam, ale po sposobie, w jaki wgniętały mu czoło domyśliłam się, że były uniesione.

- O rany – powiedział ze słabym akcentem. – Dzień dobry.

Podszedł do mnie, przypominając dobrze ubraną tyczkę, przechylając głowę na bok. Niewiele wiedziałam na temat męskich ubrań, ale potrafiłam rozpoznać drogi garnitur, kiedy go widziałam. Był czarny z cienkimi prążkami, a pod nim miał lśniąca szarą koszulę i jedwabny szalik. Jeżeli gotował się w wilgoci, to tego nie okazywał.

Wyciągnął rękę i uściśnęłam ją; jego uścisk był zimny i mocny. Kiedy stał tak blisko, słodki zapach stał się silniejszy; prawie przesłodzony. Było w nim coś jako tako znajomego, ale nie potrafiłam stwierdzić co.

- A ty jesteś? – zapytał, powoli się uśmiechając.

- Sophie i wpadłam tylko, żeby...

- Cóż za przyjemność – powiedział, uciszając mnie uprzejmie i militarnie wypuszczając rękę.

Usiłowałam nie patrzeć na czerwone ślady na jego twarzy: nie były to pryszcze, ale bardziej ślady po ukłuciu – z daleka niemal niezauważalne, ale trudne do zignorowania z bliska. Tak jakby wpadł twarzą do ogrodu róż.

- Wybaczcie moje wtargnięcie. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam. Jestem Felice – powiedział, podkreślając imię z wyraźną włoską nutką. – Wuj Valentino.

Kupiec scyzoryka. Starłam się nie obrzucić go obrzydzonego spojrzeniem.

- W niczym nie przeszkadzasz – odpowiedział Valentino zza mojego ramienia. W jego głosie była nutka oburzenia.

Felice obszedł stół szerokimi, pełnymi gracji krokami, zabierając ze sobą większość zapachu.

- Nie byłem świadom, że chłopcy mieli czas na nawiązywanie przyjaźni w sąsiedztwie.

- To nic w tym stylu – odpowiedział kwaśno Valentino. – Sophie tylko coś zwracała.

Podniosłam bluzę Nico, próbując rozładować dziwne napięcie, które powstało.

Felice spojrzał na nią ostro.

- Czy to jest Luki?

- Mało prawdopodobne – rzekł Valentino.

Felice potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie – mruknął. – *On* ma poukładane priorytety.

Nie wiedziałam czy to był przytyk do mnie, czy do pozostałych trzech braci.

- Doma? – zapytał Felice, marszcząc brwi, jakby to była najważniejsza tajemnica na całym świecie.

- Nie. Spotyka się z tamtą dziewczyną z restauracji.

- Ach tak, oczywiście.

Rozchyliłam usta ze zdziwieniem. A więc wiedzieli już o Millie? Ta nowinka miała zaledwie dobę czasu! Chyba mówili sobie o wszystkim. A jednak wyraźnie nie mieli pojęcia, kim jestem.

- Bluza jest Nico – wtrąciłam, czując się trochę urażona. – Wczoraj wpadłam na niego przed restauracją i pożyczył mi ją, bo lał deszcz.

Felice zeszywniał, wymieniając się słabo ukrytym zaniepokojonym spojrzeniem z Valentino.

- Nicoli nic nie wspominał – powiedział, odzyskując opanowanie i pokazując zęby.

Jego odpowiedź zadała mi cios. Jak mogli wiedzieć już o Millie, ale o mnie nic a nic? Nico najwyraźniej nie uważał mnie za wystarczająco ważną, żeby cokolwiek o mnie wspomnieć. Ta myśl sprawiła, że poczułam się głupio, że w ogóle tu przyszedłam.

- Oto jego bluza. – Odrzuciłam ją beztrąsko na krzesło. Najwyraźniej wyolbrzymiałam jej gest. – Chciałam ją tylko oddać, ale potem zaczęliśmy rozmawiać o sztuce Valentino i uciekł mi czas.

- Ach. – Felice poklepał swojego bratanka po ramieniu i zerknął na stos rysunków. – Znakomite, nieprawdaż?

- Tak – przyznałam, żałując przyjścia tutaj.

- Wiecie – odezwał się Felice do nikogo w szczególności – czytałam ostatnio najbardziej niewiarygodne rzeczy na temat artystycznej wrażliwości i jej związku z tragedią. – Odsunął się od Valentino i zaczął dreptać wokół stołu. – Wiedzieliście, że wielu artystów i kompozytorów stworzyło swoje najlepsze dzieła tuż po tragediach, które miały miejsce w ich życiu osobistym?

Nie czekał na naszą reakcję, ale dalej krążył wokół stołu, poruszając rękoma.

- Popatrzcie na Carlo Gesualdo, słynnego włoskiego księcia i powszechnie uznawanego geniusza. Zamordował swoją żonę i jej kochanka w ich łóżku małżeńskim, okaleczył ich ciała, a potem powiesił za oknami pałacu, żeby wszyscy mogli ich ujrzeć. A *potem* skomponował najpotężniejszą i najmroczniejszą muzykę szesnastego wieku.

Valentino przesunął się niekomfortowo w wózku.

Felice przestał gestykulować i przyjrzał się mojej reakcji.

- Co o tym myślisz?

Usiłowałam nie myśleć o tym, jakim fiaskiem okazał się być mój plan.

- Wydaje mi się, że kompozytor sam ściągnął na siebie tę tragedię – zaryzykowałam, życząc sobie w duchu, żeby zapaść się pod ziemię. – Więc nie wiem czy powinno się to liczyć jako coś, co mu się *przydarzyło*.

- Ach, debata. – Na twarzy Felice pojawiła się radość. – Oczywiście można utrzymywać, że presja przymusu wykonania kary została na niego ściągnięta przez czyny jego żony. Społeczność oczekiwała, że ją ukarze, ale dla niego ten akt nadal mógł być tragedią osobistą.

- Ale oczywiście nie musiał jej zabijać. – Gdyby Millie mogła mnie teraz zobaczyć... debatuję nad złożonością szesnastowiecznego morderstwa. Wszystko to i kamienie nagrobne w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – kalendarz pokazywał lipiec, ale zdecydowanie zaczynałam mieć wrażenie, że mamy Halloween.

- Cóż, jego żona była niewierna, a w tamtych czasach niewierność pociągała ze sobą wysoką karę.

- Tak wysoką jak morderstwo?

- Tak sądzę.

Skrzyżowałam ramiona, czując obrazę w imieniu wszystkich szesnastowiecznych kobiet.

- Nie uważam, żeby jej zdrada usprawiedliwiała jego reakcję.

- Ach! – Felice podniósł palec wskazujący, jakby natknął się właśnie na rozwiązanie zagadki. – Lecz biorąc pod uwagę, że jego reakcja doprowadziła bezpośrednio do jego muzycznej spuścizny, to być może, w ogólnym rozrachunku, usprawiedliwiała. Ogólnie rzecz biorąc myślę, że świat stał się przez to lepszym miejscem. I zdecydowanie jest w tym uzasadnienie.

- Uch... - zaczęłam niezręcznie. Zaczęłam się mocno gubić. – Ja myślę, że to wszystko jest dość pochrzanione.

- Tak – powtórzył Valentino, odchrząkując. – *Jest* pochrzanione. Tak jak ta rozmowa.

Felice machnął lekceważąco ręką, skupiając się teraz na obrazach olejnych za nami.

- Ale rzecz w tym, że jego muzyka *była* cudowna. Musicie przyjmować do siebie możliwość odwrotnej korelacji, co oznaczałoby mroczny czyn prowadzący do głębszego związku z twórczą energią i, w konsekwencji, piękną kompozycję.

- Hitler był artystą *zanim* popełnił wszystkie te potworności. – To jedyne, co zapamiętałam z lekcji historii – a skoro gawędziliśmy o morderstwie, dlaczego by nie dorzucić Hitlera? Ten dzień sięgnął już dna. – Nie można powiedzieć, że morderstwo prowadzi do lepszej inwencji twórczej i vice versa. – Chciałam dodać coś w stylu: *Więc na twoim miejscu nie zabijałabym jeszcze swojej żony*. Ale zmieniłam zdanie.

Felice klasnął w ręce.

- Ale czyż to nie są fascynujące rozważania? Że dwie części jednej psychiki mogą współżyć ze sobą w ten właśnie sposób?

- W ciemności można znaleźć światło – powtórzyłam wcześniejsze słowa Valentino.

Valentino przytaknął głową w zamyśleniu, ale wyczuwałam jego dyskomfort. Ścisnął boki wózka tak mocno, że białły mu palce.

Ach, dziwni krewni. Było coś całkiem słodkiego w tym, że Nico i ja dzieliliśmy lekko stukniętych wujów. Może pewnego dnia uda nam się ich sobie przedstawić.

- Absolutnie! – odpowiedział po chwili Felice na moją zapożyczoną maksymę. – I czasami ciemna ścieżka może poprowadzić do światła.

Zaczęłam się wiercić nieswojo. Znowu mnie zgubił, ale zdecydowanie zaczynałam rozumieć dlaczego uważał za dobry pomysł kupowanie noży swoim bratankom.

- Chyba to jest coś wartego przemyślenia.

Zadzwoił telefon Felicego, wypełniając kuchnię intensywną operą. Zamknął oczy i zakołysał się do melodii, po czym nareszcie wyciągnął komórkę z górnej kieszeni marynarki i odebrał.

- *Ciao, Calvino!* – Zakrył słuchawkę. – Przepraszam na chwilę – szepnął i opuścił kuchnię.

Patrzyłam jak wychodzi.

- Na pewno jest... pełen energii.

Gdy odwróciłam się z powrotem do Valentino, jego wyraz twarzy był nieczytelny.

- Sophie – powiedział ze znużeniem. – Dziękuję, że zwróciłaś bluzę Nico, ale muszę być z tobą szczery. On nie chciałby, żebyś tu była.

Czułam się, jakbym została spoliczkowana.

- Co?

- Nie chcę ranić twoich uczuć – kontynuował tym samym uspokajającym pomrukiem. – Ale jesteśmy w trakcie bardzo prywatnej rodzinnej sprawy.

Czy on odnosił się do ich ojca? Jego śmierć musiała być bliższa w czasie niż przypuszczałam.

- Pójdę już – wydukałam.

Valentino uśmiechnął się przepaszająco.

- Nie bierz tego do siebie, proszę.

- Nie ma sprawy – skłamałam, odwracając się od niego i spiesząc przez kuchnię. Mój wzrok padł na dużą czarną ramkę po lewej stronie drzwi. Została zawieszona w połowie ściany i rzucała się w oczy pod tym kątem. Wewnątrz ramki znajdował się ten sam herb, który widziałam na nożu Nico – kruczoczarny ze szkarłatnym sokołem w środku. Pod herbem widniał pochyły czerwony napis: LA FAMIGLIA PRIMA DI TUTTO. *Rodzina ponad wszystko* – przypomniałam sobie, że to słowa dziadka Nico.

- Po prostu to taki okres... - zawołał za mną Valentino.

Wszystko mnie mrowiło i nie wiedziałam dlaczego. Niespodziewanie wszystko wydawało się takie intensywne. Czując pieczenie w policzkach, kiedy opuścił je cały kolor, zamknęłam za sobą podwójne drzwi kuchni Priestlich.

Ledwo dotarłam do końca przecznicy, kiedy ktoś chwycił mnie za tył bluzki. Zachwiałam się do tyłu i zderzyłam się z cichym okrzykiem z małą, pulchną sylwetką.

Obróciłam się gwałtownie, wrywając z żelaznego uścisku.

- Pani Bailey? – Piskliwość mojego głosu powiadomiła mnie o oktawie, o której nawet nie wiedziałam, że posiadam. – Co pani wyprawia?

Staruszka zmarszczyła twarz, jakby właśnie wgryzła się w cytrynę.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie, Persefono Gracewell. Co ty wyprawiasz, u licha?

- Wracam do domu. Moja zmiana w restauracji zaczyna się za godzinę. – Wykręciłam ręce, żeby nie zacząć nią potrząsać. Po całym tym dniu ona była ostatnim, czego potrzebowałam. – I nazywam się Sophie!

- Widziałam, jak wchodziłaś do tego domu – odparowała. – Mówiłam, żebyś trzymała się z dala od tej rodziny. Siedziałaś tam tak długo, że prawie zadzwoniłam na policję!

- Żartuje sobie pani?

Zesztywniała. – Czy ty nie czytasz gazet?

- O czym pani mówi?

- *Mówię o kilku zniknięciach i dwóch dziwnych zgonach w ciągu dwóch ostatnich tygodni – z których wszyscy byli członkami tej społeczności, a ty nawet się nie zorientowałaś. Otwórz oczy, Persefono!*

- Są otwarte! – A przynajmniej myślałam tak do tej pory. Najwyraźniej musiałam wygoogłować mnóstwo rzeczy.

Pani Bailey dalej narzekała, wymachując mi palcem przed twarzą.

- Nikt nie tonie we własnej wannie, wiesz. I nie spada przypadkiem z dachu!

- Co pani ma na myśli? – zapytałam, zaplatając ramiona, żeby odpędzić nagły chłód.

Pani Bailey ściszyła głos.

- Mam na myśli, że w tym domu jest coś niewłaściwego i *nie* powinnaś przebywać w pobliżu czegoś takiego.

Nie próbowałam ukrywać rozdrażnienia. Kolejny dzień, kolejna plotka.

- Nie może pani opowiadać takich bzdur, pani Bailey!

- Tam jest mrok – wysyczała uparcie.

Wznowiłam drogę, wzmagając tempo, żeby musiała biec, by za mną nadążyć.

- To żal! Opłakują swojego ojca.

Nie wyglądała na odrobinę zaskoczoną moją odpowiedzią. Zamiast tego parsknęła śmiechem.

Spojrzałam na nią wytrzeszczonymi oczami.

- Śmiesz to panią?

- Ten człowiek zasłużył na swój los.

Stanęłam jak wryta.

Dopadła do mnie, dysząc ciężko.

- Co pani powiedziała?

- Wysłuchaj mnie bardzo uważnie, Persefona. – Szarpnęła moje ramię, przyciągając mnie bliżej, żeby szeptać. – Ten człowiek zasłużył sobie na śmierć. A jeżeli ci chłopcy są do niego choć troszkę podobni to oni również na nią zasługują.

Wpatrywałam się w nią dłuższą chwilę, zaciskając pięści po bokach i poruszając nozdrzami. Rozpaczliwie próbowałam dać jej kredyt zaufania, ale po całym dniu wahań nastrojów pragnęłam jedynie ją udusić. Czy to takie rzeczy wygadawała o *mnie* za *moimi* plecami? Jej zdanie o moim ojcu zawsze było oczywiste.

- Jak może pani mówić coś takiego? – zapytałam ostro.

Pani Bailey obejrzała się przez ramię, rzucając oczami na boki.

- Persefona – syknęła przez drżące wargi. – Nie bez powodu nazywano tego męzczyznę stwórcą aniołów.

Stwórca aniołów. Poczułam nagle mdłości i zachwiałam się w miejscu.

- Co to znaczy? – wydukałam.

- A jak myślisz? – zapytała. – Trochę poszperałam i mówię ci, że ich ojciec był bardzo złym człowiekiem. Wątpię, żeby ci chłopcy byli o wiele lepsi i musisz mi zaufać, kiedy mówię, że powinnaś trzymać się od nich z daleka. Nie chcę mówić nic więcej.

Co to miało znaczyć, do diabła? Że naprawdę posiadała próg lepiej-nie-będę-już-dzisiaj-rozpowiadać-pierdół? Przyjrzałam jej się ostrożnie. Co mogła na tym zyskać? Z drugiej strony, co mogła zyskać z dotychczasowych plotek? Była notoryczną królową dramy i młynem na plotki i zaczęłam się zastanawiać ile osób ostrzegała przede *mną*. Nico *nie był* zły, byłam o tym przekonana. A skoro już przy tym jesteśmy, to jego bracia również nie byli źli. Grali w koszykówkę i gry wideo. Droczyli się ze sobą i flirtowali z dziewczynami. Obsmarowywanie kogoś reputacją ojca nie było sprawiedliwe. Doskonale o tym wiedziałam i nie zamierzałam popełnić tego samego błędu, co wielu moich dawnych znajomych. Tym bardziej, że ojca Nico nie było już na świecie.

Znowu zaczęłam iść przed siebie.

- Próbuję cię ostrzec. - Pani Bailey przyśpieszyła.

- Okej. – Weszłam w zakręt, wymachując ramionami w nadziei, że doprowadzą mnie szybciej do domu. – Doceniam troskę.

- W ogóle, co ty tam robiłaś w tym domu?

Choć nie chciałam żywić jej uzależnienia od plotek, stwierdziłam, że prawda może ją uciszyć.

- Oddawałam pożyczoną bluzę.

- Śmiesznie pachniesz.

- Dzięki.

Zaczęła mnie obwąchiwać.

Po raz kolejny się zatrzymałam.

- Co pani robi?

- Każdy z moich sześciu zmysłów jest bardzo rozwinięty. Próbuję odgadnąć, co to za zapach.

Przypomniałam sobie Felicego i jego mdły zapach.

- Czy jest słodki? – zapytałam, podnosząc rękę, którą się z nim przywitałam i powąchałam ją. Na moich palcach pozostał słaby aromat, ale nie był tak silny, jak twierdziła pani Bailey. Może przyzwyczytałam się do niego.

- Tak – powiedziała, biorąc moją dłoń i powąchała. Zmarszczyła twarz w koncentracji. – Czy to nowe perfumy?

- Nie używam perfum.

- Aha – wydyszała po chwili. Jej głos był niewątpliwie zadowolony. – Wiem, co to jest!

Skrzyżowałam ramiona na piersiach, udając zniecierpliwienie, ale mój żołądek zaplótł się w zimny węzeł. *Nie* potrafiłam nie złapać tej przynęty.

- No co?

Pani Bailey wygięła osądzająco brew, rozkoszując się odpowiedzią.

- Miód.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NAZWISKO

Reszta dnia minęła monotennie. Wujek Jack nareszcie zadzwonił do restauracji, żeby zapytać, co u mnie. Podał mi numer swojej nowej komórki, ale rozłączył się zanim miałam szansę o cokolwiek go wypytać. Przez resztę zmiany zastanawiałam się, co takiego robił i dlaczego nie wrócił jeszcze do domu. Myślałam także o miodzie i czy niezwykley zapach Felicego był związany ze słoikiem, który znalazłam obok kasy.

Ursula ciągnęła dwunastogodzinne zmiany, żeby wypełnić kompetencyjną pustkę pozostawioną przez mojego wujka oraz Alison i Paula, którzy spędzali więcej czasu na obściskiwaniu się w kuchni niż obsłudze stolików. Z drugiej strony Millie wzięła sobie dzień wolny i mądrze go wykorzystywała. Zadzwoniłam do niej wieczorem po wyjściu z knajpy i opowiedziałyśmy sobie, jak nam minął dzień.

- Więc Valentino zasadniczo cię wykopał? – zapytała, nabierając dramatycznie tchu.

- No – odparłam, wciąż czując się troszkę zażenowana. – Cała sytuacja była dziwna. Czy Dom wysyłał jakieś dziwne wibracje na randce?

- Nie! – Przez telefon przepłynął jej podniecony głos i poczułam niemile widziane ukłucie zazdrości, co do tego jak inaczej przebiegło jej spotkanie z Domem. – Spędziliśmy wspólnie czas i poszliśmy na piknik – ciągnęła radośnie Millie. – Możesz uwierzyć?

Zatrzymałam się, kiedy dotarłam na skraj parkingu, zastanawiając się, w którym pójść kierunku.

- Poważnie? To brzmi tak...

- Wyreżyserowanie? Wiem. Normalnie jak w filmie.

- A skąd ma bliźnę? – zapytałam, przechodząc przez ulicę i wybierając skrót, niech szlag weźmie dom Priestlich.

- Wypadek na łodzi – powiedziała Millie, ziewając.

- Serio? – Usłyszałam w swoim głosie sceptycyzm. Dom nie wyglądał na typa lubiącego rejsy łódką. Z drugiej jednak strony jego bracia również nie wyglądali na typów lubiących koszykówkę i pomyliłam się w tej sprawie.

- Ta, nudna historyjka. Coś związanego z haczykiem – odparła lekceważąco Millie. – *W każdym razie* kupiliśmy sobie kanapki i koktajle, i poszliśmy do Rayfield Park.

Rozmawialiśmy przez kilka godzin. Wydawał się naprawdę mną zainteresowany, więc to chyba dobry znak.

- Zdecydowanie. – Moja droga do domu zaczęła się powoli wznosić i zaczęło mnie kłuć w piersi z wysiłku podchodzenia pod górę i opowiadania Millie wszystkiego, co mnie męczyło w tym samym czasie. Wspomniałam o sprawie ich-tata-mógł-być-znanym-mordercą. Chociaż nie mogłam ufać pani Bailey, a kiedy wygooglowałam w telefonie każdą możliwą odmianę „Zabójca Priestly Chicago” i nie wyszło nic powiązanego z rodziną Nico, to chciałam poinformować o wszystkim Millie.

- Myślisz, że powinniśmy się do nich nie zbliżać przynajmniej dopóki nie dowiemy się, co się dzieje? – zaryzykowałam.

Millie zajęczała z dezaprobatą.

- Soph, pani Bailey to chodząca gazeta plotkarska. Ona żywi się absurdalnymi pogłoskami. Pamiętasz, jak powiedziała mojej mamie, że jestem w ciąży? To wariatka. Z Domem i jego rodziną jest wszystko w porządku, zaufaj mi.

- Po prostu sędzę, że coś się tutaj nie zgadza.

- No to przekonajmy się, co to takiego! – nalegała. – Weź to za zagadkę. Seksowną zagadkę.

- Co jeśli nie powinniśmy ruszać tej sprawy? – zapytałam, myśląc znowu o słodkim zapachu miodu i wyobrażeniu, że Dom miał *wypadek na łodzi*. Nie potrafiłam sobie go wyobrazić w espadrylach.

- Widziałam, jak patrzyłaś na Nico, Soph – rzekła Millie. – Powiedz, że nie warto go rozgryźć.

Może miała rację; nawet jeśli skręcało mnie w żołądku nie można było zaprzeczyć uczuciom, które wywoływał we mnie Nico. I Millie o tym wiedziała. Poza tym nie chciałam deptać jej podeksycytowania przez zwykłą plotkę.

- O czym rozmawialiście? – zapytałam zamiast tego.

- Opowiadał, że mieszkał z rodziną w samym centrum miasta i że przedmieścia są nudne w porównaniu. Ma dziewiętnaście lat, co jest seksowne i totalnie pikantne, choć rzeczywiście nadużywa trochę żelu do włosów. Styl Danny’ego Zuko pasuje tylko w Halloween. Nie, żeby to mnie powstrzymało od gapienia się na niego w odrętwieniu, kiedy mówił. Często musiałam go prosić o powtórzenie, co było kłopotliwe. Nieważne, potem rozmowa zesza głównie na mnie, ale *jestem* dość fascynującym tematem. *I* weszliśmy również na twój temat.

Zarumieniłam się.

- Dlaczego?

Skręciłam w wąską alejkę, na której piętrzyły się przede mną ogrodzone wille i rzędy czereśni. W połowie droga przecinała się z Lockwood Avenue.

- Choć *uwielbiam* o tobie mówić, to Dom przypadkiem o tobie wspomniał.

- Och? – Nic o nim nie wiedziałam może poza tym, że był wyraźnie mniej dziwny od Gino i znajdował się o wiele niżej od Luki w skali jestem-zarozumiałym-dupkiem. – Co o mnie mówił?

- Pytał o restaurację i te inne. Wspomniałam coś o tym, że pewnie wkrótce przejmiesz ją od wujka i że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, więc oczywiście dasz mi *wielką* podwyżkę.

- Oczywiście – przyznałam sarkastycznie.

- A potem wymknęła mi się krótka tyrada na temat Jacka i tego, jak okropnie idzie mu teraz zajmowanie się restauracją.

- Mil!

Skręciłam w Lockwood Avenue.

- Daj spokój, Soph – zgañła mnie. – Fakt pozostaje faktem. Wyjechał, nie zostawiając informacji jak się z nim skontaktować. Nie można sobie od tak zniknąć. Po pierwsze to nieuprzejme, a po drugie dziwne. Właśnie takie zachowanie daje kopa idiotycznym plotkom pani Bailey.

- Okej. – Miała rację i nie zamierzałam jej denerwować.

- Tak czy inaczej jestem pewna, że Dom przekaze swojemu bratu fakt, że wkrótce będziesz siedzieć na małej żyle złota i bez wątpienia staniesz się jeszcze atrakcyjniejsza!

Wzdrygnęłam się, przypominając sobie kłamstwo, które wcisnęłam Nicowi i Luce za pierwszym razem, kiedy zobaczyłam ich w restauracji. Miałam nadzieję, że Nico nie poczuje się oszukany. Przecież teoretycznie to była moja wakacyjna praca. Na razie.

Gdy byłam coraz bliżej poczułam niekomfortowy uścisk w brzuchu na widok ich domu.

- Nie wydaje mi się, żeby poszukiwali złota. Powinnaś ujrzeć ich dom – powiedziałam, patrząc na niego.

- Miejmy nadzieję, że pewnego dnia do tego dojdzie. – Domyślałam się, że Millie poruszała sugestywnie brwiami na drugim końcu linii. – Lepiej już pójdę. Zmęczyła mnie ta eskapada.

- Czekał! Pocałowałaś go?

- Nie sądzisz, że od tego zaczęłabym rozmowę?

- Szkoda.

- Ale *pocałował* mnie w dłoń, kiedy mnie podwiózł. Czy to się liczy? To było *strasznie* romantyczne.

- Zdecydowanie liczy! – zapewniłam, mijając szybko dom Nico. – Dobra, teraz możesz się rozłączyć – powiedziałam, kiedy znalazłam się bezpiecznie po drugiej stronie i posiadłość rozciągała się do nieba za mną. Skręciłam w lewo i ścieżka znowu zaczęła schodzić w dół.

- Napisz, kiedy dotrzesz do domu.

- Pa.

- Sophie! – zawołał głos, jak wkładałam komórkę do torebki.

Odwróciłam się, czując znajome szarpnięcie w brzuchu. Od razu go rozpoznałam, kiedy biegł do mnie w kapturze.

Zareagowałam wykalkulowanym opanowaniem, próbując pohamować okropny entuzjizm, który kazał mi rzucić się w jego kierunku.

- Nico?

Zatrzymał się przede mną i opuścił kaptur. Uśmiechnął się szeroko.

- Cześć.

- Co robisz? – zapytałam.

- Nie brzmisz na uradowaną moim widokiem – zauważył. Nad jego brwiami pojawiły się małe wgłębienia i uśmiech zbladł. – Może przeceniłem to jak dobrze przyjmiesz fakt, że gonię za tobą jak maniak...

- Dlaczego? Przecież ostatnim razem poszło ci *doskonale* – droczyłam się.

Na jego twarzy pojawiła się skrucha, ale nie potrafił ukryć uśmiešku.

- Wtedy dostałem nauczkę, prawda? Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nic się nie stało – zapewniłam. – Po prostu wyskoczyłeś znikąd.

Jego twarz oblała ulga.

- Chciałem przyjść zobaczyć się z tobą w restauracji, a wtedy zobaczyłem, jak mijasz mój dom, więc stwierdziłem, że skorzystam z okazji.

- Przynajmniej tym razem na mnie nie wpadłeś. – Chwyciłam się za pierś z udawaną ulgą. – Inaczej skopałabym ci tyłek.

- Straszne – powiedział, nie przestając się uśmiechać.

- Hej! – Uderzyłam go lekko w ramię, upajając się rozciągającą między nami znajomością. – Wiedz, że potrafię być bardzo onieśmielająca.

- Jestem pewien, że te maleńkie piąstki są potężne.

Zadałam mu kolejny cios, ale tym razem schwytał moją dłoń w połowie ataku.

- Słyszałem, że przyszedłeś dzisiaj do mojego domu. – Nagle przybrał poważny wyraz twarzy i jego oczy straciły całe ciepło. – Nigdy nie przychodź do mojego domu.

Wysunęłam mu dłoń. Odwróciłam się od niego i wznowiłam drogę.

- Nie martw się, nie przyjdę.

- Sophie. – Potruchtał za mną. – Źle to zabrzmiało, przepraszam.

- Chciałam tylko zwrócić ci bluzę – odpowiedziałam, patrząc przed siebie. – Tak po prostu wypada. Teraz rozumiem, że to była zła decyzja i zanim zaczniesz... nie przejmuj się, twój brat Valentino wyraził się jasno, że nie jestem tam mile widziana, więc daruj sobie.

- Daj mi wyjaśnić. – Przyspieszył, po czym odwrócił się i zaczął iść tyłem, żeby móc patrzeć na mnie i iść jednocześnie.

Zdmuchnęłam z oczu kosmyk włosów i spiorunowałam go wzrokiem.

- Nie chodzi mi o to, że nie życzę sobie twojej obecności. Naprawdę lubię się z tobą spotykać... jestem po prostu ostrożny.

- Ostrożny wobec mnie?

- Nie – odparł, ciągnąc za włosy. – Wobec mojej rodziny. Niektórzy są naprawdę inni.

A więc wstydził się. Cóż, to nie był najgorszy powód tego, że nie chciał, bym szwendała się po jego domu.

- Poznałam Felicego – rzuciłam. – Jeżeli o to ci chodzi.

Nico skrzywił się.

- Wiem – powiedział. – Jest bardzo intensywny.

Postanowiłam zachować komentarz dla siebie.

- Czy on hoduje pszczoły? – zapytałam zamiast tego. Przez cały dzień myślałam o miodowym zapachu; czasem mogłabym przysiąc, że wciąż go czułam. Robienie własnego miodu nie było przestępstwem, ale coś w sposobie, jak wujek Jack zareagował na ten tajemniczy słoik wciąż obijało mi się o głowę.

Nico zatrzymał się.

- Skąd o tym wiesz?

- Ślady na jego twarzy – powiedziałam, również się zatrzymując. – To uządlenia, prawda?

Nico wahał się przez chwilę, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć, po czym odpowiedział:

- Tak.

- I pachnie miodem. – Urwałam, zastanawiając się czy następne zdanie będzie obraźliwe, ale i tak postanowiłam je wypowiedzieć. – Prawie tak jakby się w nim kąpał...

Nico zaśmiał się.

- Może i kąpie. Lubi jeść surowe plastry miodu i sam wydobywa miód. To... jego hobby. – Przez jego twarz przemknął cień, ale rozciągnął usta w uśmiechu nim zdołałabym go rozszyfrować.

- Ale nie macie w domu żadnych ulów?

- Na szczęście! – odpowiedział z nutą ulgi. – Felice mieszka w Lake Forest. Ale kiedy mama jest w Europie ciągle do nas zagląda żeby upewnić się, że nie zabijamy się nawzajem.

- Więc robi własny miód? – potwierdziłam, próbując trzymać się tematu. Znowu pomyślałam o słoiku miodu w czarnej wstążce, który pojawił się w tygodniu, kiedy wprowadziła się tutaj rodzina Nico.

Odpowiedź Nico była tym razem wolniejsza.

- Tak.

- A czy rozdaje ten miód?

- Dlaczego? – Jego mina się zmieniła i nie rozumiałam sposobu, w jaki na mnie patrzył. Jakby był wobec mnie podejrzliwy. Czy zadawałam zbyt dużo pytań na temat jego rodziny? A może miód stał się powszechnie drażliwym tematem dla każdego? Najwyraźniej nie dotarła do mnie notka informująca.

Wzruszyłam ramionami, przyglądając mu się ostrożnie tak jak on mnie.

- Niedawno pojawił się w restauracji słoik miodu. Był obwiązany czarną wstążką.

- Okej...

- Zastanawialiśmy się skąd się wziął i dla kogo był przeznaczony.

- Kto go znalazł?

- Ja.

Nico zmarszczył brwi.

- Co z nim zrobiłaś?

- Wzięłam do domu i spróbowałam. Był smaczny... Potem przypadkiem upuściłam słoik i rozbił się – dodałam. Nie miałam zamiaru mówić mu, co tak naprawdę się stało. To było zbyt dziwne nawet dla mojego rozumowania, a znałam Jacka całe życie. Jeden stuknięty wujek wystarczał w tej rozmowie.

Nico zmarszczył brwi jeszcze bardziej i potrząsnął głową.

- Jak mówiłem, Felice tu nie mieszka.

- Więc nie zrobiłby czegoś takiego?

- Wątpię – powiedział, podnosząc wzrok do gwiazd. – Tak czy inaczej, ja bym się tym nie przejmował.

- Ale ja się przejmuję – odparłam, zwalczając chęć pociągnięcia go za ramię, żeby znowu na mnie spojrzał.

Jakby wyczuwając moją prośbę, wrócił do mnie spojrzeniem.

- Przejmujesz się miodem? – zapytał z lekkim uśmiechem.

Poczułam jak się rumienię. Kiedy tak to mówił, rzeczywiście brzmiało głupio.

- Po prostu nie lubię mieć wrażenia, że jestem niedoinformowana.

- Spróbuj być najmłodszym z pięciu braci.

Szliśmy dalej, wymachując rękoma po bokach, prawie się dotykając, jak rzędy pięknych budynków na zadrzewionych ulicach zamieniły się w mniejsze, kłocowate domy wzdłuż ciasnych przecznic.

- Nie masz nic przeciwko, że znowu odprowadzam cię do domu? – zapytał, idąc w moje ślady, kiedy przeszłam przez opuszczone skrzyżowanie.

- Nie. – Czułam się nieśmiało, spoglądając na Nico w świetle księżyca. Było coś takiego w tym, jak lśniły jego oczy czy też tym, jak jego włosy opadały w falach, skręcając się pod uszami, co sprawiało, że zasychało mi w ustach.

- Chciałem mieć pewność, że nie jesteś zła za wcześniej. Wiem, że Valentino był niegrzeczny, ale pewnie próbował tylko ochronić cię przed wrakiem kolejowym w postaci Felicego.

Machnęłam lekceważąco ręką, chociaż mi ulżyło.

- Przejdzie mi.

- Dobrze.

- Skoro mowa o Valentino – powiedziałam, dając się ponieść ciekawości – mogę zapytać, co mu się stało?

- Chodzi ci o powód, dla którego jest na wózku?

- No tak – odpowiedziałam, wpatrując się w buty. – Jeżeli nie przeszkadza ci to pytanie.

Nico nie wyglądał na urażonego i odetchnęłam cicho z ulgą.

- Zakładam, że zorientowałaś się, iż on i Luca są bliźniakami – powiedział. Przytaknęłam. – Kiedy moja matka była z nimi w ciąży, pozycja Luki w macicy wywierała nacisk na dolną część ciała Valentino. Nie mógł się dobrze poruszać, jego nogi zaplątały się w pasy błony owodniowej i kiedy przyszedł na świat cierpiał na coś zwanego „zaburzeniami kośćca”. Prawa noga była całkowicie zmiażdżona i przekręcona w biodrze. Lekarze zrobili mu operację w dzieciństwie, ale noga nigdy nie rozwinęła się w prawidłowy sposób. Potrafi przejść krótki dystans o lasce, ale woli korzystać z wózka.

- Czy żywi przez to urazę do Luki? – zapytałam z ciekawością.

Nico wzruszył ramionami.

- Myślę, że cieszy się po prostu, że Luca nie postanowił go tam pożreć. – Zachichotał na widok mojej zszokowanej miny. – To jego słowa – wyjaśnił. – Nie sądzę, żeby miał do niego urazę. Valentino zawsze był z nas wszystkich najinteligentniejszy. Ma najbardziej twórczy umysł i doskonale rozumie ludzi – o wiele lepiej od Luki. Są ze sobą tak blisko, że czasami ma się wrażenie, że są jedną osobą. Zgadniają się, co do wszystkiego, a jeżeli postanowisz pokłócić się z jednym, to nagle kłócisz się z obojgiem i pokonają cię zanim w ogóle zorientujesz się, co się dzieje. – Zamilkł na chwilę, zatracając się we wspomnieniu, które wywołało jego uśmiech. Obserwowałam go ostrożnie, próbując odgadnąć, co się działo w jego głowie. – Sądzę, że Luca zawsze czuł wyrzuty sumienia przez swoje możliwości, ale Valentino nie jest ofiarą. Poszliby za sobą w ogień.

- Wow – powiedziałam, odczuwając znajome poczucie samotności za rodzeństwo, którego nigdy nie będę mieć. – Pewnie fajnie jest mieć taką więź.

- Myślę, że każdy może mieć taką więź z drugą osobą – powiedział cicho Nico. – Czy nie taki jest sens życia?

- Mam nadzieję, że masz rację. – Przyjrzałam się paznokciom, żeby nie spłonąć pod jego wzrokiem.

Nico zatrzymał się i zrobiłam to samo.

- Mam rację – powiedział stanowczo.

Ponownie na niego spojrzałam z nieśmiałością i nim dałabym się ponieść narastającym nerwom, wyrzuciłam z siebie:

- No więc Millie organizuje taką imprezę w sobotę i właściwie wszyscy są zaproszeni, więc pomyślałam, że może zechciałbyś przyjść, jeśli nic wtedy nie robisz?

Nico uniósł brwi – nie wiedziałam czy to z powodu prędkości mojego zaproszenia, czy jego prawdziwego znaczenia.

- I zakładałam, że będzie tam jej uroczy brat?

Wciągnęłam powietrze przez zęby.

- Tak, ale nadal jesteś zaproszony, jeśli tym się martwisz. Obmyślili regułę. Nie mogą wetować swoich gości.

Nico roześmiał się nisko i łagodnie.

- Uratowany przez moc odrzuconych wet.

- Dokładnie – powiedziałam, brzmiąc teraz łagodniej. – Jak mógłbyś się oprzeć?

- Chyba bym nie potrafił. Zakładałam, że ty tam będziesz?

- Oczywiście. Wtedy będę miała też urodziny.

- Ach – uśmiechnął się. – *Buon compleanno*. Chętnie przyjdę.

Wykonałam w duchu krótki taniec zwycięstwa, podtrzymując odprężony wyraz twarzy.

- Super.

- Zastanawiałem się, co robisz dla zabawy – ciągnął. – Myślałem o tym wcześniej.

- A więc o mnie nie zapominasz? – zapytałam przekornie. – Kiedy grasz w koszykówkę z braćmi albo spędzasz wolny czas w swojej ogromnej willi, a ja marnieję z nudy w restauracji?

- Absolutnie nie.

- Dobrze.

- Ciebie nie da się łatwo zapomnieć – dodał, prawie jakby po namyśle.

- Myślę, że większość ludzi by się nie zgodziło – odparłam.

- Nie jestem większością.

- Zdecydowanie nie – przytaknęłam.

- Opowiedz mi o sobie, Sophie. Chcę cię poznać.

- Dlaczego? – Nikt nigdy nie chciał mnie poznać. Szczególnie posągowi ludzie z brązu. – Jestem bardzo nudna, obiecuję.

Znowu się roześmiał; tym razem ten dźwięk był bliski i intymny, i poczułam jego oddech na uchu, kiedy się nachylił.

- Może powinnaś pozwolić, żeby zdecydował o tym ktoś inny niż ty.

Zamiast odpowiedzieć kopnęłam w zbłąkany kamyczek i patrzyłam, jak odbija się od drogi.

- Cóż, zacznijmy od tego, co wiemy – zaczął, pocierając ręką podbródek. – Potrafisz być trochę obronna...

- Hej!

- To ujmujące – zapewnił szybko. – Co jeszcze? Nie lubisz burzy. Jesteś odporna na krytykę i rumienisz się za każdym razem, kiedy ktoś patrzy na ciebie za długo...

Skrzywiłam się. A więc zauważył.

- ...co sprawia, że przyglądanie ci się jest o wiele fajniejsze. – Uśmiechnął się ironicznie. – Nie, żeby to nie było już fajne.

Poczułam, że znowu się rumienię i przeklełam własne wyczucie czasu.

- Mieszkasz tylko z rodzicami? – kontynuował delikatnie... prawie płynnie.

- Jestem tylko z mamą – odparłam. – Mojego taty nie ma od dłuższego czasu, więc staramy się jak możemy, żeby nie spalić domu albo zatruć siebie nawzajem kiepskim jedzeniem.

Poczułam wyrzuty sumienia, że pominęłam część o tym, iż mój ojciec siedzi w więzieniu, ale nie chciałam tak szybko stawiać wszystkiego na jednej szali.

- Macie dobre stosunki?

- Tak, kiedy obie jesteśmy w domu. Ale nie widzimy się tak często jakbym chciała.

Niespodziewanie czułam się okropnie bezbronna, powierzając najskrytsze myśli temu pięknemu chłopakowi, którego najprawdopodobniej nie obchodziła relacja z moją matką.

Nico przyjrzał mi się w zamyśleniu.

- To musi być ciężkie. Ale może ten dystans was przybliży, kiedy to się liczy?

- Może. – Nagle byłam ociążała od emocji. Co było z tymi braćmi Priestly? Dopiero, co rano byłam na skraju łez w obecności Valentino! A teraz...

- Więc idziesz do ostatniej klasy?

Uratowana przez zmianę tematu. Zrównaliśmy się krokiem.

- Tak, zaczynam we wrześniu. Mam przed sobą jeszcze jeden pełen tortur rok w liceum. – Westchnęłam teatralnie, ciesząc się, że oddaliśmy się od poprzedniego tematu. – A ty?

- Właśnie skończyłem szkołę – odparł z cieniem triumfu w głosie.

- I co ty teraz ze sobą zrobisz?

- Odłożyłem studia na jeden semestr; przeważnie pracuję z braćmi.

- W Cedar Hill?

- Nie – odpowiedział. – Nie całkiem. Nie przez cały czas.

- Podoba ci się?

- To co robię czy miejsce zamieszkania?

- Cedar Hill. – Niespodziewanie poczułam się zawstydzona moim powiązaniem z tym miasteczkiem. Szczególnie częścią, w której teraz się znajdowaliśmy. Ta dzielnica była bardzo daleka od bogactwa, do którego przywykł Nico.

Uśmiechnął się do mnie, jakby wyczuwał moje zażenowanie.

- Na początku mi się nie podobało, ale teraz już tak.

- Co tutaj robisz? Jaki rodzaj pracy?

Wzruszył ramionami, ale zeszywniał.

- W tej chwili? Nie za wiele... - powiedział wymijająco.

- Myślisz, że będziesz tęsknić za szkołą?

Nico potrząsnął głową.

- To tylko jeden semestr. Lubię być aktywny; lubię czuć się użyteczny, lubię czuć, że to co robię czyni małą różnicę na świecie. Nie wydaje mi się, że bym kiedykolwiek wykorzystał trygonometrię w prawdziwym życiu.

- Wiem – przyznałam entuzjastycznie. – Albo Szekspira. *Ble.*

Nico zareagował, jakbym pacnęła go po głowie. Zatrzymał się i położył ręce na moich ramionach, przyciągając mnie do siebie, dopóki nie znajdowałam się tuż pod jego spojrzeniem. Myślałam, że zaraz zaczniesz mną potrząsać.

- Czy ty naprawdę skrytykowałeś człowieka, który dał nam *Romea i Julię*?

Ściągnęłam brwi. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam; po prostu wiedziałam, że nie lubię szkoły i dla mnie Szekspir był równoznaczny ze szkołą, miejscem, w którym nie czułam się mile widziana.

- Chyba nie jestem zbyt wielką fanką tragedii.

- A miłości? – zapytał z taką intensywnością, że prawie zapomniałam jak się oddycha.

Powoli przesunął dłońmi w górę moich ramion, muskając palcami barki i przycisnął kciuki do nasady mojej szyi. Poczułam niecierpliwe mrowienie skóry.

- Miłość jest inna – powiedziałam.

- Miłość jest słabością. – Przyglądał się swoim palcom, kiedy przesuwał nimi po mojej szyi w delikatnym dotyku.

- Słabość czyni z nas ludzi – powiedziałam, słysząc suchość w moim głosie.

- A bycie człowiekiem czyni nas zawodnymi. – Stał tak blisko.

- Czy ty jesteś zawodny, Nico?

Wbijał oczy w moje usta.

- Oczywiście, że tak.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- A powinnaś – szepnął. Założył mi za ucho pasemko włosów, zostawiając kciuk pod brodą.

Podniosłam się na palcach stóp i przyciągnął mnie do swojego ciała, dopóki nie stykałam się z nim prawie nosem. Jego oddech zadygotał. Potem położył dłonie na mojej talii, przycisnął je do dolnej części pleców i przywarł do mnie wargami.

Nie potrafiłam już myśleć. Rozpadłam się i nagle nic innego nie miało znaczenia oprócz Nico i sposobu, w jaki przyciskał usta do moich i przytulał mnie tak, jakby nigdy nie chciał mnie wypuścić. Wszystko wokół zostało stłumione i przez jedno bicie serca było tak, jakby cały świat wstrzymał oddech.

Wtem ciszę rozdał ryk silnika. Wzdłuż drogi pędził samochód, przywracając nas do rzeczywistości i przerywając pocałunek.

Gdy czarny SUV zatrzymał się z piskiem opon na ulicy obok, poczułam jak moje wnętrzności kurczą się w rozczarowaniu. Nico oderwał się ode mnie i rzucił się do przodu, żeby uderzyć w przyciemnione okno samochodu.

- Gino? Dom? – krzyknął. – *Cosa vuoi?*

Okno zsunęło się bezgłośnie w dół i kierowca przechylił się przez miejsce pasażera.

- Luca? – Nico brzmiał na zaskoczonego.

Luca, w całej swojej lodowatej wspaniałości, warknął:

- Wsiadaj, Nicoli.

- Co się dzieje, do diabła?

Luca wyrzucił ramię przed siebie i otworzył drzwi pasażerskie tak zamasyście, że uderzyły w ciało Nico.

- Do samochodu, już.

Nico odwrócił się do mnie z przepaszającą miną.

- Czasem trochę przesadza...

- Bez niej – przerwał mu Luca.

- Czyś ty zwariował? Czy może masz swój dzień dupka? Nie zostawię Sophie na środku ulicy!

Luca przetarł sobie czoło i westchnął głośno.

- Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, bracie, ale to nie jest śmieszne, do cholery.

- O czym mówisz?

- Rozmawiałeś dzisiaj z Domem?

- Nie.

- *Vieni qui.*

Nico nachylił się do otwartego okna.

Luca ściszył głos i przemówił jednym pośpiesznym, nieskończenie długim zwiłkiem słów. Chociaż domyślałam się, że przeszli na włoski to stałam ze skrzyżowanymi ramionami i słuchałam. I mimo, że usłyszałam jedynie niezrozumiałe sznurek sylab to udało mi się zebrać jedno słowo. I tym słowem było „Gracewell”.

Gdy tylko usłyszałam moje nazwisko z ust Luki, Nico odwrócił się i spojrzał na mnie z kiepsko ukrywanym przerażeniem. Jego usta, które były takie miękkie w dotyku

zaledwie parę sekund temu, zaciskały się w twardą linię i nagle patrzył na mnie, jakby nie wiedział, kim jestem.

- Co się dzieje?

- Jak się nazywasz? – zapytał z napięciem.

- Znasz moje imię – odpowiedziałam przerażona tym, jaki był teraz nie do poznania.
– Sophie.

- Sophie jak?

- Nico...

- *Sophie jak?* – naciskał, jego głos robił się potwornie przenikliwy.

- G-Gracewell – wydukałam przez drżące usta.

Wyglądał, jakby miał zemdleć.

- *Cazzo!*

- Jakie ma znaczenie moje nazwisko? – Słyszałam desperację w moim głosie, ale miałam to gdzieś.

Potrząsnął głową.

- Ale to nie ma żadnego sensu.

- Co masz na myśli?

- Muszę jechać. – Słowa wydawały się wymuszone, ale wypowiedział je z determinacją.

- Jakie to ma znaczenie? – powtórzyłam. – Co Luca powiedział na mój temat?

Luca wpatrywał się obojętnie w drogę, ale jego ręce tak mocno ścisnęły kierownicę, że przypominały marmur.

- Wsiadaj do auta, Nico. Nie przeciągaj tego.

Nico stał w miejscu, gapiąc się na mnie, jakbym go spoliczkowała.

- Luca... - powiedział błagająco, jakby wysunięto mu spod stóp dywan i zaliczył twardy upadek o podłogę.

Luca nie odwrócił głowy, a kiedy się odezwał jego głos był szorstki od gniewu.

- Odsuń. Się. Od. Niej. Natychmiast.

Chwyciłam Nico za ramię. Nie wiedziałam, dokąd się wybierał, ale wiedziałam, iż nie chcę, żeby jechał beze mnie.

- Już! – Luca obnażył spiczaste zęby jak wilk.

Nastąpił moment nicości, w której łamało się moje serce, a potem Nico wysunął ramię z mojego uścisku, wyrwał się z naszej bańki i wskoczył na miejsce pasażera, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Rzuciłam się do przodu i złapałam otwarte okno, kiedy pode mną odżył silnik. Wtedy zauważyłam, że koszula Luki była cała we krwi.

- Co się stało? – sapnęłam, czując przyływ trwogi. Gdyby to była jego własna krew Luca byłby w szpitalu. Ale nie był. Siedział naprzeciwko mnie, cały i kipiący ze złości. *Kilka zniknięć i dwa dziwne zgony w ciągu dwóch ostatnich tygodni* – w uszach zadzwoniły mi słowa pani Bailey. – Skąd ta krew?

Luca nie odpowiedział, ale zrobił to Nico.

- Odsuń się od auta, Sophie.

- Czy chodzi o mojego tatę?

Luca i Nico wymienili się ukradkowymi spojrzeniami i nagle znowu czułam się jak parias.

- Chcę wiedzieć, co on powiedział! – krzyknęłam na Nico. – Powiedz mi!

To Luca nareszcie odpowiedział. Odwrócił powoli głowę i patrzył na mnie, dopóki jego lodowate niebieskie oczy nie zdominowały całego mojego świata.

- Gracewell – wysyczał – odsuń się od mojego samochodu, bo inaczej sam cię z niego usunę.

Nico przeklął pod nosem, ale wciąż nie potrafił na mnie spojrzeć. Jednak Luca podtrzymał wrogie spojrzenie, dopóki – łamiąc się pod jego ciężarem - nie zabrałam rąk od samochodu i chwiejnie wycofałam.

Silnik zwiększył dwa razy obroty, po czym bracia Priestly popędzili w mrok, nie oglądając się za siebie. Zostałam sama na środku opuszczonej ulicy i w mojej głowie eksplodowała seria pytań.

CZEŚĆ II

„Tylko w miłości i morderstwie pozostajemy szczerzy.”

FRIEDRICH DÜRRENMATT, *Incident at Twilight*

ROZDZIAŁ DWUNASTY

PSZCZOŁA

Stałam na rogu ulicy, zaciskając kurczowo ręce na szyi Nico, kiedy tuliliśmy się do siebie. Patrzyliśmy, jak pod naszymi stopami pęka chodnik. Odgłos lejącej się wody wypełnił rykiem moje uszy, kiedy w ziemi pojawiła się przepaść, ustępując miejsca wspinającym się płomieniom, które lizały niebo i nagle Nico zniknął, a ja się osuwałam. Wrzasnęłam, ale głos stanął mi w gardle. Gdy powietrze zamieniło się w piasek, który wypełnił moje płuca, cały świat pociemniał jak gdyby ktoś sięgnął do mojej głowy i pstryknął wyłącznik.

Później pozostało jedynie moje ciężko walące serce i zapach filadelfijskiego serka śmietankowego. Powoli wracałam na ziemię prowadzona przez odległy pomruk.

- *Sophie...*

Czułam na powiekach promienie słońca.

- *Ziemia do Sophie...*

Zmrużyłam oczy i zaczęłam, aż mój wzrok skoncentruje się na suficie.

- *Zgadnij, jaki mamy dziś dzień?*

Półprzytomnymi chrząknięciami usunęłam pajęczyny z gardła i spróbowałam odmrugać sen z powiek – to już drugi raz, kiedy śniło mi się coś takiego. Podparłam się na łokciach.

- Dzień dobry, solenizantko!

Moja mama siedziała na brzegu mojego łóżka. W kącikach jej oczu widniały małe zmarszczki, a usta wyginały się w uśmiechu, który zawstydziłby samego kota z Alicji w Krainie Czarów. Cieszyłam się widząc ją w dobrym humorze nawet jeśli uśmiechała się tylko ze względu na ten dzień. Brakowało mi tych iskierek w jej oczach.

Trzymała na kolanach babeczkę Red Velvet polaną obficie serkiem śmietankowym.

- Dzień dobry – wychrypiałam.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Wysunęła ze swojego sweterka zapalniczkę i zapaliła świeczkę.

- Pomyśl życzenie! – powiedziała, podsuwając babeczkę tak blisko mojej twarzy, iż dostrzegałam maleńkie smugi dymu wznoszące się z płomienia.

Zawahałam się, kiedy ogień zatańczył przed moimi oczami, drocząc się ze mną. *Klarowność*, postanowiłam w końcu. *Pragnę tylko klarowności*. Zdmuchnęłam płomyk, gasząc go jednym podmuchem powietrza.

Mama wyciągnęła z drugiej kieszeni srebrny nóż. Przekroiła babeczkę przez sam środek i połówki oddzieliły się od siebie, przewracając pod ciężarem serka. Wzięła do ręki jedną połówkę i mi podała.

- Przepyszne! – powiedziałam, odgryzając kawałek. – Dzięki.

Odkładając swoją połówkę na kolana, mama sięgnęła za siebie i wyciągnęła prezent opakowany w szalowy fioletowy papier.

- Zrobiłam ci coś.

Uśmiechnęłam się, wycierając pobrudzone lukrem palce w przykrycie. Podejrzywałam już, że to sukienka, nad którą pracowała w tajemnicy. Ostrożnie odkleiałam taśmę po bokach i oderwałam papier, żeby idealnie złożony strój wysunął się na łóżko. Rozłożyłam sukienkę. Delikatna, wykonana z jasnozłotego jedwabiu układała się w miękkich falach i była zdobiona cekinami, które migotały w porannym słońcu. Przejechałam palcami wzdłuż cienkich ramiączek i poczułam, jak sukienka wygina się w tali, kiedy ją podniosłam.

- Niesamowita!

- I pasuje do twoich włosów! – Mama uśmiechnęła się. – Pomyślałam, że będziesz mogła założyć ją później na imprezę Millie?

- Świetny pomysł. – Poczułam ukłucie wyrzutów sumienia na myśl, że moja mama nie wiedziała o nieobecności rodziców Millie. Jednak, czego oczy nie widzą tego sercu nie żal, prawda?

Klasnęła w dłonie.

- Wybierzemy się potem na obiad? – zapytała, podskakując na moim łóżku. – Chcę zafundować mojej siedemnastoletniej córce posiłek w Eatery.

- Naprawdę? – Położyłam się i przeciągnęłam w jednym długim ziewnięciu, wpatrując się w sufit. – Brzmi świetnie. – *I drogo*.

Moja matka zabrała sukienkę ze sobą na drugi koniec pokoju, przeskakując przez stare bluzy i nieposkładane dzinsy. Zawiesiła ją wewnątrz szafy i rzucając ostatnie zde gustowane – *co za hipokrytka* – spojrzenie na podłogę, opuściła pokój, zostawiając mnie sam na sam z myślami, które pokierowały się do mojego dziwnego snu. Jakby porażona prądem znowu poczułam dotyk ust Nico i ścisnęło mnie w brzuchu na wspomnienie, jak nagle mnie zostawił. Miałam nadzieję, że nie jestem skazana na ponowne przeżywanie jego dezercji również w koszmarach. Wciąż miałam mnóstwo

pytań i nie miałam jak uzyskać odpowiedzi, których tak rozpaczliwie pragnęłam. Złapałam się za brzuch, kiedy poczułam jak przewraca się tam niedawno zjedzona babeczka i jęknęłam. Może impreza była dokładnie tym, czego potrzebowałam.

Czarny kucyk odstawał od głowy Gino Priestly jak miniaturowa palma. Obok niego odbijało się światło od nazbyt nażelowanego hełmu włosów Doma. Co oni tu robili, do diabła?

- Co się dzieje, kochanie? Nie smakuje ci quiche?

Skupiłam się na matce, która siedziała naprzeciwko.

- Jest bardzo dobre. Gorąco mi tylko.

- Milczysz odkąd przyjechałyśmy. Myślałam, że ci się tu spodoba. Czy jest za bardzo wyrafinowanie?

Gdy przez jej twarz przemknął niepokój, obezwładniło mnie świeże poczucie winy. Tym razem gwałtowniej potrząsnęłam głową.

- Żartujesz? To miejsce jest świetne. – Pokazałam ruchem dłoni monochromatyczną dekorację Eatery: czarne granitowe podłogi inkrustowane misternymi kwiecistymi wzorami; stoły nakryte drogimi białymi obrusami; wszędzie wkoło górowały romańskie filary. Na ścianach wisiały czarno-białe fotografie Chicago z lat dwudziestych i przyozdabiały je szklane lampy. – Miła odmiana od knajpy.

Mama uśmiechnęła się i upiła łyk swojego Chardonnay.

- Mówiąc o knajpie, chciałam z tobą o niej pomówić...

Znowu przeniosłam uwagę na Gino i Doma – a raczej na ich plecy – i zastanawiałam się, jakie były szanse, że znaleźliśmy się w tej samej restauracji. Znajdowała się kilkadziesiąt kilometrów od Cedar Hill w samym centrum Chicago i ponieważ to była jedna z najlepszych restauracji w mieście było to niezmiernie kosztowne miejsce przeznaczone na specjalne okazje. Bogowie karmy musieli doskonale się bawić tym widowiskiem.

Przynajmniej nie było z nimi Nico i Luki. Próbowałam przypomnieć sobie, jak okropnie zachował się Nico tamtego wieczoru, ale ciężko było zapomnieć o innych jego cechach: łagodniejszych, zabawniejszych, miłszych cechach. O sposobie w jaki się uśmiechał, o sposobie w jaki jego usta układały się na moich... o sposobie, w jaki odjechał ode mnie w środku nocy nawet nie oglądając się za siebie. Wzdrygnęłam się.

- Sophie?

- Co? – Wzięłam następny gryz mojego quiche Lorraine, zastanawiając się czemu je zamówiłam. Z drugiej strony nie rozumiałam większości tego fantastycznego menu i nie byłam przekonana czy „truflowe frytki” będą mi smakować tak samo, jak normalne.

- Chcę porozmawiać z tobą o knajpie.

- Dobrze, wal.

Za moją matką Gino wzdrygał się na coś, co powiedział łyсы mężczyzna siedzący naprzeciw niego. Dom siedział po prawej stronie brata, a po lewej stronie był szczupły, wyższy mężczyzna w połowie odwrócony do mnie plecami. To był Felice... mogłabym postawić mój posiłek. Chociaż znajdowali się po przeciwnej stronie restauracji, nachyleni do siebie w ustronnym narożnym boksie, w powietrzu unosił się słaby zapach miodu. Byłam tego pewna. Albo popadałam w obłąd.

Odwróciłam wzrok.

Mama wciąż mówiła, wymachując żywo rękami.

- ...obciążył cię niesprawiedliwymi oczekiwaniami. Musisz wychodzić częściej i rozłożyć skrzydła, nie sądzisz?

Moją uwagę przykuło bzyczenie. Pszczoła znalazła wejście do restauracji i latała wokół stolika obok nas.

- Wychodzić skąd? – zapytałam, zmuszając się do wrócenia wzrokiem do naszego stolika i rugając się, że byłam taka rozkojarzona. Lecz dalej ją widziałam kątem oka – maleńką żółtoczarną plamkę.

- Z restauracji.

Wbiłam widelec w quiche.

- Co z nią?

Od stołu Priestlich wstał nieznany mi człowiek. Był tykowaty i łyсы z wysokim czołem i gęstymi czarnymi wąsami, które zdominowały jego kościstą twarz. Burknął wymijając kelnerkę i zniknął w łazience.

- Myślę, że powinnaś z niej zrezygnować. Zabiera ci za dużo energii i ledwo masz czas wolny.

Kiedy usłyszałam jej propozycję w całości, byłam zaskoczona. Odłożyłam widelec i przełknęłam pośpiesznie za duży kęs quiche.

- Ale należy do taty. Myślałam, że plan był taki, bym prowadziła ją dopóki nie wróci.
- Nie wiedziałam, dlaczego sprzeciwiałam się jej pomysłowi – nigdy nie ekscytowała

mnie myśl o prowadzeniu restauracji po ukończeniu osiemnastki; zawsze wiedziałam, że to nie moje powołanie.

Pszczoła przeleciała obok mojej twarzy, niemal ocierając się o mój nos. Mama upuściła widelec i pisnęła cicho.

- Przepraszam – mruknęła zażenowana, odzyskując opanowanie. – Zawsze mnie przerażają.

- Uważam, że pszczoły są nawet słodkie – powiedziałam, próbując ją uspokoić.

Po drugiej stronie restauracji pszczoła leciała zygzakiem w kierunku stolika Priestlich. *Pewnie wraca do swojego „pana”*, pomyślałam, raz jeszcze przyglądając się srebrnym włosom Felicego.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? Jesteś rozkojarzona. – Mama chwyciła mój nadgarstek, szarpiąc mnie.

- Przepraszam. – Potrząsnęłam głową w daremnej próbie skoncentrowania się na jednej rzeczy i odsunęłam rękę. – Co mówiłaś?

- Dlaczego by nie pozwolić twojemu wujkowi kierować dalej restauracją, jak skończysz szkołę, dopóki nie wróci twój ojciec. Tak będziesz mogła poświęcić się studiom w całości... i wybrać się na uczelnię w Chicago zamiast zostawać na przedmieściach. Przed tobą stoi otworem cały świat, wiesz.

Wsadziłam do ust następną porcję quiche.

- Nadal oszczędzam na samochód. Potrzebuję pieniędzy – powiedziałam nieporadnie, zakrywając usta podczas przeżuwania.

Raz jeszcze przeniosłam wzrok. Łysy mężczyzna z wąsem wrócił do stolika Priestlich, zajmując miejsce z głośnym chrząknięciem.

- Mogę dawać ci co tydzień małe kieszonkowe na twoje auto. Nawet nie zatęskniłabyś za napiwkami z restauracji – zaprotestowała mama.

- Nie chcę cię obciążać w taki sposób – odparłam wciąż z pełnymi ustami. – Wiem, że nie mamy już takich pieniędzy.

Matka szturchnęła widełcem kostkę sera feta na swoim talerzu.

- Sophie, naprawdę bym wolała, żebyś odeszła.

- Czy wujek Jack coś ci powiedział? Kontaktowałaś się z nim? – Znowu miałam to dziwne uczucie w brzuchu. Mama zachowywała się dziwnie, tak jak wszyscy w moim życiu.

- Nie, ale może powinniśmy was od siebie odsunąć. Jack wydaje się ostatnio bardziej zwariowany niż zwykle.

- Myślę, że nie przyjąłby tego dobrze, gdybym go teraz zostawiła. Szczególnie po śmierci jego przyjaciela.

Wzruszyła ramionami i nadziała sobie cienki plasterek czerwonej cebuli, wsuwając do ust.

- Jack już nawet nie pojawia się w knajpie. I nie zawsze może dostawać to, czego chce.

Raz jeszcze powiodłam spojrzeniem do stolika Priestlich. Dom i Gino sprzeczali się z łysym, wąsatym mężczyzną. Felice – tak, teraz widziałam, że to był zdecydowanie on – siedział niezwykle nieruchomo, trzymając złożone ręce na blacie stołu. Obserwował w milczeniu pszczołę, która podlatywała niebezpiecznie blisko ich stolika. Gdy reszta się kłóciła, ich głosy nabrały głośności i wypełniły restaurację.

- Co się dzieje? – Mama odwróciła się, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie, ale uspokoiło się niemal tak szybko jak zaczęło i straciła zainteresowanie.

- Mamo?

Spojrzała na mnie wyczekująco.

- Czy jest coś, czego mi nie mówisz na temat taty i wujka Jacka? Albo o tobie i wujku Jacku? Mam wrażenie, że coś mi umyka.

Podparła się na łokciach i splotła ręce pod brodą.

- Co masz na myśli?

- Cóż, nie wiem co. Dlatego właśnie zapytałam...

Nastąpiło potężne pacnięcie. Podskoczyłyśmy na krzesłach.

- Calvino! – Wrzask tak wysoki, że brzmiał na kobiecy. Ale nie dochodził od kobiety, tylko od Felicego, który poderwał się na nogi i przykładał ręce do twarzy. Teraz patrzył na nich każdy gość w restauracji. Łysy człowiek – Calvino – siedział podparty w boksie, podnosząc niedbale dłoń ze stołu i wytarł ją serwetką ze spokojnym wyrazem twarzy. Zabił pszczołę.

Klatka piersiowa Felicego poruszała się szybko i gwałtownie. Rzekł coś we wzmocnionym języku włoskim, ale Calvino był niewzruszony. Próbował przekonać gestem Felicego, żeby wrócił na miejsce. Im spokojniej się zachowywał, tym bardziej był rozsierdzony Felice. Zaczął pluć jadem i gestykulował bezradnie na, jak przypuszczałam, zmiądzoną pszczołę.

Przyglądałam się temu wszystkiemu z otępiałą miną. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak opanowany tak szybko stracił kontrolę.

Felice sięgnął do kieszeni marynarki, sprawiając, że Gino i Dom odsunęli się do tyłu. Calvino poderwał się do góry i uniósł ręce jakby w geście pojednawczym. Przemówił szybko i cicho.

Felice wyciągnął rękę z kieszeni i zacisnął w pięść u boku. Drugą ręką przeczesał włosy, ściskając mocno kark.

Calvino usiadł powoli, nie odrywając oczu od Felicego.

Felice wciąż stał w miejscu. Uniósł podbródek tak, że wydawał się wyższy i kierując ostatnie przekleństwo do Calvino – ale usłyszane przez każdą duszę w promieniu jednego kilometra – wypadł z restauracji niczym pełen gracji, kipiący ze złości szkielet.

- Cóż za dziwny człowiek – szepnęła mama, jej ściszone słowa mieszały się z pomrukami innych.

- Dziwna rodzina – wymamrotałam, patrząc jak Gino i Dom przysunęli się z powrotem do stolika, wznawiając rozmowę. Być może w tym jednym wypadku miałam *szczęście*, że zostałam wykluczona. U Priestlich wyraźnie działo się wiele, a ja przeżyłam już wystarczająco dramy jak na jedno życie. Tak było pewnie najlepiej. Nawet, jeśli wcale tak nie czułam.

Odwróciłam się z powrotem do mamy i zauważyłam, że przygryza dolną wargę.

- Sophie, jest wiele rzeczy, których nie wiesz o swoim ojcu i wujku Jacku – powiedziała, wracając do rozmowy, jakby nie wydarzyło się nic dramatycznego. – Czasami nie potrafię się powstrzymać od myślenia, że Jack zasługuje na bycie w więzieniu bardziej niż ojciec.

To był pierwszy raz, jak usłyszałam, żeby moja matka obwiniła kogoś o tamtą noc – albo rozmawiała o niej z własnej woli, jeśli już o to chodzi. To był jeden z tych przemilczanych, odznaczających się momentów, który zawsze bulgotał pod dynamiką naszej relacji, ale rzadko kiedy tak otwarcie omawiany.

- Ale Jacka nawet tam nie było.

- Wiem o tym – przyznała. – Ale twój wujek zawsze zaprzyjaźniał się z nieodpowiednimi ludźmi, którym bardziej zależy na kasie niż rodzinie, i którzy podkręcają jego paranoidalne urojenia. Kiedy twój ojciec przybył do Cedar Hill, to po to by ułożyć sobie nowe życie z tobą i ze mną... lepsze życie niż to, które miał w dzieciństwie. Był szanowany i odnosił sukcesy, ale potem zaczął pojawiać się Jack. Nie miał własnej rodziny, zatem brał nas za swoją. W dzieciństwie zawsze byli tylko on i twój ojciec, dwoje chłopców przeciwko całemu światu i myślę, że ojciec czuł, iż jest mu winien kawałek naszego życia, żeby nie został sam.

- Ale potem Jack zaczął wpychać twojemu ojcu różne myśli do głowy. Te same myśli, które widzę, że próbuje narzucić tobie – które mają cię przerazić i złębnić. Doszło do tego, że Jack kwestionował wszystko i wszystkich, którzy weszli do restauracji i niedługo potem spowodował, że twój ojciec również miał paranoję. Im więcej o tym myślę nie potrafię nie czuć, że gdyby Jack nie zachodził za skórę twojemu ojcu to ten nie uwierzyłby tak szybko, iż tamten człowiek był niebezpiecznym intruzem tej nocy w knajpie.

- I nie zastrzeliłby go – dokończyłam chłodno. – Nie wiem czy można obarczać za to winą Jacka.

- Dał twojemu ojcu pistolet.

- Chciał, żeby mógł się obronić – odparowałam. – Zawsze troszczyli się o siebie nawzajem.

Wsunęła sobie na widelec plasterek pomidora.

- Masz rację – odpowiedziała szybko, kręcąc głową. – Nieważne. Nie powinnam była poruszać tego tematu w twoje urodziny. Ten dzień powinien opierać się na wszystkich dobrych rzeczach w twoim życiu.

Niespodziewanie atmosfera stała się napięta i niezręczna. Upiłam trochę dietetycznej coli i powędrowałam wzrokiem do Priestlich, u których zapanowała niezwykła cisza. Gino siedział z głową w rękach, a Dom odchyłał się do tyłu, wpatrując się pustym wzrokiem w sufit. Wiedziałam, jak się czują.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

IMPREZA

Przyjrzałam się sobie w łazienkowym lustrze, upewniając się, że krem koloryzujący mojej mamy wchłonął mi w skórę. Nałożyłam odrobinę jej samoopalacza i musnęłam policzki różem. Pogrzebałam w jej kosmetyczce i wyciągnęłam kohl do oczu w proszku, malując nim powieki, po czym nałożyłam na rzęsy kleisty czarny tusz. Następnie zrobiłam krok do tyłu i oeniłam moje odbicie, nie mogąc wyjść z podziwu, jakie cuda wyczyniały współczesne kosmetyki ze skórą pozbawioną słońca.

Moja matka weszła do pokoju i spuściłam wzrok na prezent w jej rękach – duży prostokąt opakowany w papier z księżniczką Disney’a.

- Czy to od Millie?

Mama położyła prezent na łóżku.

- Podrzuciła go, kiedy brałaś prysznic. Otwórz. Umieram od tej niepewności.

Nie musiała powtarzać dwa razy. Zerwałam papier pakunkowy i moim oczom ukazało się szare pudełko na buty. Z boku widniał schludny czarny napis CARVELA.

- Jak było na nie stać Millie? – Mama wypowiedziała na głos moje myśli.

Potrząsnęłam głową w niedowierzeniu. Jak można mieć tak wspaniałą przyjaciółkę? Zdjęłam pokrywkę pudełka i odsunęłam bibułę, by znaleźć parę cielistych szpilek z lakierowanej skóry. Obcas, który miał co najmniej dwanaście centymetrów wysokości był pokryty subtelnie złotym połyskiem, podczas gdy przód buta schylał się do idealnie zaokrąglonego odkrycia na palce.

- Chyba się zakochałam – jęknęłam.

Mama westchnęła.

- Nigdy nie byłam bardziej rozczarowana, że mam mniejsze stopy od ciebie.

Wsunęłam bosą stopę do lewego buta i wzniosłam się chwiejnie o kilka centymetrów.

- Jak mam w nich chodzić, nie przewracając się na twarz?

Mama uśmiechnęła się szeroko, podając mi drugiego buta.

- Nikt tak naprawdę nie *chodzi* w szpilkach. Trzeba po prostu sobie radzić.

Po piętnastu minutach ćwiczenia założyłam złotą sukienkę. Obracając się przed lustrem szafy, wysunęłam spinkę podtrzymującą włosy, żeby spłynęły mi po plecach w jasnych falach. Prawie nie rozpoznałam własnego odbicia, ale miałam przeczucie, że ta dziewczyna dobrze się zabawi.

Gdy podjechałyśmy pod dom Millie, słyszałam dobiegającą z niego muzykę. Wzdłuż ulicy stało mnóstwo samochodów i zapychało również podjazd. Wsiadłam z auta.

- Jesteś pewna, że rodzice Millie nie będą mieli nic przeciwko? – Patrzyłam, jak mama lustruje uważnym spojrzeniem samochody.

- Tak. – Odwróciłam się od niej, by nie zobaczyła mojej bezwstydnego kłamliwej miny.

- No dobrze... - poddała się. – Baw się dobrze.

Patrzyłam za jej samochodem, dopóki nie skurczył się do małej niebieskiej kropki.

Kiedy się odwróciłam przy drzwiach wejściowych stała Millie ubrana w krótką czarną sukienkę podkreślającą jej biust i opinającą w talii.

- Mil! – zawołałam, kierując się do niej w zwolnionym tempie spowodowanym przez szpilki. – Strasznie ci dziękuję za buty!

- Jasny gwint – odparła, otwierając szeroko pomalowane na czerwono usta.

Zgarbiłam się i zakryłam sukienkę ramionami.

- Przesadziłam? Mam się przebrać?

Pokazała na moją sukienkę, przesuwając palcem do dołu i góry.

- Ta sukienka *naprawdę* pokazuje twoje najlepsze atuty! – Spróbowała zagwizdać, po czym poruszyła wymownie brwiami.

- Zboczeniec – powiedziałam przekornie, podchodząc do niej.

- No co? – Uniosła ręce w geście udawanej niewinności. – Miałam na myśli, że naprawdę podkreśla błękit twoich oczu... takie żywe...

- Z kim rozmawiasz? – Za Millie pojawił się Alex. Jego blond włosy były postawione na szpic i miał na sobie ciemne dżinsy dopasowane do obcisłej niebieskiej koszuli. Uśmiechał się durnie i trzymał w ręce czerwony plastikowy kubek. Gdy zauważył mnie przed wejściem opadła mu szczeka, więc stojąc ręką w rękę z identycznymi wyrazami twarzy, on i Millie wyglądali jak bliźniaki.

- Sophie Gracewell – wydukał.
- Wiem – mruknęła Millie. – Wiem.

Millie i ja wywijaliśmy jak szalone na parkiecie, trzymając ręce w powietrzu i zarzucając włosami, obie stąpałyśmy niepewnie w swoich niebotycznie wysokich szpilkach. Wszędzie wkoło pary ciągnęło do siebie jak magnesy, przywierały do siebie albo uciekały do innego pomieszczenia, żeby się poobmacywać. Ledwo rozpoznawałam większość ludzi – byli tutaj głównie koledzy ze studiów Alexa, a osoby, które usłyszały o imprezie od Millie jak zwykle mnie ignorowały. To bez znaczenia. Wszyscy bawili się dobrze i śmiali się, a to było zaraźliwe – byłam zrelaksowana i wzmocniona. Ale co więcej czułam dozgonną wdzięczność wobec Millie, która przerobiła całe dolne piętro swojego rodzinnego domu w centrum energii, co oznaczało, że mogłam spędzić moje urodziny na doskonałej zabawie.

Salon został oczyszczony ze swoich oprawionych zdjęć, bibelotów i przerażających porcelanowych lalek, które zwykle wyzierały zza gablotek w rogach – obsesja matki Millie. Światła zostały tak mocno przygaszone, że rysy kogokolwiek stojącego więcej niż dwa kroki dalej były mgliste i nierozpoznawalne, a skórzane kanapy i obite fotele zostały odsunięte pod ścianę. Nad kominkiem pięćdziesięciocalowy telewizor puszczał muzykę przez kino domowe.

- Gdzie jest Dom? – zapytałam, nie zwracając uwagi na tępy ból w piętach.
- Nie przyjdzie. – Millie zrzędała mina, ale zbyła swoje wyjaśnienie, jakby nie miało większego znaczenia. – Nie skontaktował się ze mną od naszej randki. Nawet nie odpisał na wiadomość.
- Przykro mi, Mil! – krzyknęłam przez muzykę. – Do bani!
- Nic się nie stało – odpowiedziała wyniośle, ale wiedziałam, że stało. Po ich randce miała beznadziejną obsesję na punkcie Doma i fakt, że nie chciał tego kontynuować był dziwny, nie mówiąc już, że kompletnie wredny.
- Mam nadzieję, że to nie przeze mnie. – Nagle to do mnie dotarło i poczułam, jak błędnie moja zbrązowiła i zarumieniona twarz. – Może Nico mu coś powiedział.

Wyraz twarzy Millie skwaśniał.

- Jeżeli *tak*, to Dom jest takim samym tchórzem jak jego brat i powinni się wstydzić za osądzanie cię przez *wypadek* twojego ojca. I tak nie chcę być z kimś takim!

- Jego strata – powiedziałam, czując, że jej gniew podnieca mój własny. – To idiota.

- Obaj są idiotami! Mam nadzieję, że będą się bardzo nudzić na stylizowaniu swoich durnych włosów i wydawaniu za dużo pieniędzy na ich głupie włoskie ubrania, kiedy wszyscy razem zestarzeją się w tej dziwacznej willi! – Millie odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła kołysać biodrami, kończąc temat Doma i jego braci.

Idąc jej przykładem zamknęłam oczy i dałam się ponieść muzyce. Ale głęboko w mojej prywatnej bańce nie mogłam się powstrzymać od wyobrażania sobie rąk Nico na mojej talii; wyobrażania, że przyszedł, żeby przeprosić za swoje dziwne zachowanie i że miał logiczne wytłumaczenie dla swej nagłej bezduszości. Ale kiedy otworzyłam oczy i odwróciłam się, ujrzałam kolekcję obcych twarzy, wszystkie poczerwieniałe i dyszące.

Po jakimś czasie zaczęły mi pulsować stopy. Przestałam tańczyć i przesłam przez podwójne drzwi prowadzące do ogromnej kuchni z marmuru. Tam znajdowała się garstka facetów, którzy nachylali się nad beczką piwa, pijąc duszkiem swoje drinki. Przy stole dwie szczupłe brunetki w krótkich spódniczkach piszczwały przez całą grę w piwnego ping ponga.

Przecisnęłam się obok rudowłosej dziewczyny, która malowała tatuaż henną na plecach koleżanki i skierowałam się do lodówki w chwili, kiedy Alex walnął kubkiem z piwem o blat i oddalił się od swoich przyjaciół, unosząc ramiona w geście zwycięstwa.

- Frajerzy! – zawołał. – Nie można pokonać czempiona!

Uśmiechnęłam się. Alex był taki spięty na turnieju koszykówki; miło było widzieć go w radośniejszym nastroju – nawet jeśli nadal był niezdrowo ambitny.

Gdy wbił we mnie spojrzenie, opuścił ręce po bokach i zgarbił ramiona, przybierając zażenowany wyraz twarzy.

- Piwa? – zaoferował, wskazując na beczkę za sobą. – Albo mamy też coś mocniejszego?

Odsunęłam z czoła przyklepnięte włosy, czując pod palcami kropelki potu.

- Może później – powiedziałam. Już teraz miałam problem ze stanem równo na obcasach. Stwierdziłam, że lepiej jeszcze trochę poćwiczę zanim dodam do mieszanki alkohol.

- Na pewno nie chcesz? – nakłaniał Alex z uśmiechem, o którym kiedyś marzyłam we szkole. Ale teraz było inaczej.

- Tak, na pewno. – Otworzyłam lodówkę, wyciągnęłam puszkę dietetycznej coli i otworzyłam ją, kiedy znajdujący się za mną faceci zaczęli się śmiać. Zastanawiałam się czy śmieją się ze mnie, ale byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby zapytać. Czując napływający do policzków rumieniec, wycofałam się i ominęłam rudą, która teraz

malowała sobie na biodrze delfina. Piłeczka ping pongowa przeleciała obok mojej głowy i odbiła się od marmurowej wyspy pośrodku kuchni.

Wróciłam do salonu w jednym kawałku, przycisnęłam się obok pary, która całowała się pod drzwiami i wyminęłam kogoś wykonującego taniec robaka, żeby dotrzeć do najbliższej kanapy. Tam znalazłam Millie rozmawiającą z Paulem i Alison z restauracji.

- ...a wtedy sobie myślę, nieważne, pobawię się bez niego... hej, solenizantko, siadaj.
- Poklepała niewielką przestrzeń koło siebie.

- Cześć. – Wcisnęłam się pomiędzy Millie i podłokietnik, odczuwając natychmiastową ulgę w stopach. – Kiedy przyszliście? – Podążyłam za wzrokiem Millie na kolana Alison i zobaczyłam, że trzymała się z Paulem za ręce. Najwyraźniej zostali oficjalnie parą.

- Przed chwilą. Ursula wypuściła nas wcześniej.

- Wszystkiego najlepszego, Sophie – dodał radośnie Paul. – Świetna impreza.

- Dzięki. – Wzruszyłam ramionami. – Nie jest moja. Nie znam większości gości.

- Oczywiście, że twoja – wtrąciła Millie, machając lekceważąco ręką. – A jeśli znajomi Alexa wcześniej cię nie znali, to teraz na pewno poznają dzięki tej sukience. – Wypiła ciurkiem swojego drinka i westchnęła zadowolona.

- Tak – przytaknął Paul, sprawiając, że Alison wbiła paznokcie w jego kolano. – Auć!
- krzyknął. – Przepraszam, tak tylko powiedziałem.

- Nadszedł czas na dolewkę. – Millie poderwała się do góry i przedarła się przez imprezowy tłum z większym charakterem niż Beyonce. Zazdrościłam jej umiejętności swobodnego chodzenia na obcasach bez doświadczania ochoty położenia się i obciążenia sobie stóp.

Poszłam poszukać łazienki. Odgłos wymiotowania na dole nakłonił mnie do podążenia na piętro, gdzie po zapukaniu trzy razy otworzyłam jedne drzwi i stanęłam twarzą w twarz z półnągą parą. To był traumatyczny moment dla nas wszystkich.

Zamknęłam szybko drzwi i weszłam w głąb korytarza, zatrzymując się przed sypialnią rodziców Millie i zastukałam knykciami w drzwi. Gdy nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, weszłam do środka, modląc się, żeby nie stać się świadkiem kolejnej okaleczającej sceny. Sypialnia była pusta.

Wąskie drzwi obok szafy na całą ścianę oznaczały, że miałam dobrą pamięć i mieli pokój z łazienką. Ale kiedy do nich podeszłam, klamka została szarpnięta od wewnątrz i drzwi stanęły otworem. Odskokczyłam do tyłu i wylądowałam na łóżku. Podniosłam ręce i zakryłam oczy.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Moje usprawiedliwienie zostało potraktowane głębokim śmiechem.

- Spokojnie, Sophie. Wylałem na siebie piwo, a wszystkie inne łazienki były *ocupado*.

Odstłoniłam oczy i zobaczyłam Robbiego Stensona opierającego się o próg i trzymającego w obu dłoniach czerwone kubki.

- Chcesz? Mam aż za dużo.

- Um, dzięki. – Cieszyłam się, że Robbie nie żywił do mnie urazy przez nasze fiasko na turnieju koszykówki. – Nie wiem czy powinnam pić... i bez tego jest mi wystarczająco ciężko chodzić w szpilkach. Nie chcę narażać swojego życia.

Przerzucił oklapłe włosy na czoło i uśmiechnął się krzywo.

- To tylko sok żurawinowy z wodą sodową, ale będziesz miała odjazd. To chyba przez zawartość cukru czy coś.

- Fajnie. – Sięgnęłam po kubek w jego wyciągniętej dłoni, nagle zrobiło mi się strasznie gorąco. – Rzeczywiście chce mi się pić.

- Nie gadaj. – Usiadł ciężko na łóżku i wygiął do mnie jedną ze swoich doskonałych brwi. – Wcześniej pokazałaś zabójcze taneczne ruchy. Dlaczego nie wykorzystałaś części tego talentu na boisku? Może wtedy mielibyśmy chociaż najmniejszą szansę.

Uśmiechnęłam się do kubka.

- Chyba nie zdołałabym dryblować i robić robota jednocześnie.

Robbie parsknął z rozbawieniem.

- To by mogło zastraszyć naszych przeciwników. – Wpatrywał się we mnie bez zmrużenia oka, kiedy piłam. – Tak w ogóle to wyglądasz świetnie.

- Dzięki. – Nagle miałam wrażenie, że nasza rozmowa mogła mieć dla niego inne znaczenie niż dla mnie. Co *było* takiego w tej sukience?

- Powinnam już wracać na dół – powiedziałam, odstawiając pusty kubek na stolik nocny.

- Myślałem, że musisz iść do łazienki?

- Odechciało mi się. Chyba po prostu było mi gorąco. – Podniosłam się i podeszłam chwiejnie do drzwi, kiedy moje stopy znowu zaczęły boleć.

- Może później cię złapię – zawołał za mną.

- Ta, może – powiedziałam, chwytając balustradę i schodząc ostrożnie po schodach.

Wracając do kuchni znalazłam Millie, jak przytulała się do chłopaka z wątpliwą kocią bródką. Wspierała się na jego ramieniu i chichotała jak mała dziewczynka. Jej starania, żeby zapomnieć o Domie najwyraźniej szły bardzo dobrze.

- Sophie. – Uśmiechnęła się szeroko i wstała, kiedy mnie zobaczyła. – Chodź poznać Marcusa. Jest wspaniały. – Podeszła bliżej i ściszyła głos. – Jest *o wiele* fajniejszy od *nudnego* Doma. Nie wiem, co ja sobie myślałam z tamtym gościem. Wyraźnie do siebie nie pasujemy, on jest *zbyt* poważny.

Nagle kołysała się przede mną, a ja zaczynałam czuć się dziwnie.

- Możesz stanąć prosto?

- Piłaś coś, Soph?

Jej oczy zrobiły się o wiele za duże, a usta rozchyłały się pod nienaturalnym kątem. Potrząsnęłam głową i poczułam zawroty.

- Na pewno? – Podeszła tak blisko, że widziałam wszystkie piegi na jej twarzy. Poruszyły się niczym puzzle, po czym zniknęły.

- O-oczywiście. – Opadłam na ścianę. – Ale nie czuję się dobrze. – W mojej głowie rozbrzmiał alarm, ale stawał się coraz słabszy.

- Na pewno nie wypić żadnego shota?

Muzyka waliła młotem w moją czaszkę.

- Nie, j-ja tylko... - urwałam i ściągnęłam brwi. – Zapomniałam, co miałam powiedzieć.

- Myślę, że ktoś powinien zabrać cię do domu. – Nie byłam za bardzo świadoma, ale słyszałam, że Millie nie była już rozbawiona i zniknął facet z bródką.

- Boli mnie głowa. C-czy możesz mi coś na to dać? – Usłyszałam swój niepewny głos i skrzywiłam się. Wszystko to brzmiało o wiele wyraźniej w mojej głowie.

- Co się dzieje, Sophie? – Alex pojawił się znikąd i stał przede mną, podtrzymując mnie. Nagle zdałam sobie sprawę, że gdyby mnie puścił to padłabym jak długa na ziemię. Oparłam się o niego całym ciałem, wbijając nos w jego klatkę piersiową.

- Chyba wypić za dużo – powiedział, znowu mnie prostując.

- Nie piłam – wybełkotałam, kiedy pokój zaczął ciemnieć. A potem leżałam w cichym pomieszczeniu na tyłach domu, patrząc na kryształowy żyrandol u góry. Zbierało mi się na wymioty. – Chcę wracać do domu.

- Cholera – mruknęła z daleka Millie. – Celine mnie zabije, jeśli się o tym dowie.

- Zabiorę ją do domu – zasugerował jakiś głos.

- Jesteś pewien, Robbie?

- Tak, znam drogę. Nie może pójść sama, nie w takim stanie.

- Sam nie wiem. – Twarz Alexa wykrzywiła się nade mną, jego oczy wirowały niczym małe tęczowe kółka. – Może powinniśmy zadzwonić po jej mamę.

- Alex, zabiorę ją. Nic nie piłem. Chyba nie chcesz, żeby ta impreza tak szybko się skończyła, co?

Jęknęłam i chwyciłam się za boki.

- Nie chcę z nim iść – szepnęłam w poduszkę. – Przyprawadźcie Nico.

Poduszka nie odpowiedziała i Nico nie przyszedł.

- Dobra, Sophie, idziemy. – Alex wsunął ręce pod moje ramiona i podnosił mnie z kanapy, aż oparłam się o niego chwiejnie. Świat zaczął kręcić się tak szybko, że twarze Millie, Alexa i Robbiego zamieniły się w jedną dziwną mozaikę ludzkości.

- Czekaście – powiedziała Millie. – Nie może wrócić w nich do domu.

Niespodziewanie były przede mną tylko dwie twarze i nie potrafiłam sobie przypomnieć, kto jest kim. Myślałam, że Alex miał blond włosy, ale drugi facet posiadał jego błękitne oczy. Pokręciłam głową, żeby pozbyć się zakłóceń.

- Ile ona wypija?

- Mogę się założyć, że wychyliła całą tequilę, stary.

A potem stałam przy drzwiach wejściowych, mając na sobie parę butów Ugg, które nie należały do mnie. Mój podbródek przykleił się do piersi, a ziemia zaczęła wznosić się do góry, żeby zaraz opaść w dół.

- Robbie, powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, kiedy będzie w domu, okej? Nie zapomnij.

A następnie puściliśmy się w galop wzdłuż podjazdu i zakręciliśmy za rogiem w pustą ulicę, która wyłaniała się przede mną niczym czarna rzeka. Niespodziewanie moja głowa puchła jak balon.

- Zaraz wpadnę.

Przeskoczyłam ponad szparami w chodniku.

Robbie objął mnie ramieniem w pasie i wyprostował mnie.

- Wyluzuj. Jesteś trochę nabuzowana, to wszystko.

Na słowo „nabuzzowana” poczułam coś w uchu. Poruszyłam gwałtownie głową i pacnęłam się w twarz.

- Złaź, złaź, złaź!

A potem znalazłam się przed rzędem niewielkich pudełkowatych domów, które wyglądały, jakby zostały wciśnięte same w siebie.

- Wyglądają strasznie smutno – jęknęłam w ramię Robbiego.

Zamrugałam oczami, a kiedy znowu je otworzyłam sunęłam po chodniku i mrużyłam oczy w przytłaczającym świetle gwiazd. Widziałam przed sobą górujący dom Priestlich niczym zamek nad wioską.

- Tam mieszka księżniczka. – Poczułam nagłą potrzebę uratowania jej. Ale zaraz zapomniałam, o czym myślałam. – Jestem zmęczona – zorientowałam się, kiedy świat zamilkł i znieruchomiał.

Zatrzymaliśmy się.

- Wiem. – Robbie podparł mnie o murek. Byłam niejasno świadoma nierównych kamieni drapiących moje plecy.

- Nie spałam od jakichś stu lat – przypomniałam sobie. Moja głowa zakołysała się, aż patrzyłam w dół w chodnik.

Wyprostował mnie jak szmacianą lalkę i zacisnął ręce na mojej talii.

- Trzymam cię.

- Czy jestem w domu? – zapytałam ze znużeniem. Ciężko było mi na czymkolwiek się skoncentrować i miałam złe przeczucie, że zaraz się porzygam.

- Tak, odpręż się, Sophie. Wszystko jest w porządku. – Poczułam pod brodą palec, który odchylił mi głowę do tyłu. Wywróciłam oczami do tyłu, kiedy ciepły oddech owiał moją twarz. Walczyłam z opadającymi powiekami, walczyłam, żeby utrzymać otwarte oczy. Gdy je otworzyłam, wpatrywałam się w parę szarych, przypominających jastrzębia, oczu, które znajdowały się parę centymetrów od mojej twarzy. W chwili, kiedy moje ciało zrzekło się całkowitej kontroli nad swoimi kończynami, poczułam pod sukienką jego rękę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

MROCZNY RYCERZ

Gdzieś głęboko czułam narastającą panikę.

- Przestań. – Usłyszałam własne sapnięcie.

Oczy Robbiego zmniejszyły się do małych szparek w jego opuchniętej twarzy.

- Rozluźnij się.

- Nie chcę tego. – Próbowałam potrząsnąć głową, ale udało mi się zrobić jedynie przewróconą liczbę osiem.

Zachichotał. – Więc po co pokazałaś się na imprezie w *takim* stroju? – Szarpnął za materiał mojej sukienki. Usiłowałam coś powiedzieć, ale nie potrafiłam wysilić się na wyduszenie z siebie słów. Przesunął szorstkim palcem po moich ustach i jęknęłam, czując jak ślina zbiera mi się w gardle. Przysunął się bliżej. W kącikach jego popękanych warg zebrała się ślina, kiedy powiedział: - Przestań udawać niedostępną.

Opuścił rękę poniżej mojego biodra i położył na nagim udzie i nagle nie potrafiłam skupić się na niczym innym. Zastukał palcami o moją nogę i przywarł do mnie, umieszczając moje ciało pomiędzy swoją grubą sylwetką, a zimną ścianą. Zaczął przeczesywać moje włosy, płacząc je i odciągając mi głowę do tyłu.

Starałam się przypomnieć sobie, jak daleko miałam do domu, ale wszystko było jedną wielką plamą. Wzrosła we mnie panika i szarpała się po mojej głowie, dopóki nie poczułam pulsowania. Próbowałam ruszyć ramionami, ale były głuche na moje prośby pod ciężarem jego ciała, kiedy przesunął drugą rękę w stronę rąbka sukienki.

Oczy wywróciły mi się do tyłu, jak przyłgął słonymi ustami do moich. Pomyślałam przelotnie o Nico: o tym, jak nakrył niepewnie moje wargi, jak gdyby chciał rozkoszować się każdą sekundą tego pocałunku; o tym, jak wybuchła we mnie ekscytacja, kiedy zacisnął delikatnie ręce na moich biodrach. Ale to nie były ani jego ręce ani usta. Szorstkie i suche ugniatały moje wargi, rozchylając je wężowatym językiem, dopóki nie opadłam na Robbiego, zapadając się jeszcze głębiej w paszczę, która penetrowała moją tak zawzięcie, że zaczęło boleć.

Wtem odgłos silnika przerwał przerażającą ciszę i gdzieś w pobliżu zapiszczały hamujące opony. Robbie zamarł, nie odrywając ode mnie ust i przeniósł ręce na moją talię. W moim odrętwiałym stanie wyobrażałam sobie, że przypominaliśmy dwie kukielki wsparte o siebie w mroku.

Nie wiem jak długo opierałam się o posąg w postaci Robbiego Stensona, ale uradował mnie mile widziany podmuch zimnego powietrza, kiedy jego ciało zostało oderwane od mojego. Wydał stłumiony okrzyk, kiedy odfrunął do tyłu, zabierając ze sobą nacisk, dzięki czemu znowu mogłam odetchnąć.

Ktoś wrzeszczał. Osunęłam się wzdłuż ściany na nogach, których już nie czułam. Gdzieś w oddali zazgrzytał żwir i rozległ się głęboki krzyk. Nastąpiło donośne pęknięcie i przeraźliwe zawodzenie, które brzmiało jak zdychający kot. Buty zaszurały na ziemi. Wysokie szlochły zamieniły się w rozpaczliwe błagania. Próbowałam zrozumieć, ale słowa stały się zniekształcone i niewyraźne, kiedy moje ciało osunęło się na ziemię i głowa weszła w kontakt z betonem.

- Zabieraj się stąd zanim wyrwę ci serce.

Czy on mówi do mnie?

Więcej szurania nogami.

Dlaczego jest tak ciemno?

Odgłos kroków, które oddalały się coraz bardziej.

Czy ja wciąż żyję?

Następna para kroków, spokojniejszych i cichszych niż poprzednie, która posuwała się w moim kierunku.

- Sophie? Słyszysz mnie?

Coś chwyciło mnie za ramiona. Moje ciało zadygotało lekko, ale nie miałam już siły, żeby otworzyć oczy. Byłam martwa dla całego świata. Martwa dla wszystkiego oprócz jego głosu.

- Sophie? No dalej. – Jeszcze więcej delikatnego potrząsania. Palec przyciśnięty do mojej szyi. Czułam jak obija się o niego mój puls. Nastąpiło westchnienie – długie i pełne ulgi. – No dalej, Sophie. Obudź się.

Walczyłam o energię, ale byłam wyczerpana niczym balon, z którego spuszczone powietrze. Potem nastąpiła cisza i zorientowałam się, że próbuję sobie przypomnieć gdzie jestem i co się dzieje. Czy opuściłam imprezę? Czy upadłam?

- Spróbujesz otworzyć oczy?

Dlaczego nie potrafiłam rozpoznać tego głosu? Był taki znajomy, jednak oddalony. Jedno ramię owinęło się wokół moich barków, a drugie wsunęło pod kolana, podnosząc mnie z zimnej ziemi. Moja głowa opadła na coś twardego i słyszałam pod uchem spokojne dudnienie serca.

Przepląnęłam przez powietrze do jakiegoś ciepłego miejsca. Stłumiony trzask drzwi samochodowych ustąpił miejsca uspokajającemu buczeniu silnika i wkrótce kołysałam się na czymś miękkim. Minuty rozpląnęły się w jeden długi okres ciemności, dopóki znowu nie leciałam w powietrzu poprzez królestwo setek odległych głosów, migotających światełek i przenikliwych pikań.

Po moim policzku przesunął się palec.

Oddalony głos przerwał moment, w którym składałam miejsce swojego pobytu i wszelkie domysły odfrunęły ode mnie zanim zdążyłabym się połapać.

- Zlokalizowałam jej matkę. Nie chcesz zostać dopóki tutaj nie dojedzie?

- Nie mogę.

Słyszałam coraz cichsze kroki, aż dobiegał do mnie jedynie odgłos mojego własnego oddechu, który wydobywał się spomiędzy ust. Czując się bezpieczna w całkowitej pustce zapadłam się w nicość, w której w połowie zapomniane wspomnienia wymieszały się z wstrząsającymi koszmarami, aż zapomniałam, co było realne, a co sobie tylko wyobraziłam.

Obudziłam się, patrząc w całkowicie inny sufit niż do którego przywykłam. Był wielki i pokryty kafelkami ze świetlówkami, które raniły moje oczy. W powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego, a rozsunięte zasłony oddalonego okna miały barwę obcej, nudnej zieleni. Próbowalam poruszyć ciałem, ale byłam opatulona kołdrą aż po szyję. Jednak pomimo przylegającego do mnie ciepła czułam zimną sztywność przepływającą przez lewą dłoń.

Łóżko było obramowane prętami, a ściany miały oślepiający kolor bieli. Poruszyłam palcami w grubym bandażu i zauważyłam z przerażeniem, że miałam w ręce rurkę od kroplówki.

- Pani Gracewell, obudziła się.

Moje łóżko zadygotało z drugiej strony. Obróciłam głowę i skrzywiłam się przez niespodziewany atak bólu w podstawie czaszki. Pierwsze, co zobaczyłam to niepomalowana twarz mojej mamy. Obok niej siedziała wymęczona Millie ubrana w workowatą bluzę i wczorajszą szminkę, która była teraz tylko czerwoną smugą. Przysunęła krzesło do przodu.

- Jak się czujesz?

Starając się z całych sił, żeby nie spanikować poruszyłam powoli każdą kończyną i stwierdziłam z ulgą, że wszystkie są całe. Obejrzałam ciało w poszukiwaniu bandażu i nie znalazłam żadnego. Następnie przesunęłam dłońmi po zmatowiałych włosach i twarzy, żeby upewnić się, iż nie mam szwów.

- Co się stało? – wychrypiałam. – Nigdy nie miałam tak strasznej migreny.

- Wszystko w porządku, kochanie. – Mama pogłaskała mnie uspokajająco po dłoni. – Tego można się było spodziewać.

Millie wyglądała, jakby miała wybuchnąć płaczem. Jej podkład był pokryty smugami łez, a pod oczami widniały ciemne plamy tuszu do rzęs. Schowała twarz w dłoniach i szarpnęła za zmierzwiowane włosy.

- Tak strasznie cię przepraszam, Soph.

Matka ścisnęła moją rękę tak mocno, że zabolęło.

- Wygląda na to, że zostałam odurzona na imprezie.

Potrzebowałam kilku sekund, żeby znaczenie tych słów połączyło się ze sobą w moim nieogarniętym umyśle. Potem serce opadło mi do żołądka.

- Odurzona?

- Nie mieliśmy pojęcia. – Millie pociągnęła nosem. – W jednej chwili czułaś się dobrze, a w następnej nie mogłaś ustać prosto. Wciąż zapomniałaś gdzie jesteś i mówiłaś, że chcesz wracać do domu.

Usiłowałam znaleźć wspomnienia, ale miałam pustkę w głowie.

- Więc przywieźliście mnie tutaj, żeby przeczyścili mi żołądek?

Millie zmarszczyła brwi i rysowała jakieś kształty na szpitalnej pościeli.

- Myśleliśmy, że po prostu się upiłaś. Ktoś powiedział, że wypiłaś tequilę czy coś. Więc poszłaś do domu z Robbiem Stensonem.

Mama ściągnęła twarz w wyrazie dezaprobaty.

- Choć Millie już teraz wie, że powinni byli zadzwonić do mnie – powiedziała. – Piłaś czy nie, nadal powinnam zostać poinformowana o sytuacji, by upewnić się, że nic ci nie jest.

- Tak bardzo mi przykro, pani Gracewell! Gdybym choć przez sekundę myślała, że ktoś jej coś podał nie wysłałabym jej tak do domu... - Millie wybuchła szlochem, który potrząsał jej sylwetką.

Mama pogładziła ją po plecach w wielkich, okrężnych ruchach.

- Wiem – rzekła, próbując ją uspokoić.

- Co się stało? – Miałam wrażenie, że próbowałam wydobyć na wierzch coś z obrzeży wspomnień, ale im bardziej się starałam, tym bardziej zapominałam.

- Robbie nie pił alkoholu i powiedział, że zna drogę. – Millie powstrzymywała się, krążyła wokół czegoś; byłam tego pewna.

- Dostałam telefon mówiący, że młody człowiek przywiózł cię do izby przyjęć – wtrąciła matka. – Gdy przyjechałam, przeprowadzili kilka badań i wykryli w twoim organizmie flunitrazepam.

To słowo padło na mnie toną cegieł.

- F-flunitrazepam? – wydukałam. – Dostałam pigułkę gwałtu? – Od razu skierowałam ręce do bielizny.

- Nie martw się – wtrąciła szybko Millie. – Dotarł do ciebie na czas.

- Robbie?

Mama wymieniła się spojrzeniem z Millie.

- Nie, nie Robbie. Pielęgniarka powiedziała, że przyniósł cię młody człowiek z opaloną skórą i ciemnymi włosami. Mówi, że nie chciał podać swojego imienia.

Głowa bolała mnie tak bardzo, że ledwo mogłam myśleć. Skąd w tym wszystkim wziął się Nico? I dlaczego nie chciał ujawnić swojego uczestnictwa?

- Nie rozumiem...

- Powiedział pielęgniarce, że znalazł cię z chłopcem, który wyglądał, jakby chciał cię wykorzystać. Okazał niepokój i chłopak odszedł. Potem przywiózł cię tutaj, kiedy zorientował się w jak bardzo jesteś złym stanie.

Poczułam pieczenie dłoni, do której miałam podłączoną kroplówkę.

- Gdzie jest teraz Nico?

- Nie było go, kiedy przyjechałyśmy – odpowiedziała tym razem Millie. – Ale pielęgniarka mówiła, że został z tobą przez godzinę, kiedy próbowali skontaktować się z twoją mamą. Chciał mieć pewność, że nic ci nie będzie.

Mama oparła się o oparcie i wydawało się, że trochę się rozluźniła.

- Millie i ja próbowałyśmy skontaktować się z rodziną Priestlich, ale nie są nigdzie zarejestrowani. Dobrze by było porozmawiać z tym chłopakiem, kiedy stąd wyjdziemy.

- Więc dokąd poszedł Robbie Stenson, jak pojawił się Nico? Czy to on próbował mnie wykorzystać?

Millie wzruszyła ramionami, marszcząc brwi w konsternacji.

- Nico pomyślał chyba, że próbował cię pocałować. Wydawało mi się, że Robbie się w tobie durzy, ale nie sądzę, że zrobiłby coś takiego, kiedy byłeś w takim stanie. No bo zwymiotowałaś dwa razy zanim opuściłaś mój dom.

Skrzywiłam się... tego nie pamiętałam.

- Alex przez cały poranek usiłował dodzwonić się do Robbiego, żeby dowiedzieć się, co się stało – ciągnęła Millie. – Może Nico wpadł w szal, kiedy zobaczył was razem.

Przypomniało mi się, jak Nico zareagował zazdrością na Alexa podczas turnieju koszykówki, ale nadal byłam wykończona i zdezorientowana. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, żebym wczoraj spotkała Robbiego Stensona, choć niejako wiedziałam, że był na tej imprezie.

- No to kto to był? – zapytałam, rozgrzewając się od złości. – Kto wsypał mi do picia flunitrazepam?

- Nie wiemy, Soph. Z tego, co wiemy byłeś jedyną ofiarą. – Millie ledwo potrafiła spojrzeć mi w oczy. – Alex twierdzi, że to mógł być kuzyn jednego z jego kolegów. Parę lat temu by wmieszany w coś podobnego. Nie był w ogóle zaproszony a teraz nie możemy go wyśledzić. – Millie ucichła. Potarła oczy, rozcierając cień do powiek, dopóki nie wyglądała jak panda. – To wszystko moja wina, Soph. Przepraszam, że pozwoliłam, by impreza wymknęła się spod kontroli.

- Wszystko dobrze – powiedziałam z nadzieją, że złagodzę jej wyrzuty sumienia. – Mogło być gorzej, prawda? Nie stała mi się żadna krzywda.

- Na szczęście – powiedziała mama.

Zacisnęłam powieki i skoncentrowałam się. Tańczyłam. Poszłam do kuchni. Byłam z Millie. A potem nic.

- Próbuję sobie przypomnieć.

Mama pogładziła mnie po ramieniu.

- Kochanie, lekarz mówi, że prawdopodobnie nie odzyskasz pamięci z zeszłej nocy. Może będziesz miała jakieś przebłyski, ale pewnie nie przyniosą odpowiedzi na to, co się wydarzyło. Ale chcemy dojść do sedna sprawy. Skoro już się obudziłaś będzie chciała z tobą porozmawiać policja i pomówimy także z tym Robbie, kiedy w końcu się pojawi. Obiecuję.

- Dowiemy się, co się stało – potwierdziła Millie.

Zerknęłam na igłę w ręce i poczułam większą świadomość zimnego płynu, który przepływał do mojego ciała.

- Kiedy mogę stąd wyjść? Szpitale przyprawiają mnie o gęsią skórkę.

Jak na zawołanie do pokoju szpitalnego weszła wolnym krokiem krępa pielęgniarka z krótkimi popielatymi włosami.

- Jak się czujesz? – zapytała.

Miałam bardzo niejasne wrażenie, że już wcześniej słyszałam ten głos.

- Jestem zdezorientowana i pęka mi głowa – odparłam.

Nie podnosząc wzrok wyrzuciła z siebie przemówienie, które zdawało się dokładnie przygotowane.

- Flunitrazepam opuszcza twój organizm i słabną jego najgorsze skutki. Przez kolejne dwa dni będziesz odczuwać ból głowy i możliwe mdłości, ale potem powinnaś wrócić do normy. Lekarz powiedział, że wypisze cię, kiedy będziesz już na siłach.

- Już jestem na siłach.

Pielęgniarka ściągnęła kąciki pulchnych warg.

- Na przyszłość radziłabym, żebyś cały czas trzymała przy sobie napój i zakrywała w obecności ludzi, których nie znasz zbyt dobrze.

Otworzyłam usta, żeby się kłócić, ale pohamowałam się. Byłam wściekła, ale nie na nią. Złościłam się na wszystko: na osobę, która mnie odurzyła, na chłopaka, który próbował mnie pocałować w takim stanie i na Nico, który zostawił mnie tutaj z moją narastającą dezorientacją.

Najpierw odjeżdża ze swoim bratem, porzucając mnie na pustej ulicy, a potem przychodzi mi znikąd na ratunek, ale pozostawia bez wskazówek do tego, co zaszło. Nawet nieobecny pogrywał sobie ze mną i to musiało się skończyć w ten czy inny sposób.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OSTRZEŻENIE

Siedziałam, podpierając się łokciami o stół i obserwując mój telefon. Wibrował na drewnianym blacie i wprawiał w drżenie groszek na moim talerzu. Numer wyświetlający się na ekranie należał do Jacka.

- Nie przestanie wydzwaniać. – Słowa matki wycisnęły się spomiędzy kęsów kotleta schabowego.

- Jutro się z tym zmierzę. – Chciałam porozmawiać z wujkiem, ale było późno i ledwo patrzyłam na oczy, ale byłam głodna. Połknęłam górę puree z ziemniaków i zmarszczyłam gniewnie brwi. – Dlaczego musiałaś mu powiedzieć tak szybko?

- Nie powiedziałam. Poinformowałam Ursulę, ponieważ nie chcę, żebyś jutro szła do pracy, a kiedy zadzwonił do restauracji ona mu wszystko opowiedziała. – Mama wzruszyła ramionami i wrzuciła sobie do buzi kilka groszków.

Moja komórka znowu zaczęła dzwonić, pogarszając ból głowy, który wciąż mnie prześladował. Wzięłam ją do ręki i przesunęłam kciukiem po ekranie.

- Cześć, Jack.

- Jestem na zewnątrz, wpuść mnie.

- Co?

- Otwórz tylne drzwi.

Rozłączył się. Podeszłam do okna kuchennego. Był samym cieniem trwającym przy krzewie, trzymając się poza wykrywaczem ruchu, więc ledwo go widziałam. Skąd on się tutaj wziął?

- Czy znowu tu przyszedł? – Głos matki obfitował w zdumioną dezaprobatę. Wstała. – Co on wyprawia?

Otworzyłam drzwi i wszedł do środka, zatrzasnął je za sobą na zamek.

- Sophie – wydyszał z zarumienionymi policzkami.

- Skąd się tutaj pojawiłeś?

Zlekceważył moje pytanie i przycisnął mnie do swojego ramienia tak mocno, iż myślałam, że stracę oddech. Nie przytulałam Jacka od dziecka. Przywykłam do tego, że okazuje emocje w inny sposób – drogie prezenty, dzień wolny z ostatniej chwili czy

przypadkowe telefonowanie. Ale w tym uścisku było coś, dzięki czemu był lepszy od tego wszystkiego... czułam się chroniona.

- Tak się cieszę, że jesteś bezpieczna – wychrypiał w moje włosy.

Uwolnił mnie i wycofałam się chwiejnie, przyciskając rękę do piersi. Zaczęło mnie ścisnąć w gardle. Przełknęłam gulę, mając nadzieję, że odejdzie, ale sposób, w jaki Jack wpatrywał się we mnie oczami mojego ojca, tak pełnymi troski i ulgi, powodował, że chciało mi się ryczeć.

- Gdybym pozwolił, żeby cokolwiek ci się stało Mickey uciekłby z więzienia, żeby mnie zabić – powiedział, próbując bez skutku złagodzić atmosferę.

- Co ty tutaj robisz? – Złożyłam słowa w zdanie żeby oderwać swoją uwagę od guli rosnącej w gardle. Obok stała moja matka. Niemal wyczuwałam sączące się z jej porów podejrzenie.

Jack podrapał się po krótko ściętych włosach. Był wyjątkowo zaniedbany, a typowy garnitur zastąpiony przez luźne džinsy i nijaką czarną bluzę. Nie wyglądał tak poważnie czy zamożnie jak zwykle.

- Wydzwaniałem do ciebie przez cały dzień, Persefono.

Skrzywiłam się. Musiało mu chodzić o coś poważnego.

- Byłam w szpitalu.

- Słyszałem. Odchodziłem od zmysłów z niepokojem.

- Czyli jest nas dwoje – odezwała się mama. Podeszła do zlewu i zaczęła nalewać wody do czajnika na herbatę.

- Jak się czujesz?

- Gdzie byłeś? – zapytałam w tym samym czasie.

Jack potarł oczy.

- W całym stanie – odparł ze znużeniem.

- Co robiłeś?

- Sprawy biznesowe.

Był lakoniczny. Nigdy mi nie mówił o swoich innych sprawach. Wiedziałam, że wiązały się z inwestycjami i stopami procentowymi, dlatego nigdy na niego nie naciskałam, bo bym się zanudziła na śmierć.

- Wróciłeś już? Do Cedar Hill? – Byłam zaskoczona, jak dziecinnie brzmiała nadzieja w moim głosie i byłam tym zażenowana. Najwyraźniej brakowało mi go bardziej niż

zdawałam sobie sprawę. Był jedyną prawdziwą męską obecnością w moim życiu i bez niego wydawało się puste niż być powinno.

Potrząsnął ponuro głową.

- Jeszcze nie. Nie całkiem.

Mama zajmowała się czymś przy kuchence. Podsunęła kubek miętowej herbaty Jackowi. Przyjął go z uniesioną brwią.

- Dziękuję, Celine.

- Zanim zapytasz nie ma w niej alkoholu.

Wzdrygnęłam się. A szło tak dobrze. Upił trochę, nie odrywając od niej wzroku i przemilczał swoją odpowiedź z mojego względu.

- Czy ta wizyta nie mogła poczekać do bardziej rozsądnej godziny, Jack? – W głosie matki słychać było nutę dezaprobaty. – Zawsze musisz działać w środku nocy?

Tym razem ją zignorował odstawiając kubek na stół.

- Wydarzenia zeszłej nocy były naprawdę poważne – powiedział do mnie. – I to w twoje urodziny!

- Wiem – powiedziałam, przygryzając wargę, żeby przestała drżeć.

- Wiedzą, kto ci dosypał środek odurzający?

- Nie – odpowiedziałam, czując już zmęczenie tym samym pytaniem. W szpitalu przesłuchała mnie policja i to nie było zbyt pomocne. Nie mieliśmy żadnych poszlak i byłam przekonana, że nigdy nie odzyskam całego wspomnienia tamtej nocy. Wiedziałam również, że Robbie Stenson będzie mnie unikał już do końca życia. Napisał w końcu do Alexa wiadomość, że wyjechał z miasta z „przyczyn rodzinnych” i że nie zdawał sobie sprawy, jaka byłam nieprzytomna. Tak naprawdę myślał, że on mi się *podobał* i *chciał* go pocałować, i przykro mu było, że mój „chłopak” tak się tym wściekł i nam przerwał. Jeżeli był taki pełen przeprosin to mógł napisać do *mnie*, ale nawet się nie kłopotał. I jedyną drugą osobą, która miała jakąkolwiek wiedzę o zapomnianych częściach mojej nocy był mój „wściekły chłopak” Nico, który już odgrywał oscarową rolę unikania mojej osoby.

- Czy zrobił to ktoś na imprezie? – Wujek Jack kontynuował bezcelowe przesłuchanie.

Podaliśmy mu tę samą odpowiedź, co policji.

- Tak, ale było tam tyle osób, że to mógł być ktokolwiek.

Jack skinął głową w zamyśleniu.

- Czy był tam ktoś, kogo nie rozpoznałaś? A ta nowa rodzina z Lockwood Avenue?

- Nie – odparłam stanowczo. – Właściwie, gdyby nie ta rodzina, to wylądowałabym w jeszcze gorszym stanie.

- Co? – burknął i zniknęła łagodność w jego głosie.

- Jeden z nich znalazł mnie na drodze i zawiózł do szpitala. – Opuściłam część o Robbiem Stensonie; nie chciałam, żeby wujek myślał o mnie całującej chłopaka. Poza tym sama nie mogłam o tym myśleć bez gęsiej skórki.

Jack ściągnął twardo usta, zaciskając szczękę.

- Skąd wiesz, że to nie on cię odurzył?

- Co ty mówisz? – Nie przejmowałam się ukryciem irytacji w głosie. Nie pozwolę Jackowi splamić tego dobrego uczynku swoją uprzedzoną opinią o rodzinie Nico. – On mnie nie odurzył. Nie było go na tej imprezie!

- No nie wiem – burknął Jack. Spojrzał na moją matkę, ale patrzyła przez niego wyraźnie rozdrażniona jego wizytą. Zrobiła, co mogła; wytrzymała cztery minuty.

Westchnęłam, co zamieniło się w ziewnięcie.

- Nawet jeśli *rzeczywiście* odurzył mnie za pomocą *magicznej interwencji*, to po co zawoziłby mnie do szpitala i kazał im dzwonić do mamy?

- Na pewno jest wiele możliwości...

- Proszę cię – powiedziałam ciężko. – Przestań. Zachowujesz się jak paranoik.

- To męczące – dodała szorstko mama. Założyła ramiona na piersi i przysunęła się bliżej do mnie.

Zakryłam usta, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

- Dobra – poddał się Jack. – Po prostu się martwię, Sophie. Rozumiesz? Chcę mieć pewność, że nie zostałam obrana za cel.

Mogłam być zmęczona, ale nie na tyle żeby nie zarejestrować dziwaczności w oświadczeniu wujka.

- Dlaczego ktoś miałby obrać mnie za cel?

Mama najeżyła się obok mnie. Jej tolerancja paranoidalnych pomruków Jacka wyczerpała się już dawno temu. W końcu to ten nawyk doprowadził mojego ojca do bałaganu, przez który wylądował w więzieniu.

- Co ty wygadujesz?

- Nie wiem – powiedział bardziej do siebie niż do nas. Przejechał dłońmi po twarzy i włosach. Zmierzyłam go wzrokiem: poczerwieniałe oczy, tygodniowy zarost, napuchniętą skórę. Nawet usta miał blade.

- Sophie nic się nie dzieje, Jack – powiedziała mama, powstrzymując się od innego komentarza. Widać było, że był poruszony tym, co mi się stało i nie było sensu go za to antagonizować. – Myślę, że powinieneś trochę odpocząć. My wszyscy.

- Okej – uległ mojej matce. – Pójdę.

Uśmiechnął się do mnie; to był słodki uśmiech pełen nadziei z cieniem czegoś mrocznego.

- Kiedy wrócisz? – Znowu brzmiałam jak dziecko, ale nic nie mogłam na to poradzić. Pragnęłam bliskości mojego wujka. Był nieprzewidywalną, dzikszą połową mojego spokojnego, wyważonego ojca i teraz starał się najlepiej jak mógł, żeby być dla mnie obojgiem. Być może nie odnosił wielkiego sukcesu, ale dalej byliśmy związani, on i ja. A choć matka nigdy nie ośmieliłaby się tego przyznać, to bez ojca wszyscy potrzebowaliśmy się nawzajem.

Zmierzył mi włosy.

- Niedługo – powiedział szorstko. – Zadzwońię do ciebie.

Zatrzymał się z ręką na drzwiach.

- I pamiętaj, co powiedziałem. Uważaj na siebie.

- Będę. – Tym razem skłamałam z łatwością. Paranoja Jacka sprawiła tylko, że byłam jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby dowiedzieć się, co się działo wokół mnie. I podejrzewałam, że część odpowiedzi znajdowała się w domu Priestlich.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

NIEPOROZUMIENIE

Po dwóch dniach doszłam do niemal pełni zdrowia i byłam gotowa rozpocząć dochodzenie.

Nie byłam zdziwiona, że Nico nie usiłował się ze mną skontaktować po tym, jak zostałam wypisana ze szpitala, ponieważ nie zaskakiwało mnie już nic, co Nico robił albo nie robił.

Przeszłam się do jego domu wczesnym popołudniem. Zatrzymując się przed bramą z kutego żelaza przyjrzałam się willi z rosnącymi złymi przecuciami. Na podjeździe stał tylko jeden samochód i nagle czułam przerażenie na myśl o stanięciu twarzą w twarz z resztą członków rodziny Nico. Wszak dalej byłam Gracewellówną – jakkolwiek okropne znaczenie to miało dla nich – i nie mogłam tego zmienić.

Przygotowując się na to, co może mnie czekać, przemaszerowałam przez otwartą bramę, depcząc żwir na podjeździe. Gdy dotarłam do czerwonych drzwi wejściowych, zastukałam kołatką i wycofałam się na podjazd, czekając nerwowo.

Wydawałoby się, że minęła wieczność zanim usłyszałam trzy metaliczne trzaśnięcia zamka i drzwi stanęły otworem, ukazując posagową sylwetkę ocienioną ciemnym przedpokojem za nim. Ale znałam tę figurę prawie tak dobrze, jak znałam jego głos.

- Sophie? – Nico stanął w progu nienaganny w spranych dżinsach i białej koszulce. Miał bose stopy.

- Cześć – powiedziałam niepewnie, patrząc jak zaciska i rozluźnia szczękę. – Chcę z tobą pomówić.

Kładąc ręce po obu stronach futryny, wysunął się za próg i obrzucił wzrokiem pustą przestrzeń za mną.

- Sophie – powtórzył tym razem łagodniej. – Co tutaj robisz?

Po tym, jak wpatrywał się w moje oczy wiedziałam, że między nami nadal coś było. Atmosfera zapulsowała i postanowiłam przejść do sedna zanim mnie pochłonie.

- Nie musisz udawać w sprawie tamtej nocy.

Jego wyraz twarzy się zmienił, wytrzeszczał oczy. Powoli wystąpił do przodu, po czym stanął niezdecydowany, jakby walczył z ochotą żeby do mnie podejść.

- O czym ty mówisz?

- Pielęgniarka powiedziała o tobie mojej mamie. Wiem, że prosiłeś ją, żeby tego nie robiła, ale zrobiła, więc nie musisz kłamać.

Już nie grał na zwłokę. Podszedł do mnie, krocząc boso po żwirze. Ściszył głos do szeptu i położył ręce na moich ramionach, przyciągając mnie delikatnie do siebie. Obserwowałam jego dłonie na mojej skórze i wykrzywiłam usta w dezorientacji.

- Sophie. – Zajrzał mi w oczy. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

- Co? Nie przywiozłeś mnie do szpitala tamtej nocy?

Na wzmiankę słowa „szpital” konsternacja zamieniła się w niepokój.

- Dlaczego byłeś w szpitalu? – Zlustrował mnie wzrokiem. – Czy ktoś cię skrzywdził?

- Naprawdę to nie ty mnie uratowałeś? – zapytałam nagle zażenowana.

- *Uratować* cię? – odparł przerażony.

- Ale pielęgniarka powiedziała mojej matce...

- Sophie. – Przeniósł ręce na moją talię, kiedy jego głos stwardniał. – Powiedz mi, proszę, co ci się stało.

Przez chwilę widziałam przed sobą Nico, którego poznałam. Był na wyciągnięcie ręki, dopóki w progu nie stanęła druga postać.

- Nicoli? – Tylko tyle musiał powiedzieć Luca, by sprawić, że jego brat odskoczył ode mnie, jakbym się paliła.

- O co chodzi? – zażądałam. – Co się dzieje?

- Nie mogę – odparł na wpół proszącym tonem, wycofując się. – Po prostu nie mogę.

- Nie rozumiem. – Przeniosłam wzrok na Lucę, który opierał się o front domu, splatając ramiona na torsie.

Spojrzał na mnie niewidzącymi oczami.

- Powinieneś wracać do środka, Nicoli. Szuka cię Valentino. – Ostatnie zdanie brzmiało jak zawołowana groźba, ale nie wiedziałam dlaczego.

Nico wahał się, zaciskając pięści.

- Luca, nie odejdę dopóki nie upewnię się, że nic jej nie jest. – Wściekał się i byłam tym uspokojona, ale nie wystarczająco. – Coś jej się przydarzyło. Była w szpitalu i muszę się dowiedzieć dlaczego.

- Wiem dlaczego – powiedział Luca kierując się niedbale do brata, żeby mogli stanąć naprzeciwko siebie.

Luca był wyższy od Nico, ale Nico był szerszy w barach. Zastanawiałam się, kto by wygrał w bójkę. A potem ciekawiłam się skąd Luca wiedział o moim pobycie w szpitalu.

- Skąd? – zapytaliśmy równocześnie z Nico.

- Bo sam ją tam zawiozłem.

- Ty co? – wydukałam.

- Jaja sobie robisz, Luca? Dlaczego mi nie powiedziałeś, do diabła? – Przez sekundę myślałam, że Nico rzuci się na Luke; utrże mu nosa i zrobi nam wszystkim przysługę. Ale nie zrobił tego. Stał w miejscu, kipiąc ze złości. Patrzyłam na jego ciężko poruszającą się klatkę piersiową.

Luca chwycił Nico za kark, przysuwając go bliżej, żeby mruknąć mu coś do ucha, a kiedy się odsunął część oporu jego brata zmaląła.

- Lepiej się tym zajmij – warknął Nico, po czym odwrócił się z powrotem do domu. – Bo nie możesz oczekiwać, że będę stał z boku i nic nie zrobię... - Jego słowa oddaliły się za jego niespodziewanie wycofującą się sylwetką.

- Um, na razie, Nico! – zawołałam sarkastycznie, przeklinając się, że znowu pozwoliłam, żeby zraniła mnie jego dezercja.

- Rodzina *dziwaków* – mruknęłam wystarczająco głośno, by usłyszał Luca.

Jego brwi zniknęły pod potarganymi kosmykami kruczoczarnych włosów.

- Po to tutaj przyszedłeś? Żeby przezywać mnie jak dziecko?

Skrzyżowałam ramiona.

- Myślałam, że przyszedł zobaczyć się z Nico.

Ściągnął wargi.

- Wybacz za rozczarowanie.

- Nie jest ci przykro.

- Masz rację.

Zwalczyłam chęć tupnięcia nogą.

- A więc rozpoczęłaś ekspresową misję, żeby podziękować jemu i tylko jemu? Czy może ja, rzeczywista osoba, która ci pomogła, zasługuję na jakiś rodzaj wdzięczności?

Powstrzymałam się od kilku przekleństw.

- To nie może działać się naprawdę.

- Ale dzieje. – Nagle Luca ciągnął mnie za ramię dopóki nie staliśmy po drugiej stronie SUVa, schronieni przed widokiem z ulicy i większością okien domu.

- Puść mnie! – warknęłam, strzepując jego rękę. – Jaki masz problem?

- Jaki *masz* problem? Żartujesz sobie?

Cofnęłam się, przylegając do samochodu i nagle miałam przebłysk wspomnienia. *Byłam przyciskana do kamiennego muru.* Potrząsnęłam głową i skończyło się.

- Dlaczego musisz być takim dupkiem?

Luca zmniejszył dzielący nas odstęp o pół stopy.

- Dlaczego upiłeś się do takiego stanu? – odparł zjadliwie. – Nie masz szacunku do własnego bezpieczeństwa?

- Jak śmiesz? – zapytałam gniewnie. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz, więc zamknij się!

- To ja zeskrobywałam cię z chodnika!

- Dla twojej informacji nic nie piłam!

Luca uśmiechnął się kpiąco i gniew, niczym grom z jasnego nieba, wzrósł w moim krwiobiegu. Nim zdążyłabym się powstrzymać, położyłam dłonie na jego klatce piersiowej, popychając go tak mocno, że cofnął się chwiejnie. Rzuciłam się na niego, popychając go jeszcze dalej.

- Zostałam odurzona, palancie!

Przez moment staliśmy naprzeciw siebie związani siłą mojego gniewu i dźwiękiem naszych ciężkich oddechów. Potem – z przesadną powolnością – złapał mnie za ramiona i odsunął z łatwością od siebie.

Próbowałam skoncentrować się na oddechu, żeby wziąć się w garść, ale dyszałam głośno.

- Rozumiem – powiedział w końcu. – Nie wiedziałem.

Wzruszyłam ramionami bez zapału.

- Chyba powinnam była być ostrożniejsza.

Zmarszczył nos w obrzydzeniu.

- A on powinien był okazać większy szacunek, nieważne, w jakim byłeś stanie.

Poczułam formującą się w gardle gulę, ale panowałam nad nią od dwóch ostatnich dni i nie zamierzałam teraz poddawać się łzom, szczególnie przed Luca.

- Niczego nie pamiętam – powiedziałam, zaciskając zęby i patrząc na kawałek trawy za nim. – Nadal staram sobie przypomnieć.

- Nie rób tego. – Luca schował ręce w kieszeniach spodni. – Niektóre wspomnienia bolą, kiedy wracają.

- Twierdzisz, że zaboli mnie świadomość, co zrobił Robbie?

Potrząsnął głową.

- Nie zrobił ci krzywdy, okej? To tylko skretyniały pijany facet, który próbował szczęścia z ładną dziewczyną.

Wytrzeszczałam oczy na ten niezamierzony komplement.

- Komentowałem tylko tego faceta – ciągnął szybko Luca. – Był głupi, dobra? Nie powinien był próbować cię wykorzystać.

- G-gdzie to było? Gdzie byliśmy? – Nie wyobrażałam sobie, że rozmowa o tej nocy będzie taka trudna – i zdecydowanie nie sądziłam, że będę o niej rozmawiać z okropnym Lucą Priestly – ale musiałam wiedzieć.

- Parę przecnic stąd. Zobaczyłem cię z nim jakiś czas przed... - Urwał nagle i zmienił kierunek zdania. – Nie spodobał mi się, więc zawróciłem, żeby upewnić się, że nie robi czegoś, czego nie powinien. A kiedy was znalazłem widziałem, że byłeś ledwo przytomna, więc postanowiłem zainterweniować.

- Co się z nim stało?

- Nie pamiętasz?

- Nie.

- Poprosiłem go, żeby sobie poszedł i to zrobił – odparł zwyczajnie Luca. – Był bardzo uprzejmy.

- A więc tak po prostu odszedł w środku nocy i zostawił mnie z tobą... osobą, którą ledwie zna?

Przyglądałam się uważnie Luce, czekając aż rozwinię wyjaśnienie. Słońce sprawiało, że jego niebieskie oczy lśniły, tak że prawie wydawał się przyjazny, ale nie było nic przyjaznego w jego głosie, kiedy mi odpowiedział.

- Kiedy o coś kogoś proszę, zwykle nie muszę się powtarzać.

- To prawie brzmi jak groźba.

Luca wyrzucił oczami i wzruszył ramionami.

- Wiesz, kto cię odurzył?

- Nie.

- Byłbym tym zainteresowany, gdyby informacja wyszła na światło dzienne.

- Czemu? – zapytałam, czując niepokój.

- Pytasz, czemu chcę poznać tożsamość kogoś, kto uważa, że wolno zatruwać drinki dziewczyn na sąsiedzkich imprezach? – Brakowało tylko, żeby dodał na końcu *duh*.

- Nie rozumiem, jaka to byłaby dla ciebie różnica – powiedziałam szczerze.

- Nie – rzekł. – Nie zrozumielibyś.

Znowu wyczuwałam w nim wrogość, czułam tę samą gęsią skórę, co w wieczór, kiedy rozkazał Nicowi mnie zostawić i nie potrafiłam tego znieść. Był strasznie irytujący.

- Co takiego powiedziałaś swojemu bratu, że odwrócił się ode mnie?

Pokręcił głową.

- Nie będę o tym rozmawiał.

- Zasluguję na wyjaśnienie.

- Powinnaś już iść. Sądzę, że zrobiłem dla ciebie wystarczająco, Gracewell – odpowiedział spokojnie. – Nie jestem zainteresowany, żeby pomóc ci odjechać w stronę zachodu słońca z moim bratem.

Gracewell? Więc teraz nie zasługiwałam nawet na imię?

- Co zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzisz?

Znowu przewrócił oczami.

- Nie nienawidzę cię. *Nic* do ciebie nie czuję.

Jego riposta zabolęła bardziej niżbym się spodziewała.

- Jesteś paskudny, wiesz o tym?

To go nie wzruszyło.

- I arogancki – mruknęłam. – I zarozumiały.

- Skończyłaś już? – W jednej chwili przyszpilił mnie pomiędzy ramionami do SUVa. – Wyjaśnijmy sobie jedno, dobrze? – W jego oczach lśniło okrucieństwo. – To ostatni raz, kiedy chcę cię widzieć w pobliżu tego domu, rozumiesz? Gdy wracasz po pracy do domu, przechodź na drugą stronę ulicy. Nie zaglądać do środka. Nie zbliżaj się w tym kierunku. Nawet nie *oddychaj* w tę stronę. Powiedziałem już, że się nie powtarzam. Jeżeli znowu zobaczę cię w pobliżu Nico, nawet jeśli będziesz się tylko witać albo ganiać za nim jak

zagubiony szczeniak, to przyjdę po ciebie, po tę twoją wygadaną brytyjską przyjaciółkę i twoją mamę, i uwierz mi, że to ci się nie spodoba. Rozumiesz mnie?

Poczułam, jak moja twarz układa się w przerażeniu. Teraz to widziałam. Nareszcie widziałam niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegali mnie Jack i pani Bailey. Nie wspominając o nastawieniu, które musiało wcześniej umieścić krew na koszuli Luki. Może od samego początku mój paranoidalny wujek i stara intrygantka mieli rację, co do tej rodziny – a przynajmniej zdecydowanie do Luki. Pragnęłam powiedzieć coś wyzywającego i dowcipnego, ale patrzył na mnie, jakby zamierzał mnie pożreć, więc zamiast tego przytaknęłam jak zombie.

- Od tej chwili nasze drogi się rozchodzą. *Capisce?*

- Nie możesz odzywać się tak do ludzi. – Mój głos drżał ze strachu i gniewu.

Oderwał ręce od samochodu i ponownie się ode mnie odsunął.

- Czy zrozumiałaś wszystko, co właśnie powiedziałem, Gracewell?

Objęłam się ramionami i przytaknęłam.

- Wszystko jasne?

- Jak słońce.

- Boisz się mnie? – Przekrzywił głowę na bok.

- Tak – odparłam słabo. – Jesteś z siebie dumny?

Przyglądał mi się dłuższą chwilę.

- Nie, nie jestem – powiedział tak cicho, że musiałam wyteńczyć słuch, by go usłyszeć. Potem odwrócił się ode mnie i skierował się z powrotem do domu.

- Czekaaj! – zawołałam, kiedy racjonalna część mnie wrzasnęła w proteście.

Luca odwrócił się powoli.

- Stawiasz na swoim, żeby trzymać swojego brata z dala ode mnie, a potem zawozisz mnie do szpitala, by upewnić się, że nic mi nie jest. I nie mówisz pielęgniarce, kim jesteś na wypadek, gdybym wzięła cię za *pół-pryzwoitego* faceta. Nie rozumiem.

- Nie musisz rozumieć, tylko się z tym pogodzić.

- Więc dlaczego kłopotales się ze *zeskrobywaniem* mnie z *chodnika*? Co cię obchodzi czy zostałam odurzona, czy nie? – Pytanie zawisło w dzielącej nas przestrzeni. Zamrugał dwa razy i jego usta ułożyły się w literkę O. Przez jedną chwilę wyglądał młodo i niewinnie, jak swój brat bliźniak.

- Żartujesz? – Był oniemiały. – Nie jestem potworem.

- Prawie mnie nabrałeś.

Ścisnął grzbiet nosa i wciągnął powietrze jakby zamierzał coś powiedzieć. Ale zamiast tego potrząsnął głową.

- Idź już, Gracewell.

- Ja mam imię, wiesz!

Roześmiał się, spoglądając w niebo niczym wariat, którym naprawdę był.

- Sophie. S-O-P-H-I-E.

On śmiał się dalej, ale kiedy opuścił wzrok na mnie jego głos był całkowicie bezbarwny.

- Jesteś tego pewna?

Zbladłam.

- Co masz na myśli?

- Wiesz, co mam na myśli.

Nim zdążyłabym przetworzyć narastający alarm w moim brzuchu, znowu przemówił. Tym razem jego głos był niepokojąco cichy.

- Nie pojmujesz? Jesteś *Gracewell*. Zawsze będziesz dla nas tylko tym.

- Jakie to ma dla *was* znaczenie, że jestem Gracewell? – zażądałam.

Przez nieskończenie długą chwilę przyglądał mi się w zamyśleniu. Gdy w końcu ustąpił, to po zdecydowanym odetchnięciu, jakby podjął jakąś wewnętrzną decyzję. Przeszedł przez długość podjazdu i dotarł do mnie w czterech krokach.

- Naprawdę nie masz pojęcia dlaczego nie jesteś tutaj mile widziana? – wysyczał. – Poważnie jesteś taką ignorantką?

Przełknęłam ślinę, czując nagłą suchość w gardle.

- O czym mówisz?

Luca zmarszczył czoło. Nie zrozumiałam jego pytania, a on nie zrozumiał mojej odpowiedzi.

- *Cazzo*. – Patrzył na mnie z niemal brutalnym skonsternowaniem – ten wyraz robił wgłębienie w jego policzkach, uszczuplając je. – Nie będę się tym zajmował.

- Chcę odpowiedzi! – zaprotestowałam.

- Nie dostaniesz ich tutaj.

- To gdzie? – zapytałam na poły błagajaco, słysząc rozdrażnienie wlewające mi się do głosu.

Luca poruszał mięśniami szczęki, a jakikolwiek strzęp cierpliwości, który miał do naszej rozmowy szybko malał.

- Idź zapytać swojego ojca, Gracewell. Pewnie jesteś mu winna wizytę.

Po moim kręgosłupie spłynęło znajome uczucie strachu. *Mój ojciec*. Wszystko zawsze sprowadzało się do mojego ojca. Oczywiście, że ta sytuacja miała coś z nim wspólnego – nigdy nie zdystansuję się od tego, co zrobił. Ludzie nigdy mi tego nie zapomną. Ale w słowach Luki było coś więcej, coś głębszego, coś co skręcało mi żołądek. Co mój ojciec zrobił rodzinie Priestly? Przed zaarrestowaniem nigdy nie wystąpił z szeregu. Przynajmniej z tego, co wiedziałam.

Luca nie zamierzał czekać, aż się domyślę. Raz jeszcze odwrócił się ode mnie, wpadł do domu i trzasnął ogłuszająco drzwiami.

Czując silne pieczenie policzków, podniosłam wzrok i dostrzegłam Valentino w tym samym miejscu, co tamtej pierwszej nocy. Stał całkowicie nieruchomo, opierając łokcie na parapecie, kiedy patrzył z góry na mnie... na wszystko, co właśnie się wydarzyło. Jego twarz była poważna. Czy on również mnie nienawidził? Czy uważał, że zachowanie jego bliźniaka było odpowiednie?

Uniósł rękę jakby w salucie. Odmachałam ręką równie ciężką, co serce i uśmiechnął się do mnie. To był mały moment życzliwości – miękkie wygięcie warg, nic więcej.

Potem zniknął, a ja zostałam sama ze świadomością, że jeśli naprawdę chciałam otrzymać odpowiedzi to musiałabym poszukać ich w miejscu, którego unikałam.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

WSPOMNIENIE

Następnego dnia zadzwoniłam do pracy, że jestem chora i pojechałam autobusem odwiedzić mojego ojca w Więzieniu Stateville w Cedar Hill. Nie powiedziałam o tym matce – stresowała się od incydentu na imprezie Millie i stwierdziłam, że uwięzienie ojca było ostatnim, o czym powinnam mówić. Poza tym wybierałam się tam po odpowiedzi na problem, o którym zdawała się nic nie wiedzieć i, jeżeli był tak zły jak się tego spodziewałam, to chciałam, by tak pozostało.

Ośrodek więzienny obejmował kilka betonowych bloków i jeden okrągły budynek - wszystko ogrodzone dziesięcioma wieżami strażniczymi i murami. Za tymi murami więzienie okalało ponad dwa tysiące akrów jałowej ziemi zapewniając, że wszystko tutaj nie było ani trochę podobne do czegoś, co kiedyś przypominało normalne życie dla jego niemal czterech tysięcy więźniów, z których jednym z nich był mój ojciec.

To była moja szósta wizyta odkąd trafił za kraty prawie półtora roku temu i każdy następny raz był cięższy od poprzedniego. Starłam się nie rozmyślać nad faktem, iż nadal miałam przed sobą cztery lata odwiedzin.

Po okazaniu identyfikatora i przejściu przez kontrolę bezpieczeństwa spotkałam się z ojcem w pokoju widzeń. Wokoło inni więźniowie siedzieli na metalowych stołkach przy białych stołach ze swoimi rodzinami; malutkie dzieci wymieszane z krępyimi dziadkami i gotyckimi nastolatkami. Strażnicy więzienni obstawiali ściany, szukając zwężonymi oczami zakazanych uścisków czy jakiegokolwiek innej wymiany nad lub pod stołem.

Ojciec był bledszy niż oczekiwałam i miał pod oczami nowe ciemne półksiężyce. Wiedziałam, że mogło być o wiele gorzej. Skoro mój ojciec nie miał powiązań z gangiem był teoretycznie – w więziennym języku – „neutronem”, co znaczyło, że brutalni więźniowie przeważnie zostawiali go w spokoju. Jednakże nie mógł uniknąć skutków mizernego jedzenia i ograniczonej gimnastyki. Tracił wagę i sen.

- Jak się masz? – Zaczęłam przygryzać paznokiec małego palca – nerwowy nawyk, który zwykle powracał w jego towarzystwie.

Ojciec zatrząsnął przydługimi, siwymi włosami tak, że opadły mu na czoło i ukryły wyblakłe siniaki nad okiem – tylko *przeważnie* zostawiali go w spokoju.

- Radzę sobie, Soph. – Próbował się uśmiechnąć, ale wyszło krzywo i poźółkle. – Bardzo dobrze jest cię zobaczyć.

Uczyniłam wszystko w swojej mocy, żeby nie rozpaść się na tym zimnym metalowym siedzeniu. Jakim cudem mój ojciec wylądował w takim miejscu? Był cieniem człowieka, który wychował mnie na czarujących bajkach, awanturniczych filmach przygodowych i odległych pieszych wycieczkach. Najgorsze, co kiedykolwiek zrobił to nakrzyczał na mnie, kiedy stracił temperament, zapomniał pozmywać naczyń albo od czasu do czasu siedział do późna poza domem z wujkiem Jackiem. Nie miał tutaj miejsca z mordercami. Nawet jeśli zabił człowieka.

- Tato, nie wyglądasz za dobrze.

- Nie dostajemy tutaj dużo owoców i warzyw – droczył się, ale radość nie sięgała jego oczu. Pochylił się do przodu i chwycił moją dłoń; czułam na sobie jego szorstką, stwardniałą skórę. – Spóźnionego wszystkiego najlepszego, Soph.

- Żadnego kontaktu przez stół! – krzyknął pobliski strażnik. Oparłam się pokusie, żeby walnąć głową o stół, kiedy zabraliśmy ręce. Wpatrzyłam się w moje paznokcie.

- Dzięki, tato.

- Jak tam w domu? – Jego oczy roziskrzyły się zainteresowaniem, rozjaśniając mu twarz i odwracając moją uwagę od nowych zmarszczek wokół jego ust.

- Nudno jak zwykle – skłamałam, celowo pomijając część o tym, że zostałam odurzona na imprezie Millie. Wiedziałam, że niedługo usłyszysz o tym od Jacka albo mamy, ale na pewno nie ode mnie.

- Wczoraj zacząłem nową książkę... - zaczął.

Słuchałam, kiedy opowiadał mi o wszystkich przeczytanych książkach. Kiedy skończył, poruszyłam parę z moich własnych bezpiecznych tematów w tym to jak mama zyskała nowych klientów w Lincoln Park oraz niedawny postrzelony zamiar Millie, żeby pozwiedzać greckie wyspy po liceum. Porozmawialiśmy o cotygodniowych wizytach pani Bailey i krótko pomówiliśmy o szybko zbliżającym się ostatnim roku szkoły. Ojciec uśmiechał się i dopowiadał parę słów we wszystkich właściwych chwilach, dopóki rozmowa nie dobiegła naturalnie końca. Chociaż chciałam podjąć mniej groźne tematy wiedziałam, że muszę uporządkować w kolejności ważności moje prawdziwe zamiary, ponieważ wizyta wkrótce się zakończy. Jak do tej pory nawet nie musnęłam powierzchni prawdziwego powodu, dla którego przyszłam się z nim zobaczyć.

- Tato – wtrąciłam nim zdążyłby rozpocząć kolejną spokojną rozmowę. – Mam pytanie.

Rozbudził się i przyjrzał mi się poważnie. Uwielbiałam to w nim – zawsze traktował mnie jak osobę dorosłą godną szacunku nawet, kiedy byłam małym dzieckiem. Wiedziałam, że to znaczyło, iż odpowie mi najlepiej jak będzie umiał.

- Co jest, Soph?

Postanowiłam rzucić się na główkę.

- Pamiętasz, jak ci napisałam, że nowa rodzina wprowadziła się do starego domu Priestlich? Jest ich pięcioro i wszyscy są chłopcami.

Zatrzepotał powiekami, ale zaciskał mocno wargi, czekając aż skończę.

- Cóż, myślę, że możesz ich znać.

- Rozmawiałaś z tą rodziną? – zapytał, pocierając się po zaroście na brodzie. – Czy oni podeszli do ciebie?

- Tak – powiedziałam. – Rozmawiałam z nimi.

Ojciec schował twarz w rękach i westchnął ciężko.

- Jezu – powiedział stłumionym głosem. – Jezu Chryste.

Znowu ogarnęło mnie to okropnie złe przeczucie, szczypiąc mnie w oczy i lepiąc mi się do gardła.

- Tato?

- Sophie – rzekł, ale tym razem głos miał zmęczony i ciężki od rozczarowania. Odkrył twarz, opuszczając ręce na blat z głośnym stukotem. – Myślałem, że wujek Jack kazał ci trzymać się od nich z daleka?

- Skąd o tym wiesz?

- Ponieważ przyszedł się ze mną zobaczyć, kiedy dowiedział się o ich przeprowadzce. I postanowiliśmy...

- Poczekaj – przerwałam. – Co rodzina Priestlich ma wspólnego z naszą rodziną?

Ojciec zamrugał kilka razy, wykrzywiając usta.

- Priestlich? Kim są Priestly?

- To... - urwałam gwałtownie. Wszystkie myśli okręciły się wokół siebie. *Pomyśl.* Kim byli Priestly? Wszyscy po prostu przypuściliśmy powiązanie pomiędzy rodziną Nico, a starym domem. Przecież nigdy nie został wystawiony na sprzedaż, co musiało znaczyć, że został odziedziczony albo przekazany. Nawet mama tego nie kwestionowała. Ale teraz...

- Sophie – powiedział ojciec tak cicho, że musiałam się pochylić. – Nie wiem skąd ci to przyszło do głowy, ale oni zdecydowanie nie są Priestly'ami. To Falconowie.

Równie dobrze mógł mi dać w twarz.

Osunęłam się na krzesło. Jak mogłam być taką idiotką? Taką ignorantką? Luca miał rację, a ja się myliłam. Myliłam się od samego początku. Nigdy nie identyfikowali się jako Priestly – wyciągnęłam to nazwisko ze starej sąsiedzkiej legendy i nie pomyślałam, żeby sprawdzić czy to prawda. Spiorunowała mnie ta świadomość. Śródziemnomorska cera, włoski dialog, herb Sokoła¹. Twarz Nico. *Te przeklęte oczy*. Niespodziewana *nienawiść*.

- Falcone – powtórzyłam, mój głos brzmiał jakby z oddali, kiedy potknęłam się o słowo, które wszystko pozmieniało.

- Tak. – Nastąpiła ciężka cisza, po czym ojciec zapytał delikatnie: - Pamiętasz, kim był Angelo Falcone?

To było boleśnie niepotrzebne pytanie. To imię już na zawsze pozostanie w mojej głowie.

- Oczywiście, że pamiętam. – Oparłam głowę o zimny metalowy stolik. Spoglądałam na zdjęcie Angelo Falcone pięćdziesiąt razy i nadal się nie zorientowałam. Studiowałam jego obraz autorstwa Valentino i nie powiązałam jego twarzy z człowiekiem we wszystkich gazetach, kiedy to się stało. Człowieka z oczami Nico. *O Boże*.

Podniosłam głowę.

- Mężczyzna, którego zabiłeś.

- Racja. – Ojciec położył ręce na kolanach, żebym ich nie widziała, ale wiedziałam, że się wiercił. Gdybym skoncentrowała się dość mocno, ujrzałabym pulsowanie żyłki na jego skroni. Zaczął zaciskać zęby – nawyk, którego nabrał w więzieniu. Przez długą chwilę żadne z nas nic nie powiedziało, ale wzdrygałam się za każdym razem, jak zgrzytał zębami trzonowymi.

Tak długo jak żyję nigdy nie zapomnę tego imienia ani tamtego dnia. Ale nigdy o tym nie pomówiliśmy tak jak należy. Może nadeszła pora.

- To się stało w Walentynki – rzekłam, przerywając milczenie. Tamtego dnia w szkole dostałam laurkę od Willa Ackermana. Wsunął ją do mojej szafki na przerwie razem z numerem telefonu na spodzie. Laurka miała na przodzie pluszowego misia trzymającego wielkie serce a w środku był krótki wierszyk o tym, że podobały mu się moje włosy. To nie była najbardziej imponująca propozycja literacka, ale wtedy mogłabym umrzeć i pójść prosto do nieba. Durzyłam się w nim od nie wiem jak dawna i wszystkie moje koleżanki płonęły z zazdrości.

- Tak – powiedział. – Były Walentynki.

- Trwała burza – kontynuowałam, zatracając się w innym czasie i miejscu. – Bolała mnie głowa, więc wzięłam aspirynę i wcześniej się położyłam. Właśnie zasypiałam, kiedy mama wpadła do pokoju. Płakała i nie rozumiałam, co chciała mi powiedzieć... -

¹ Falcon - sokół

urwałałam. Widziałam, że trudno mu jest tego słuchać. Mnie trudniej było to mówić, ale zamierzałam to zrobić, ponieważ tamtej nocy ktoś stracił życie, a ja dopiero zaczynałam rozumieć prawdziwą powagę tego wydarzenia. Ojciec Nico nie żył. A ja skupiałam się tylko na tym, że mój ojciec został wrzucony za kraty przez błąd, który popełnił ogarnięty strachem podczas ciemnej, burzliwej nocy w restauracji. – Mama powiedziała, że zamykałeś restaurację, kiedy z mroku wybiegł mężczyzna i zaczął do ciebie krzyczeć. Myślałeś, że spróbuje obrobić knajpę, więc wyciągnąłeś pistolet, który dostałeś na święta od Jacka i postrzeliłeś go.

- I zmarł – dokończył.

- Tak – powtórzyłam. – Zmarł.

- I okazało się, że nie był uzbrojony.

Boże. – Prawda.

- I nie miałem pozwolenia na pistolet, którego użyłem.

Robi się jeszcze gorzej.

- Och.

- Nie powinienem był go mieć ze sobą – powiedział sfrustrowany. – Ale było późno i byłem podenerwowany. Twój wujek ostrzegł mnie przed gangami, które panoszyły się wtedy w Cedar Hill i pomyślałem, że potrzebna mi dodatkowa ochrona. Myślałem, że ten człowiek mnie zaatakuje.

- Więc go postrzeliłeś. – Moja mina była nieczytelna. W środku byłam lodowata. – A teraz odsiadujesz wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci, kiedy synowie Angelo Falcone...

- Mieszkają w Cedar Hill obok mojej córki – dokończył, przygryzając wargę, żeby powstrzymać cisnące mu się na usta przekleństwo.

Zaciskałam pięści tak mocno, że wbijałam paznokcie w dłonie.

- I nie pomyślałeś, żeby *podzielić* się ze mną tym *masywnym* skrawkiem informacji?

- Jack i ja nie chcieliśmy, żebyś ty albo matka wpadły w panikę.

Prawie się roześmiałam na absurdalność jego zdania.

- Więc pomyślałeś, że lepiej będzie jak jeden z *synów* Angelo Falcone uzupełni puste miejsce?

- Myślałem, że Jack upewni się, że nie zbliżysz się do nich! – odparował, a jego rosnący gniew zaczynał dopasowywać się do mojego. Jeżeli tak dalej pójdzie, to zostanę poproszona o wyjście.

- Powinniście byli mi powiedzieć – powiedziałam, zniżając głos. – Nie spanikowałabym. Dałabym sobie z tym radę. – *Prawdopodobnie. Może. Ostatecznie.*

- Dobra, a co jeśli nie byłabyś przerażona? – odparł. – Zawsze istniała szansa, że się do nich zbliżysz, że spróbujesz przeprosić albo zadośćuczynić za to, co zrobiłem. Znam cię, Soph. Masz dobre serce. Oczekiwanie czegoś takiego od ciebie nie jest głupotą.

- To wariactwo, tato! – Może nie, ale byłam tak nakręcona, iż nie zamierzałam brać pod uwagę szansy, że mógł mieć rację. – A co z tym, żeby oni trzymali się z daleka ode mnie? – syknęłam. – Przyszli do restauracji tuż po tym, jak się wprowadzili! Mniej tajemnicze ostrzeżenie byłoby miłe. Myślałam, że Jack po prostu świruje!

Ojciec pokręcił głową i westchnął z pokonanym wyrazem twarzy.

- Może powinniśmy byli podejść do tego w inny sposób – przyznał.

- Tak – powiedziałam. – Zdecydowanie.

Obserwował mnie przez chwilę w milczeniu. Jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe, dopóki nie zdominowały jego mizernej twarzy; ledwo było w nich widać błękit, tylko burzliwą szarość.

- Sophie, skoro znasz już prawdę, proszę cię, trzymaj się z dala od Falconów, tak jak nakazał ci Jack. Trudno przewidzieć jak głęboko sięga ich uraza wobec mnie ani dlaczego wrócili do Cedar Hill.

- Okej – wydusiłam tylko. Byłam zbyt zmęczona, żeby dalej się kłócić. A poza tym przecież Falconowie nie domagali się mojego czasu.

- To niebezpieczna rodzina żyjąca własnym prawem – kontynuował, wstrzymując na chwilę oddech.

- Co to ma znaczyć? – Niejasno pamiętałam coś z okresu, kiedy to się stało – Angelo Falcone nie był wzorowym obywatelem, ale przydałoby mi się odświeżenie wiedzy biorąc pod uwagę, iż celowo unikałam jakiegokolwiek dogłębnego czytadła o ofierze mojego ojca.

- Znaczy, że nie podoba mi się to wszystko – powiedział i teraz jego wyraz twarzy okazywał czystą panikę. Panikę, którą próbował przede mną ukryć. – Nie podoba mi się, że są w pobliżu mojej córki i nie mogę nic z tym zrobić.

Już zrobiłeś wystarczająco, część mnie chciała powiedzieć, ale nie potrafiłam być okrutna.

- To tylko chłopcy – powiedziałam. – Są w tym samym wieku, co ja.

- Pięć minut! – zawołał krępy strażnik stojący trzy stoliki dalej.

Ojciec zaczął wykręcać ręce.

- Możesz się do nich nie zbliżać? Uważaj na siebie, proszę. Porozmawiam o tym z Jackiem.

- To tylko chłopcy – powtórzyłam.

Zamknęłam oczy i spróbowałam się uspokoić.

- Oto, co robi z tobą więzienie. – Kiedy znowu je otworzył jego twarz wciąż była zaznaczona troską.

Skinęłam głową, udając zrozumienie.

- Myślisz, że po coś wrócili?

- Nie wiem – powiedział cicho. – Szczerze nie wiem.

Nie wiadomo skąd przypomniał mi się słoik miodu w czarnej kokardzie. Odepchnęłam to wspomnienie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

STWÓRCA ANIOŁÓW

Jak wróciłam do domu powiedziałam mamie, że idę do łóżka, bo boli mnie głowa. Walcząc z chęcią żeby zignorować wszystko i zmusić się do snu, wyciągnęłam starego laptopa ojca i wstukałam w Google „Angelo Falcone, Chicago”. Znalazłam artykuł *Chicago Sun-Times* sprzed dwóch luty, kliknęłam w niego i nagle tonęłam w morzu mdłości i niedowierzenia.

NIESŁAWNE AMERYKAŃSKIE RODZINY UCZESTNICZĄ W POGRZEBIE GANGSTERA ANGELO „STWÓRCY ANIOŁÓW” FALCONE’A

Pogrzeb osławionego gangstera Don Angelo Falcone’a miał miejsce we wtorek osiemnastego lutego w Katedrze Imienia Pańskiego w Chicago. Falcone, który był nazywany „stwórcą aniołów” dzięki swojej domniemanej pozycji wyborowego zawodowego zabójcy w mafii został zastrzelony czternastego lutego o jedenastej w nocy.

Falcone znajdował się przed lokalną knajpą „U Gracewellów” na przedmieściach Chicago w Cedar Hill, kiedy wmieszał się w sprzeczkę z właścicielem placówki. Nieuzbrojony Falcone został postrzelony dwa razy w klatkę piersiową. Zmarł na miejscu. Michael Gracewell, właściciel restauracji, pozostaje w areszcie i czeka na proces. Pomimo stanowiska Falcone’a jako mafijnego bossa policja nie podejrzewa, żeby w jego śmierci miał udział świat przestępczy.

Angelo Falcone był doskonale znany policji odkąd wszedł w panowanie kryminalnej rodziny Falconów w połowie lat dziewięćdziesiątych. Pomimo kilkukrotnych aresztowań udawało mu się unikać więzienia, kiedy świadkowie koronni albo znikali, albo wycofywali swoje zeznania przed procesem. Uważa się, iż jest odpowiedzialny za niedawne brutalne morderstwa dwóch kluczowych członków gangu Złoty Trójkąt, niesławnego kartelu narkotykowego umiejscowionego na środkowym zachodzie.

We wtorek, pośród tłumów na zewnątrz Katedry Imienia Pańskiego byli widziani funkcjonariusze policji w cywilu oraz agenci FBI. Chociaż nie spodziewano się problemów ze względu na tradycję pogrzebową podzielaną przez mafijne rodziny, wzięli w nim udział stróże prawa, żeby ustalić, kto może zastąpić Angelo Falcone’a na czele mafijnej dynastii Falconów. W czasie śmierci Falcone’a tożsamość zastępcy była nieznaną.

Policja sądzi, że teraz może go zastąpić młodszy brat Angelo Felice Falcone. W geście, który wydawał się poprzeć to twierdzenie, Felice Falcone (na zdjęciu powyżej) porozmawiał krótko z reporterami, podczas gdy pozostali żałobnicy milczeli po mszy.

Słowa przypuszczanego obecnego bossa rodziny Falcone na temat zmarłego: „Angelo był prawdziwym bożym żołnierzem. Nie mamy żadnych wątpliwości, że zostanie nagrodzony w raju za doskonałą robotę, którą wykonał tu na ziemi. Kieruje się do Naszego Zbawiciela z honorem i godnością, czystą duszą oraz szlachetnym sercem. Będziemy za nim bardzo tęsknić, ale nigdy go nie zapomnimy.”

„Stwórca aniołów” został pochowany w czarnej trumnie z marmuru w rodzinnym mauzoleum na cmentarzu Graceland.

Pozostawił żonę – córkę rywalizującego klanu mafijnego Genovese – Elenę Genovese-Falcone i pięcioro synów: Valentino, Gianlucę, Giorgino, Dominico i Nicoliego (na zdjęciu poniżej).

Wpatrywałam się nieruchomo w ostatnie zdjęcie. Na pierwszym planie był Nico: troszkę młodszy, ubrany w garnitur Nico z zaszklonymi oczami. Miał krótsze włosy, brakowało zabłąkanych, skręcających się pasemek, które opadały mu na czoło. Był mniej umięśniony, przez co policzki wydawały się niemal wychudzone i zaciskał wargi w twardą linię. Podpierał na lewym ramieniu przód trumny ojca.

Luca podtrzymywał drugą stronę trumny z tym samym skoncentrowanym wyrazem twarzy, jego oczy miały udręczony kolor błękitu. Gino i Dom stali po bokach za nimi, ich twarz zapadały się w rozpacz. Na tyłach rozpoznałam wysokiego, łysego mężczyznę z restauracji i charakterystycznego Felicego, który miał ciemnoszary szal i równie ponurą minę. Valentino czekał u podnóża katedralnych schodów z pustymi oczami i pustą twarzą. Jego matka – wysoka, ciemnowłosa kobieta z portretu – stała przy nim, czarny welon zakrywał większość jej twarzy. Zaciskała mocno dłoń na zgarbionym barku Valentino, który patrzył jak jego bracia odnoszą ojca.

Przycisnęłam rękę do ust, żeby powstrzymać wymioty. Musiałam sobie tyle przyswoić, ale wszystko zaatakowało mnie jednocześnie niczym pociski rzeczywistości. Mój ojciec zabił człowieka w tej trumnie; owdowiał tę płaczącą kobietę; i odebrał na zawsze ojca Nicowi.

Ale ojciec Nico był zabójcą – osławionym gangsterem, *stworcą aniołów* – którego dziedzictwo wisiało nad jego rodziną niczym czarna chmura. A teraz Felice miał władzę, cokolwiek to znaczyło i nagle nie wydawał się nieszkodliwy czy dziwaczny, tylko przerażający.

Moje myśli zaczęły wirować i nim zorientowałam się, co się dzieje biegłam pędem do łazienki. Pozostałam tam dłuższy czas... zawinięta wokół toalety, sapiąc ciężko przy

brutalnych torsjach, jakby to mi miało przypomnieć, że moje pojęcia życia w Cedar Hill zmieniło się na zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

BRZYDKA PRAWDA

Stałam na chodniku, próbując wysunąć stopy spod papki, która je pokrywała. Topiłam się. Sokół zleciał z nieba, robiąc kółka w pobliżu. Zaczął dziobać mnie w oczy, dopóki z moich źrenic nie zaczęła wylewać się krew, oślepiając mnie.

Brzdęk! Zamrugałam i ujrzałam nagle w ciemności mojego ojca skulonego na ziemi i chowającego głowę w rękach. Zawołałam do niego, ale oddalał się ode mnie i im głośniejsze krzyczałam, tym bardziej płonęły mi płuca.

Brzdęk! Obudziłam się spocona i chwytając łapczywie powietrze. Coś odbijało się od mojego zasłoniętego okna. Podniosłam komórkę ze stolika nocnego i rozświetliłam ekran. Była 1:48.

Brzdęk! Wysunęłam się z łóżka i podeszłam do okna. Wysoka, ciemna postać pochyliła się do ziemi i podniosła coś z zarośniętego trawnika. Wzniósł rękę do góry, celując w miejsce, gdzie znajdowała się moja głowa. Zamarł, kiedy zauważył, że stałam tam, gdzie przed chwilą były zasunięte zasłony, po czym upuścił kamyczek.

Otworzyłam okno i powiew ciepłego letniego powietrza buchnął mi w twarz.

- Sophie? – Podeszedł bliżej, uruchamiając czujnik ruchu nad kuchennym oknem.

- Nico? – Zamknęłam oczy i skrzywiłam się, przypominając sobie wszystko naraz. Miałam przebłysk zdjęcia z pogrzebu razem ze słowem „mafia”. Ojciec Nico mordował ludzi, a mój ojciec zamordował jego.

Zastanawiałam się, co dobrego wyjdzie z zejścia do Nico, spojrzenia mu w oczy i dojrzenia w nich bólu. Bólu, za który na pewno musiał mnie nienawidzić.

- Sophie – powtórzył. – Muszę z tobą pomówić.

Przełknęłam z trudem ślinę, mając nadzieję, że nie załamie mi się głos.

- Dobrze... już schodzę.

Zapaliłam światło i znalazłam na podłodze różowy sweter, narzucając go na siebie i zbiegłam na dół. Gdy wyszłam na zewnątrz, Nico stał na ciemnych tyłach ogrodu, czekając na mnie.

Znowu zapaliły się lampy, kiedy skierowałam się do niego. Jego twarz była nieprzenikniona i wbijał we mnie wzrok.

- Cześć – powiedziałam, podchodząc do niego. Otuliłam się ramionami w oczekiwaniu, kiedy okrył nas mrok.

- Pewnie ciekawi cię, co tutaj robię – powiedział.

- Między innymi. – Nie patrzyłam na niego bezpośrednio. Było we mnie zbyt wiele poczucia winy i gdybym spojrzała mu w oczy wiedziałam, że wylałby się ze mnie żal.

- Musiałem się upewnić, że wszystko u ciebie dobrze. Luca powiedział mi, co się stało... - Urwał, po czym przeklął pod nosem. – I nie chciałem zostawić tak tej sprawy, nie tak jak zrobił to mój brat. Nie powinien był mówić ci takich rzeczy, Sophie.

Przygryzałam wargę, aż zaczęła piec.

- Nie wiem, co jeszcze można powiedzieć.

- Możesz przynajmniej na mnie spojrzeć? – Przynął się do przodu tak, że patrzyłam na jego stopy.

Potrząsnęłam głową, nie odrywając oczu od trawy. Kotłowało się we mnie zbyt wiele emocji. Musiałam trzymać się w garści, bo inaczej bym się załamała. Musiałam się skoncentrować.

- Sophie, proszę...

- Nie mogę. – Zadrgała mi grdyka. Zamknęłam oczy, żeby zapanować nad łzami, ale czułam jak się wzbierają. Nie miałam już dość determinacji, żeby chować to wszystko w sobie.

- Dlaczego nie? – mruknął.

- Jak mogę na ciebie patrzeć, wiedząc to co już wiem? – Uniosłam brodę i wbiłam wzrok w jego klatkę piersiową.

- Sophie...

- Odwiedziłam dzisiaj mojego tatę – ciągnęłam drżąco. – Wiem, że zabił twojego ojca. Wiem, że to dlatego mnie nienawidzisz.

Nico wyciągnął rękę i wsunął palec wskazujący pod moją brodę, napierając lekko, dopóki nie uniosłam głowy i spojrzałam mu w oczy.

A wtedy tama, która powstrzymywała łzy tak długo, jak sięgałam pamięcią, uległa całkowitemu zniszczeniu. Spłynęły twardo i szybko po moich policzkach, wstrząsając moim ciałem i dyszałam ciężko, chwytając powietrze.

Wszystko, co tłumiłam – pójście za kraty mojego ojca, cierpienie mojej matki, dezercję wujka Jacka, pogardę Falconów do mojej osoby i płonące pragnienie do Nico – stłoczyło się w tych łzach, które zalewały mi twarz i szyję. Osunęłam się na ziemię i

zwinęłam w kulkę, garbiąc się i chowając twarz w rękach, kiedy szlochałam spazmatycznie pierwszy raz od aresztowania ojca, nie zwracając uwagi na nic tylko ból, który nareszcie wyzwalał się z mojego ciała.

W jednej chwili Nico znalazł się obok mnie, przyciągając moje skulone ciało do swojego i obejmując ramionami. Oparł głowę na mojej i wyszeptał:

- Proszę, nie płacz, Sophie. Nie płacz, proszę.

Tulił mnie dłuższy czas, dopóki wściekły szloch nie osłabł do cichych strumyków łez i znowu mogłam normalnie oddychać. Wtedy nakierował moją głowę na swoją pierś i schowałam twarz w jego szyi, wdychając jego zapach.

- Jak mógłbyś mnie nie nienawidzić? – wymamrotałam w jego skórę. – Byłbyś nieludzki, gdybyś nie widział we mnie tego, co zrobił mój ojciec.

Pogładził mnie po włosach, wypowiadając w nie miękkie słowa.

- Nie czuję nic w tym rodzaju, przyrzekam.

- On tego nie chciał, Nico. To był wypadek – wyszlochałam cicho. – On nie skrzywdziłby muchy.

- Wiem – szepnął. – Nie płacz już.

- Przepraszam. – Miałam tak zniekształcony głos, że ledwo zrozumiałam samą siebie.

- Nie musisz przeproszać.

- Tak, muszę. Luca powiedział...

- Spójrz na mnie... Proszę cię.

Uniosłam powoli głowę, która była ociążała i lekka jednocześnie. Otarł wilgoć z moich policzków.

- Posłuchaj mnie, Sophie. Chcę, byś dobrze mnie zrozumiała. Luca nie miał prawa mówić takich rzeczy. To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z nim i dobrze o tym wie. To co się stało z moim ojcem to był wypadek. Już jest po wszystkim.

- Ale nie jest. – Pomyślałam o rysunkach Valentino i wychudłej, zmęczonej twarzy ojca. Nigdy nie będzie po wszystkim.

- Cóż, to nie jest już świeża rana – odparł ostrożnie. – I nie obarczam cię za nic winą. Gdy patrzę na ciebie czuję szczęście. – Po raz kolejny szturchnął palcem mój podbródek. – Nie obchodzi mnie skąd pochodzisz ani z kim jesteś spokrewniona, już tamtej pierwszej nocy, kiedy cię trzymałem wiedziałem, że nie chcę cię wypuszczać. Ale potem ode mnie odskoczyłaś, więc musiałem... - Urwał i uśmiechnął się. – I poczułem pustkę.

- Nie rozumiem – szepnęłam. – Dlaczego Luca by o tym wspominał, jeżeli to nie dlatego mnie unikałeś?

- Ponieważ próbował się ciebie pozbyć – przyznał. – I wiedział, że to zadziała.

- Nic mu nie zrobiłam – zaprotestowałam słabo. – Jak może nienawidzić kogoś, kogo zaledwie zna?

- Wiem, że sytuacja się zmieniła, kiedy Dom mu powiedział, kim jesteś, ale Luca cię nie nienawidzi. Jest po prostu opiekuńczy.

Wywróciłam oczami, które były mokre i opuchnięte od płaczu.

- Przed czym cię ochrania?

- Nie chodzi tylko o mnie. – Nico znowu pogładził mnie po policzku. Przełknęłam ciężko ślinę. Nigdy w życiu nie chciałam zostać tak bardzo pocałowana, a jednak nigdy też nie czułam tak wielkiej desperacji o informacje.

- Czy zawsze robisz, co ci każe? – Usłyszałam w moim głosie rozgoryczenie.

Nico zacisnął wargi; ten gest podkreślił cienie pod kośćmi policzkowymi i wory pod oczami.

- Przeważnie.

- Dlaczego?

Odsunął ręce, splatając je ze sobą.

- To skomplikowane.

- Dlatego nie możesz już ze mną przebywać – naciskałam obserwując jego dłonie i tęskniąc za ich ciepłem. – Bo on tak powiedział?

Nico przybrał żalony wyraz twarzy.

- Mówisz to tak, jakby to było proste.

- A nie jest?

- Nie.

- Nie rozumiem.

Nico pokręcił głową.

- Wiem.

Odsuwając się od niego, żeby nasze ciała już się nie stykały zebrałam się w sobie i przyjrzałam mu się chłodno. Gdy znowu przemówiłam, wypowiedziałam słowa tak

wolno i wyraźnie, jak tylko mogłam, żeby pojął, iż wiedziałam więcej niż uważał i nie musiał mnie przed tym chronić.

- Przypuszczam, że tak jest w mafii.

Następująca cisza była donośna. Nico zareagował, jakbym go uderzyła; jego klatka piersiowa opadała i wznosiła się nierówno, usta drżały niepewnie. Obserwowałam go uważnie z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Co masz na myśli? – zapytał w końcu, ale jego słowa ledwie wydały dźwięk.

Zachowałam opanowany głos.

- Myślę, że wiesz co.

Obejrzał się przez ramię, jakby obawiał się, że ktoś wyskoczy z krzaków. Zwrócił wzrok na ziemię koło mnie. Poruszenie szczęką, a potem...

- Nie wiem.

- Stwórca aniołów. – Oświadczenie, nie pytanie, które sprawiło, że ciepłe letnie powietrze zdawało się chłodniejsze.

Zamrugnął szybko oczami. Spodziewałam się, że to go zaboli i natychmiast tego pożałowałam.

- A więc to prawda? – zapytałam, obawiając się, a jednocześnie potrzebując jego zapewnienia. – Twoja rodzina należy do mafii?

Oderwał długie, cienkie źdźbło trawy i próbował rozedrzeć na pół.

- Nie zaprzeczam.

Poczułam znajomą falę mdłości, ale tym razem słabszą. Pogodziłam się z większością mojego horroru przed pójściem spać i teraz potwierdzenie czegoś, o czym już wiedziałam przypominało bardziej tępe uderzenie w brzuch.

Gdy mu nie odpowiedziałam, chwycił moją dłoń z gwałtowną prędkością, jakby bał się, że stracił mnie w tym jednym cichym momencie. Pozwoliłam mu na to i ciągnęłam ostrożnie.

- Czy Felice każe ci krzywdzić ludzi? Czy odpowiadasz przed nim tak samo, jak przed Luçą?

- Oczywiście, że nie. – Wyglądał na urażonego sugestią i ucieszyłam się. Jeżeli nie odpowiadał przed „bossem” to nie mógł brać udziału w rzeczach, o które oskarżano jego ojca.

- Co dla ciebie i twoich braci – zapytałam – oznacza przynależność do mafii?

Nico zawahał się i widziałam, że próbował sformułować odpowiedź.

- Hańbę.

- I złą sławę? – Przypomniałam sobie artykuł i zadygotałam.

- Tak – odpowiedział zwyczajnie, jakby to nie przeszkadzało mu tak jak mnie. – Od narodzin jesteśmy napiętnowani reputacją naszej rodziny, jesteśmy nazywani na cześć bossów z poprzednich pokoleń i wychowywani z mocnym poczuciem lojalności i honoru... - zamilkł.

- Krzywdzicie ludzi?

Przesunął ręką przez włosy, żeby zawisły mu nad oczami, ukrywając je.

- To nie tak.

- A jak?

Nico objął moje dłonie. – Sophie, jest mnóstwo spraw, o których nie mogę ci powiedzieć. Złożyłem poważną przysięgę, a złamanie jej oznaczałoby naruszenie kodeksu milczenia podtrzymywanego przez każdego członka mojej rodziny. Ale jeśli nie możesz zaufać niczemu innemu, zaufaj temu: jestem dobrą osobą z dobrymi moralami. Moi bracia i ja jesteśmy wierni jak psy. Zostaliśmy wychowani ze świadomością dobra i zła. Chronimy i służymy naszej matce, żeby mogła być szczęśliwa każdego dnia swego życia, opłakujemy śmierć naszego ojca i co niedzielę chodzimy do kościoła, żeby pomodlić się za jego duszę. Chcę bronić moich bliskich i tych, którzy nie potrafią sami się obronić. Ale przede wszystkim chcę uczynić świat lepszym miejscem.

Poczułam przyływ ulgi. Nie wiedziałam, co spodziewałam się usłyszeć, ale to było o wiele lepsze.

- Zostałeś wrodzony w swój styl życia – powiedziałam, jakby mówiąc do siebie – ale to nie znaczy, że do niego należysz. – Nico wziął oddech, jakby zamierzał coś rzec, ale potem się powstrzymał. – Oboje żyjemy w cieniach naszych ojców – dodałam, zdając sobie po raz pierwszy sprawę, że to prawda.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził – powiedział cicho.

- Wiem. – Splotłam z nim palce. Widziałam jak te dłonie zadawały krzywdę Alexowi, widziałam fioletowe siniaki na jego knykciach, ale musiałam wierzyć, że ze mną było inaczej. Przyglądałam się naszym palcom, jego oliwkowej skórze na tle mojej bladości, jego pewnemu i silnemu uściskowi. To wydawało się inne. Wydawało się słuszne.

Przez dłuższy czas nic nie mówiliśmy. Z naszych psychicznych ran zostało zerwanych wiele bandaży i byliśmy wyczerpani emocjonalnie.

- Czy wiesz dlaczego nie mogę z tobą być? – odezwał się w końcu Nico. – Chcę byś wiedziała, że to nie moja decyzja, żeby cię zostawić.

Zaczynałam to rozumieć.

- Kiedy Luca dowiedział się o mojej tożsamości to wszystko zmieniło, prawda?

- Co jest takiego w nazwisku, co? – Nico ogarnął smutek. – To nie jest dobry pomysł, żebyśmy byli razem. Nie po tym, co się stało. Nie chcę przyciągać do ciebie niepotrzebnej uwagi.

- Jestem w niebezpieczeństwie? Ostrzegali mnie przed... - Pomyślałam o wujku i zrozumiałam jego niepokój. Mafijna rodzina wprowadza się ulicę dalej od rodziny odpowiedzialnej za śmierć ich bossa. Nabrałam gwałtownie powietrza.

- Jack cię ostrzegł? – Usłyszałam w głosie Nico słabutki cień niechęci.

- I ojciec.

- Nie jesteś w niebezpieczeństwie. – Silił się na bez troskę, ale do jego głosu wpełzało coś nowego, dodając napięcia. – Ale uważamy, że najlepiej by było, żebyś trzymała się z daleka od nas i niektórych bardziej... stukniętych członków naszej rodziny... przynajmniej na razie.

Nico znowu umilkł. Położył ręce na moich ramionach i zaczął je pocierać. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że mi zimno, dopóki nie poczułam jego ciepłego dotyku.

- Mam się bać? – zapytałam.

- Niczego nie musisz się bać – powiedział cicho.

Uśmiechnęłam się słabo. Bałam się, że go stracę, ale nie mogłam tego powiedzieć. Nie wyszłoby z tego nic dobrego.

Spojrzał przelotnie na moje usta.

- Gdybym wiedział, że tamta noc będzie ostatnią, jak będę mógł cię całować, nie zatrzymałbym się.

Mój uśmiech zadrżał. Dlaczego nie mógł być *kimkolwiek* innym tylko nie Falconem?

- Powinienem już iść – powiedział, jak gdyby przekonywał siebie, a nie mnie. Ale on nie szedł, tylko nachylał się do mnie. Złączyliśmy palce i przysunął mnie bliżej, otaczając ramionami w pasie.

Powoli, jakby zwalczał ochotę, żeby to zrobić, wtulił się we mnie czołem.

- Ale co jeśli... Co jeśli w tej jednej chwili ty nie jesteś Sophie Gracewell, a ja nie jestem Nicoli Falcone... - Urwał i odnalazł wargami moje usta.

Ogarnęło mnie silne pragnienie, kiedy przywarłam do niego ustami. Jego wargi były twarde przy moich, gorące i nieugięte, a kiedy splotły się nasze języki zatraciłam się kompletnie w namiętności jego pocałunku.

O wiele za szybko, w ferworze czegoś tak intensywnego, iż trudno było mi oderwać od niego usta, by odetchnąć, odległy dźwięk dziwnego buczenia przyciągnął nas z powrotem do naszych ziemskich ciał. Odrywając się ode mnie i dysząc ciężko Nico wysunął z kieszeni dzinsów wibrującą komórkę.

Położył rękę nad sercem.

- Valentino – odebrał drżącym głosem. – Jestem w drodze. – Rozłączył się i skupił się z powrotem na mnie, ale zniknęła łagodność w jego oczach i zdałam sobie wstrząsającą sprawę, iż patrzyłam na bardzo inną wersję Nicoliego Falcone'a.

- Musisz iść – stwierdziłam, wciąż łapiąc oddech.

- Przykro mi. – Wziął mnie za rękę. – Sophie, proszę cię, żebyś z nikim o tym nie rozmawiała. Złożyłem przysięgę i moja rodzina nie byłaby zadowolona, że ją złamałem.

- Nikomu nie powiem – odpowiedziałam, nie musząc się nawet zastanawiać. Nadal czułam na wargach ciepło jego pocałunku i mogłabym wtedy obiecać mu wszystko.

Uniósł moją dłoń do ust, muskając ją wargami.

- *Riguardati*, Sophie – mruknął. – Uważaj na siebie.

W krótkiej chwili szaleństwa myślałam, żeby pobiec za nim i przyciągnąć go z powrotem do siebie, ale wtedy przypomniałam sobie ostrzeżenie Luki. Nie chciałam, żeby zbliżał się do Millie albo mojej matki.

Wróciłam na górę i weszłam do łóżka, rozmyślając o tym przelotnym momencie w ogrodzie, kiedy wszystko w moim życiu było oszałamiające i rozkoszne. Dopiero, kiedy osuwałam się w nicość przypomniałam sobie pewne słowa Nico.

„*Jack cię ostrzegł...?*”

Skąd znał imię mojego wujka? Nigdy mu o nim nie mówiłam... *wiedziałam* o tym.

Wtedy zaczęłam sobie przypominać również inne rzeczy, które dopiero teraz nabierały sensu: dziwne pytania Luki za pierwszym razem, kiedy spotkaliśmy się w restauracji; zainteresowanie Doma miejscem pracy Millie i to jak rzucił ją, kiedy wydobył informacje na mój temat; to jak Nico sterczał przed knajpą tamtej nocy, kiedy się włamaliśmy, jego samochód stał zaparkowany w najgłębszych cieniach, jak gdyby czekał na coś albo kogoś.

Nagle miałam okropne przeczucie, że to szczególne coś albo *ktoś* był tą samą osobą, która unikała Cedar Hill od przybycia Falconów – moim wujkiem Jackiem.

Wtedy zorientowałam się, że w historii Falconów-Gracewellów kryło się więcej niż sądziłam. A choć Nico mógł coś do mnie czuć, to te uczucia zdecydowanie nie przeszkadzały mu w umiejętności kłamania i to kłamania mi prosto w oczy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

FILM

Początkowe następstwo nocnego pożegnania z Nico było cięższe niżbym się spodziewała. Jego słowa obróciły mój świat do góry nogami i spowodowały, że kwestionowałam wszystko, co wydawało mi się, iż wiedziałam o mojej rodzinie i sercu. Od czasu do czasu do mojej podświadomości wkradały się przebiegłe wspomnienia jego ciemnych oczu, ułożenia potarganych włosów albo tego jak czasem uśmiechał się bardziej jednym kącikiem ust, a te wbijały mi nóż jeszcze głębiej w brzuch, aż miałam wrażenie, że prawdziwy ból rozedrze mnie na pół.

Staralam się ignorować nieprzyjemne przebłyski, biorąc sobie podwójne zmiany w restauracji, przychodząc wcześniej i zostając do późna, żeby rozliczyć kasę. Mała część mnie miała nadzieję, że może pojawi się Nico, ale w głębi duszy wiedziałam, że do tego nie dojdzie. Wybierałam dłuższą drogę do domu, żeby nie musieć przechodzić obok domu Priestlich – *Falconów* – i nie ryzykować okropnymi uczuciami.

Sprawa z moim wujkiem przeszła od niezwyklej do całkowicie dziwacznej. Zniknął na dobre. Wciąż wydzwaniałam na jego nowy numer, ale nie odbierał. Ciągłe wysyłałam wiadomości, ale odpisał tylko raz i to czterema irytującymi słowami – Nic mi nie jest. Jeszcze więcej kłamstw.

Czułam, że działo się z nim coś złego, ale nie potrafiłam rozgryźć co takiego. Wiedział, że miałam do niego pytania i nie miał zamiaru na nie odpowiadać w żaden sposób. Teraz nie tylko unikał Cedar Hill, ale również mnie, a to wprawiało mnie w coraz większy niepokój. Zaczynałam czuć, że wrzeszczałam do próżni i nie było wokół mnie nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć.

- Naprawdę się z tobą nie skontaktował? – zapytała Millie, jak przechodziłyśmy pod kamiennym łukiem wejścia do Rayfield Park. Dzisiaj był wieczór kina na wolnym powietrzu i przekonała mnie, bym z nią poszła. Chciała, żebym przynajmniej spróbowała zapomnieć na kilka godzin o problemach zanim oszaleję z niepokoju. – To niepodobne do Jacka.

- Wiem. – Jack obiecał mojemu ojcu, że zawsze będzie się mną opiekował i fakt, iż nie odpowiadał na moje próby kontaktu nie był dobrym znakiem. – Coś musi być naprawdę nie tak, skoro unika całego swojego życia – powiedziałam.

Podążałyśmy jedną z krętych kamiennych ścieżek, które otaczały obszar otwartej zieleni ogrodzony nastroszonymi kasztanami. Przed nami szła grupka pryszczatych nastolatków niosących szeroki wybór koców, koszyków piknikowych i składanych krzesłek.

- Co jeśli w rzeczywistości uciekł ze wszystkimi pieniędzmi z restauracji? – zapytała Millie.

- Jakimi pieniędzmi?

Wybuchliśmy śmiechem.

Po tym wszystkim dobrze było odprężyć się z Millie. Choć wiedziała, co mój ojciec zrobił ojcu Nico starałam się nie odczuwać poczucia winy, iż opuściłam pewne szczegóły – *mafijne* szczegóły – tyżące się sytuacji. Obiecałam Nico i nie chciałam być osobą niedotrzymującą obietnic. Poza tym tak było dla Millie lepiej; nie chciałam ryzykować narażeniem jej na niebezpieczeństwo, szczególnie po groźbie Luki.

Millie postukała palcami w brodę.

- No cóż, twój wujek musi brać skądś kasę na te wymyślne garnitury.

- Uwierz mi. Widziałam księgi rachunkowe. Kasa nie bierze się z knajpy.

- Niech to szlag – jęknęła Millie. – A ja wciąż liczyłam na podwyżkę.

Wsunęliśmy się za tłum osób kierujących się łączącą się alejką w kierunku głównego placu parku. Na przedzie Erin Reyes i jej trzy tępe klony flirtowały głośno z grupką facetów ze szkoły. Pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się kpiąco, po czym zarzuciła włosami w swój tradycyjny sposób mówiący „jestem o wiele lepsza od ciebie”. Jej chichot nabrał na sile.

- To musi być sztuczny śmiech.

- A więc pasuje do jej nosa – powiedziała Millie i odciągnęła mnie. Przejechała dłonią po korze pobliskiego dębu, kiedy szliśmy dalej.

- Próbujesz nawiązać więź z naturą? – droczyłam się.

Popchnęła mnie i zboczyłam ze ścieżki na błoto.

- Ej!

- Staram się tylko oderwać twoje myśli od wszystkich zmartwień.

- Prawdziwy z ciebie skarb.

- Dziękuję, Sophie. – Millie wykonała absurdalny ukłon.

W końcu wyszliśmy na plac: obfite pola trawy podzielone przecinającymi się kamiennymi ścieżkami i ogrodzone ze wszystkich stron wysokimi drzewami. Na północnym krańcu został ustawiony olbrzymi ekran.

- Mają w tym roku wóz z taco! – pisnęła Millie, szarpiąc mnie za jedną z lufek dzinsowych szortów. – Usiądźmy gdzieś w pobliżu.

Dziesiątki ludzi relaksowało się już na krzesłach i kocach rozłożonych przed wielkim ekranem. Przyszły rodziny z dziećmi, które biegały wkoło bez opamiętania, podczas gdy inni przybywali w postaci par zszytych ze sobą w biodrach, rękach i łokciach, niosąc wszystko od poduszek i piknikowych koszyków po puszki piwa i butelki wina.

- Wow, ludzie naprawdę muszą uwielbiać Monty'ego Pythona – zauważyłam, jak Millie rozłożyła swój koc w miejscu znajdującym się w jednakowej odległości od ekranu i wozu taco. Wygładziła cztery rogi, upewniając się, że koc leży idealnie prosto.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nigdy go nie widziałas.

Gdy rozłożyłyśmy się wygodnie, opróżniłam zawartość mojej torebki, rozsypując na kocu naszą prowizoryczną ucztę w postaci cukru i czekolady.

Millie dorwała się do paczki kwaśnych gumisiów i wrzuciła sobie do buzi cztery naraz.

- Uwielbiam je – powiedziała z wypchanymi polikami. – Chociaż nie wolno mi ich jeść. – Uśmiechnęła się, odsłaniając maleńkie kawałki galaretki, które przywarły do jej niewidocznego aparatu.

Śmiałam się z niej i czułam się z tym dobrze. Od tamtej nocy, kiedy zadurzyłam się w Nico zdręczałam się pytaniami i pogrążałam w użalaniu nad sobą, co wyrządzało więcej złego niż dobrego. Musiałam zaprzestać zanim doprowadzę się do szaleństwa, myśląc o rzeczach, których nie mogłam zmienić.

Uśmiechnęłam się szeroko, ale zaraz poczułam jak gest słabnie na widok miny Millie.

- Ale myślałam, że wyjechał – wymamrotała nienaturalnie cichym głosem.

- Co? – Podążyłam za jej wzrokiem i spojrzałam zmrużonymi oczami w narastający tłum. – O kim mówisz?

- O Robbiem Stensonie. Jest tutaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

PISTOLET

Przelałam całą koncentrację w tył głupiej okrągłej głowy Robbiego Stensona. Chociaż wciąż nie potrafiłam sobie przypomnieć tamtej nocy czułam złość na sam jego widok. Jak gdyby moja skóra płonęła pod wpływem wspomnień i mózg próbował połapać się w tym, o co chodzi. W moich uszach buczał rehotliwy śmiech Millie. Była rozkosznie wpatrzona w film.

- Dlaczego się nie śmiejesz? – zapytała.

Spojrzałam na ekran, na którym grupka brytyjskich rycerzy głądziła w komicznych francuskich akcentach. *Dziwne*.

- Jestem rozkojarzona.

- Co próbujesz osiągnąć, wpatrując się tak w głowę Robbiego? – Millie wepchnęła sobie ust garść karmelowego popcornu. – Próbujesz go rozsadzić umysłem?

- Nie wiem. – Ściągnęłam rysy twarzy, próbując odnaleźć wspomnienie, które wisiało tuż za granicą mojej podświadomości. – Staram się przypomnieć.

Millie wrzuciła następną garść do buzi i przeżuła w zamyśleniu.

- Przestań – powiedziała, plując na koc sklejoną kukurydzą. – Spróbuj o tym zapomnieć. Jesteś tu, żeby się odprężyć, pamiętasz?

Zrobiłam, co mogłam, by posłuchać jej rady, ale coś dalej było nie tak...

Po niecałej godzinie na ekranie pojawiły się napisy, co sygnalizowało krótką przerwę.

- Taco? – zaproponowałam, chcąc rozprostować nogi.

- Skoro nalegasz – odparła Millie, podpierając się na rękach. – Weź mi dwa, proszę.

Otrzepałam się z okruszków i przeszłam przez trawnik zajmując miejsce na końcu kolejki po taco; zaraz potem byłam wciśnięta pomiędzy dziewczyną z jasnoróżowymi włosami i mężczyzną z nadwagą.

- Otwarto drugą kasę! – wykrzyknął młodzieńczy głos. Masa osób czekająca za mną rozdzieliła się i ustawiła w drugiej kolejce i niespodziewanie stałam prawie ręka w rękę z Robbiem Stensonem.

Zerknął na mnie i szybko odwrócił wzrok, ale przedtem zauważyłam żółciejące siniaki wokół oczodołów i wzdłuż grubej szczęki. Co mu się stało, do diabła?

Zadzwieczała kasa i kolejka ruszyła się do przodu, zabierając mnie ze sobą. Robbie przesunął się po swojej stronie; obracał w ręce czerwonym kubkiem, chlupocząc napojem. Podniósł go do ust i zaczął łapczywie chłeptać zawartość. Im bardziej przyglądałam się kołyszącemu czerwonemu kubkowi, tym większe czułam skupienie.

Wtem wróciła do mnie cała pamięć.

Przypomniałam sobie, jak poszłam do sypialni rodziców Millie i stanęłam twarzą w twarz z Robbiem Stensonem. „*Wylałem na siebie piwo*”... czy nie tak powiedział? Ale trzymał w dłoniach dwa pełne kubki. I powiedział mi, że nic nie pił. Skrzywiłam się, kiedy napłynęło do mnie wspomnienie słodkiego, gazowanego napoju, napominając mi jak ponaglał mnie, żebym się napiła i że zrobiło mi się nieswojo, kiedy przyglądał mi się na łóżku. A potem wszystko w mojej głowie poczerniało. Zorientowałam się, kiedy kasa znów zabręczała – powielając dzwony alarmu w moim mózgu – że Robbie Stenson podał mi środek odurzający tamtej nocy, następnie zorganizował nasz wspólny powrót do domu, żeby móc mnie wykorzystać. Nie było w tym nic niewinnego ani naiwnego.

Co gorsza, byłam przekonana, że gdyby Luca nie zainterweniował w tamtej chwili to sprawa wzrosłaby ze złej do paskudnej.

Kolejka przesunęła się do przodu.

- Ruszać się – zajęczał za mną grubas, ale nie mogłam się ruszyć. Byłam przygwożdżona do ziemi. – No już. – Szturchnął mnie.

Żółć podeszła mi do gardła. Robbie przesunął się w bocznej kolejce, wymachując w ręce pustym czerwonym kubkiem. Stał się wahadłem rzucającym we mnie wybuchowymi wspomnieniami i nim zorientowałam się, co wyprawiam, wypchnęłam go z kolejki.

- Co do licha? – Jego krępa sylwetka zachwiała się w bok. Potknął się i wylądował na trawie, trzymając się za żebra.

- Jak mogłeś? – Znowu rzuciłam się do przodu, ale tym razem był przygotowany. Podniósł się i odsunął ode mnie i od tłumów. Poszłam za nim.

- Jaki masz przeklęty problem? – wypluł pomiędzy zaciśniętych zębów.

- Chciałeś mnie wykorzystać! – syknęłam.

- Wcale nie – odpowiedział tak spokojnie, że mogłabym zważyć we własną pamięć, gdyby nie pulsowała mocno w mojej głowie. – Odprowadzałem cię do domu, kiedy twój chłopak sprzął mnie na kwaśne jabłko bez żadnego powodu. Masz szczęście, że nie złożyłem na niego doniesienia.

Zatem to Luca wyrządził Robbiemu te szkody i wyglądało na to, że wcale się nie powstrzymywał. Ale dziwniejsza od prawdopodobnego statusu Luki jako psychopaty była świadomość, że gdzieś w zakamarkach podświadomości poczułam cień satysfakcji. Robbiemu Stensonowi nie uszła na sucho próba gwałtu na mnie.

- Wiem, że mnie odurzyłeś. – Byłam niejasno świadoma narastającej w środku hysterii. Dzięki Luce Falconowi Robbie być może zapłacił za swój uczynek, ale nie zapłacił za to, co zamierzał uczynić. – Zaplanowałeś wszystko! Pamiętam, co mi dałeś.

Robbie prychnął i jego twarz zapadła się w sobie.

- Czyżby? – Wciąż trzymając się za boki natarł na mnie niczym sęp okrążający swą ofiarę. – Wątpię, że zabrzmiałoby to przekonująco w sądzie.

- A więc przyznajesz się? – odparowałam wściekle.

Wzruszył ramionami i znowu rzuciłam się na niego. Ostry ból przetoczył się przez moje lewe ramię, kiedy wylądowałam na jego klatce piersiowej z głuchym odgłosem. Złapał mnie, wbijając ręce w żebra.

- Przestań! – Wykrzywił twarz z bólu. Zaciśnął mocniej ręce w ostrzeżeniu. – Robisz z siebie idiotkę. Opuść.

Walczyłam w jego uścisku.

- Puszczaj mnie! – wrzasnęłam. Wbiłam paznokcie w jego skórę tak mocno, jak mogłam, dopóki nie ustąpiły.

- Dobra – odparł. – Tylko zejź mi z oczu.

Odskoczyłam od niego, poszerzając dzielącą nas przestrzeń.

- Jesteś chorym świrem! – krzyknęłam, unosząc do niego pięść, kiedy adrenalina przepływała w moich żyłach. – Jak mogłeś mi to zrobić? Komukolwiek!

Uśmiech Robbiego naciągnął posiniaczone policzki.

- Daj spokój. Musisz wiedzieć, że bzyknięcie córki Michaela Gracewella oznacza wielki sukces.

- Miałeś na myśli *zgwałcenie* – warknęłam, okrążając go.

- Nie mów, że będziesz próbowała się ze mną bić? – zapytał szyderczo.

Był najpaskudniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

- Nienawidzę cię.

- Wyluzuj, Sophie. Teraz nawet bym cię nie tknął.

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, jakby to było jakieś nieprzyzwoite słowo, sprawił, że poczułam się fizycznie chora.

- Zapłacisz za to! – Patrzyłam z satysfakcją jak jego twarz blednie. Wytrzeszczał oczy i otulił się mocniej rękami. Ale myliłam się, myśląc, że moje słowa nagle zaczęły go przerażać, ponieważ Robbie już nie patrzył na mnie, tylko ponad moim ramieniem.

Nie wiadomo skąd do naszej rozmowy dołączył trzeci głos. Upiornie spokojny w kontraście z naszą burzliwą wymianą zdań.

- *Ciao*, Robert. Kopę lat. – Mogłabym uznać ten melodyjny ton za znajomy – a nawet przyjazny – gdybym nie była przekonana, że należał do Luki Falcone’a. Patrzyłam, jak Robbie wyrzucił ręce przed siebie i odsunął się, kiedy Luca wyszedł zza mnie jak gdyby właśnie wyrósł z trawy. Jak długo tam stał, przysłuchując się? Odwróciłam się, szukając jego braci, ale był sam. – Przypadkiem usłyszałem waszą rozmowę – powiedział spokojnie. – Mam nadzieję, że się nie narzucam.

- Cholera, nie zbliżaj się do mnie, koleś, bo zadzwonię na policję. – Głos Robbiego osiągnął wyższą oktawę i szybko zniknął kpiący wyraz z jego twarzy.

- Robercie – rzekł Luca. – Myślę, że musisz się uspokoić. Wyglądasz na bardzo spiętego.

- Połamałeś mi żebra!

- Tylko kilka – powiedział lekceważąco Luca.

- Czego chcesz?

Sztucznie przyjazny głos Luki był prawie bardziej przerażający od jego groźnego.

- Chcę tylko o czymś z tobą pomówić, czy to możliwe?

Zrobił kolejny krok do przodu, a Robbie wycofał się chwiejnie.

- Nie znam cię. O czym chciałbyś rozmawiać, do diabła?

- Czy twój tata nie posiada firmy z meblami?

Robbie otworzył szeroko oczy.

- Skąd to wiesz?

Luca podjął następny krok, skracając ich dystans.

- To powszechna wiedza, nieprawdaż?

- Chyba.

- I pracujesz dla niego, tak?

Teraz widziałam tylko tył głowy Luki, kiedy posuwał się do przodu, całkowicie ignorując moją obecność.

- Tak – powiedział Robbie, brzmiąc na odrobinę bardziej pewnego siebie.

- Dobrze. – Luca założył ramiona. – Odłóżmy na chwilkę naszą historię na bok, dobrze? Było minęło i myślę, że powinniśmy o tym zapomnieć. To i tak nie jest moja sprawa.

Robbie pokiwał głową, jak jeden z tych piesków na samochodowych deskach rozdzielczych.

- Wierz lub nie, ale interesuje mnie kupno paru nowych mebli.

- Naprawdę?

- I pomyślałem, żeby zrekompensować nasze niefortunne starcie sprzed paru tygodni... - Luca wycelował palcem w twarz Robbiego, okręcając nim dla dodatkowego efektu. – Pamiętasz?

- T-tak.

- I to? – Wskazał w kierunku jego żeber.

- Oczywiście – syknął Robbie, obejmując się mięsistymi ramionami.

- No to pomyślałem, że na zgodę moglibyśmy zawrzeć jakiś interes. Potrzebuję wielu rzeczy.

Robbie rozluźnił ramiona.

- Nie jestem złym facetem – ciągnął Luca i miałam wrażenie, że się uśmiechał – co było rzadsze niż zaćmienie słońca. – Więc może obgadamy kilka spraw?

- Teraz? – Robbie uniósł brew. – Zaraz zacznie się film. Może zrobimy to, jak będę w pracy?

- Zależy mi na czasie, więc porozmawiajmy teraz. – Luca położył dłoń na karku Robbiego. – Chodź. – Odciągnął go od parku w kierunku drzew. – Pomachaj Gracewell na pożegnanie – zachęcił. – Ona zostanie tutaj.

Wyczułam ostrzeżenie w jego słowach, ale kiedy patrzyłam jak znikają za wozem taco zaczęłam rozważać nieoczekiwany dylemat. *Zaraz zacznie się film*, upomniałam się jednak stopy poprowadziły mnie do drzew, a nie do miejsca, gdzie siedziała na trawie Millie, czekając – bez wątpienia niecierpliwie – na taco, którego nie zamierzałam już jej kupować.

To jak Luca zarzucił rękę na ramiona Robbiego sprawiało, że wyglądali prawie jak koledzy i musiałam przyznać, że było coś niewątpliwie przekonującego w tym jak do

niego przemawiał. Ja, w przeciwieństwie do mojego napastnika, nie byłam na tyle głupia, żeby się na to nabrać. Wiedziałam lepiej od większości, że Luca nie potrzebował przyjaciół. Ani mebli, jeśli o to chodzi. Cokolwiek miało się zdarzyć w tym lesie na pewno nie będzie biznesową transakcją – przynajmniej nie dla Robbiego. Ale jak prawdziwy *idiota* pozwolił się odprowadzić Luce i nie mogłam za nimi *nie* pójść.

Przyspieszając kroku żeby ich nie zgubić, ale trzymając się dość daleko, żeby mnie nie dostrzegli, weszłam za wóz tacy, kiedy za mną rozpoczął się film. Przed sobą widziałam, jak Luca i Robbie znikają pomiędzy dwoma pochyłymi drzewami. Znowu zwolniłam, przechodząc na paluszkach po gałązkach i suchych liściach, podążając za ich głosami.

Po kilkunastu minutach skradania nareszcie dotarła do mnie ich rozmowa z polanki. Zatrzymali się, więc ja również. Stali naprzeciwko siebie pomiędzy przerwą w drzewach; Robbie trzymał dłonie na żebrach, kiedy Luca opuścił swoje swobodnie po bokach.

Podeszłam bliżej.

- Ale myślałem, że chciałeś posłuchać o meblach – protestował Robbie.

- Właśnie sobie przypomniałem – odpowiedział Luca. – Nie potrzebuję żadnych mebli.

- To dlaczego... - Robbie został pozbawiony tchu nim zdążyłby skończyć zdanie.

Patrzyłam w niemym przerażeniu, jak Luca wbił pięść w żołądek Robbiego, powodując, że ten zwinął się na ziemi. Przewrócił się na bok i jęknął w ziemię.

- Jesteśmy tutaj, Robercie, ponieważ słyszałem, co powiedziałaś Sophie. – Głos Luki był przeraźliwie zrównoważony. Nastąpił na stopę Robbiego, ale piach stłumił jego wrzask. – I jeśli jest coś, czego nienawidzę to handlarzy narkotyków. – Natarł na niego, rzucając na niego swój cień i kopnął go mocno w ramię. – *Szczególnie* kogoś, kto odurza *dziewczynę*, a potem próbuje ją *zgwałcić*. – Wycofał stopę i tym razem zamachnął się na brzuch Robbiego. Nastąpiło głośne pęknięcie. Robbie wrzasnął w ziemię, kiedy Luca przewrócił go butem na brzuch. – Sytuacja była wystarczająco kiepska, kiedy myślałem, że tylko się do niej dowalałeś, ale teraz? – Przycisnął stopę do pleców Robbiego tak mocno, że chłopak charczał w grunt i chwasty. – Teraz jesteś najgorszym z najgorszych. *Zwykłą szumowiną*.

Zaczęłam zataczać się do przodu na wpół sparaliżowana strachem, lecz zdeterminowana zrobić *cokolwiek*. Ale moja próba pomocy szlochającej stercie pękniętych żeber była krótkotrwała, jak na polanę wyszła trzecia sylwetka.

- Wstawaj! – ryknął i znieruchomiałam na jego głos.

- Nicoli, kazałem ci się nie wtrącać!

Ale Nico nie słuchał Luki; nawet na niego nie patrzył. Wbijał zniechęcony wzrok w skurczone ciało Robbiego, kiedy zmierzał ku niemu.

- Wstań, Stenson! – krzyknął głosem, którego nie poznawałam; przypominał szkło i był zaostrzony furją, której nigdy nie widziałam. – Wstań i spójrz mi w oczy albo rozpruję ci wnętrzności!

Robbie powoli dźwignął się z ziemi. Udało mu się podeprzeć o drzewo, wczepiając palce w korę i uginając nogi w kolanach. Sapał ciężko, kiedy Luca odsunął się od nich, zaciskając ręce za plecami i przechylając głowę, jakby oglądał przedstawienie lalkowe.

Próbowałam się ruszyć, ale nie mogłam. Moje nogi trzęsły się niekontrolowanie i musiałam przylec do drzewa, żeby nie paść na ziemię pod ogromem przerażenia.

- Powiedziałem *wstawaj* – warknął Nico.

- Nicoli – ostrzegł Luca, ale nie ruszył się. – Bądź ostrożny.

Robbie podciągnął się do góry z jękiem, napinając rysy twarzy.

- Moje żebra – wyszłochał. – Proszę.

Nico złapał go i pchnął na drzewo. Twarz Robbiego zaczynała krwawić. Oplótł dłońmi gardło Robbiego.

- Myślisz, że dotykanie kogoś wbrew jej woli jest w porządku? Jak ci się to podoba? – Zacisnął ręce na grubej szyi Robbiego.

- Nicoli – mruknął Luca. Podszedł bliżej i położył rękę na ramieniu brata jak jakaś przyzwoitka. – *Stai attento*.

- Co to jest? – wybełkotał Robbie, jego twarz zaczynała purpurowieć. – Czy to...

Nastąpiło nagłe poruszenie, w którym rozpoznałam tylko dwie rzeczy. Pierwszą był widok czarnego metalowego przedmiotu przy głowie Robbiego. Drugą był odgłos pstryknięcia.

A potem usłyszałam, jak Nico wyważonym głosem potwierdza wszystko, czego właśnie byłam świadkiem.

- Pistolet, ty pieprzony idioto.

Robbie próbował krzyknąć, ale Nico wsunął lufę do jego ust tak szybko, że pozbawił go tchu.

- Posłuchaj uważnie, kanalio – powiedział wściekle Nico. – To twoje ostatnie ostrzeżenie. Będę cię miał na oku. Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że zajmujesz się handlem narkotyków, jesteś trupem. Jeżeli spróbujesz podać dziewczynie jakikolwiek proszek, czy o to poprosi czy nie, jesteś trupem. Jeżeli jeszcze raz spróbujesz coś na kimś

wymusić, jesteś trupem. I jeśli choćby *zerkniesz* na Sophie Gracewell wyrwę ci serce i wepchnę do twojego jebanego gardła. Rozumiesz?

Robbie przytaknął.

- Być może policja nie ma wystarczająco dowodów, żeby uznać cię za winnego próby gwałtu, ale ja mam. I nie jestem fanem rozpraw sądowych, Stenson. Dlatego radzę wykorzystać to ostateczne ostrzeżenie, jako dar od Boga. Zmień swoje życie. A jeżeli piśniesz o tym słówkiem policji zostaniesz zastrzelony przez jednego z moich braci zanim położysz się do łóżka. *Gwarantuję* ci to. – Nico nachylił się do niego jakby w zwolnionym tempie. – A może zastrzelę cię już teraz i zrobię wszystkim przysługę.

Wysunęłam do przodu galaretowate nogi, zamierzając powstrzymać cokolwiek się miało wydarzyć, ale Luca mnie uprzedził.

- *Basta!* – powiedział, odsuwając dłoń Nico od buzi Robbiego; Nico opuścił rękę, ale nie oddał broni, a Luca go nie zmuszał. Zamiast tego trzymał rękę na ramieniu Nico, żeby nie mógł go znowu unieść. Stałam jak wryta w nowym miejscu na skraju polany, patrząc na ciężko poruszającą się pierś Nico, który wpatrywał się niewzruszony w zrozpaczoną twarz Robbiego.

Nico nareszcie wysunął ramię spod ręki Luki, pstryknął blokadę pistoletu i schował za pasek dzinsów. Ten gest wyglądał jakby był jego drugą naturą i zaczęłam się zastanawiać czy miał ze sobą pistolet ostatnim razem, kiedy trzymał mnie w ramionach. Potrząsnął głową i odsunął się o krok, przyciskając rękę do klatki piersiowej i odwrócił się od Robbiego.

- Luca, pozbądź się go zanim zmienię zdanie.

Luca wystąpił do przodu i klepnął Robbiego po policzku w dziwacznym okazie koleżeństwa.

- Wszystko dotarło, Robercie?

Robbie zaczął ocierać łzy z twarzy.

- O-o-obeccuję – wydukał.

- Dobrze. – Luca podniósł ramię i wskazał przestrzeń za Robbiem, gdzie ciągnęła się reszta wielkiego parku.

- A teraz uciekaj, jakby zależało od tego twoje życie. Bo tak jest.

Tak właśnie zrobił Robbie. Nie czekając ani chwili dłużej rzucił się do przodu i pędził niezdarnie pomiędzy drzewami, dopóki nie stał się jedynie utykającą kropką w mroku. Gdy odgłosy jego nierównych kroków ustały całkowicie, Luca oderwał wzrok od przestrzeni między drzewami i spojrzał na Nico.

- Kazałem ci się nie wtrącać. – Brzmiał bardziej na znużonego niż rozgniewanego, tak jakby przywykł do takiego zachowania.

- Mówiłeś, że próbowałeś ją wykorzystać, ale nie powiedziałaś, że ją *odurzył!*

- Wtedy tego nie wiedziałem. I nie powinienem był podsłuchiwać.

- Nie powinienem był oczekiwać, że się nie wtrączę.

- *Sei un pazzo, Nicoli.*

- To co innego.

- Zawsze tak mówisz.

- Bo *jest* inaczej.

- Ona nie jest twoja.

- Jest moja do chronienia.

- *Zabiłbyś go* – syknął Luca.

- Zasłużył – odpowiedział Nico spokojnie... prawie beztróska.

- Co się stało z niewychylaniem się? Mogłeś wszystko zniszczyć. I powiedziałem ci, że to nie twoje zmartwienie.

- *Ona jest moim cholernym zmartwieniem!*

- Teraz i tak nie będzie chciała mieć z tobą nic wspólnego – ciągnął Luca z nagłą obojętnością w głosie.

Nico podniósł gwałtownie głowę; oczy miał rozgorączkowane.

- Dlaczego nie?

Poczułam, jak serce zaciska mi się w agonii, kiedy zdałam sobie sprawę, co zaraz zajdzie; i było za późno, nie mogłam tego zatrzymać.

Luca podniósł ramię i wskazał na drugą stronę polany.

- Ponieważ tam stoi.

Nico podążył wzrokiem za palcem Luki, dopóki nie odnalazł moich oczu i, tak jak w noc, kiedy odkrył moje nazwisko, na jego twarzy pojawiło się przerażenie, jak staliśmy naprzeciw siebie, oboje załamani z dwóch innych powodów.

- Sophie... - szepnął, ale było za późno.

Nie potrafiłam nic powiedzieć. Nie mogłam nawet otworzyć ust, bo byłam tak zatrwożona. Zaczęłam się wycofywać.

Zrobił chwiejny krok do przodu.

- Zostaw ją – przestrzegł Luca. – Jest przerażona.

Zlałam się z cieniami rzucanymi przez drzewa. Moje wycofanie zamieniło się w lekkomyślną ucieczkę. Pędziłam przez park w stronę migoczącego ekranu. Gdy przestąpiłam przez obrzeża lasu, ominęłam sprintem wóz taco, gdzie zderzyłam się z Millie.

- Ostrożnie, Soph! – wykrzyknęła, kiedy odbiłam się do tyłu i wylądowałam na ziemi obok taco, które właśnie wytrąciłam jej z rąk. Podniosła mnie z jękiem. – Gdzieś ty była, do cholery?

- Musimy iść – powiedziałam, wybiegając do przodu. – Gdybyś wiedziała, co właśnie zobaczyłam...

- Co się dzieje?

- Chodź! – Pociągnęłam ją w kierunku naszego koca. Powrzucałam wszystko do torebki, co jakiś czas spoglądając w stronę lasu czy nie pojawili się Nico z Luca. – Wyjaśnię ci wszystko, kiedy stąd pójdziemy. – Znow popędziłam alejką, ciągnąc za sobą Millie.

- Co się dzieje? – wydyszała, nabierając gwałtownie powietrza. – Nie. Mam. Na. To. Kondycji.

- No chodź! – Prowadziłam nas ścieżkami, dopóki nie zaczęła przed nami świtać brama Rayfield Park.

Nim przeszłyśmy pod łukiem Millie zatrzymała się i złapała za boki, jakby dostała kopniakiem w brzuch.

- Stop – wyjęczała. – Potrzebuję. Minuty.

- Możemy iść dalej, proszę?

- Myślę. Że. Krwawią. Mi stopy. – Odsunęła włosy z twarzy błyszczącej świeżą warstwą potu. – Co się. Z tobą dzieje?

Zanim zdążyłabym odpowiedzieć wylewem wszystkiego, czego byłam przed chwilą świadkiem ktoś złapał mnie za ramię i odciągnął od niej.

- Hej! – zaprotestowałam, kiedy Nico przysunął mnie do siebie.

- Cokolwiek zamierzasz powiedzieć Millie nie rób tego – polecił tak niskim głosem, że tylko ja go usłyszałam. Zacisnął ręce na moich nadgarstkach, trzymając je przy sobie.
– Proszę.

Za nami Millie zauważyła plamy potu tworzące się pod ramionami i krew wzdłuż pasków sandałów.

- Obrzydlistwo – jęknęła i opadła na trawę, dysząc.

- Nie możesz mi mówić, co mogę a czego nie mogę powiedzieć mojej najlepszej przyjaciółce – powiedziałam gniewnie, odpychając go od siebie.

- Obiecałaś – rzekł cicho. – To miało coś znaczyć.

- Obiecałam, kiedy sądziłam, że jesteś *biernym* członkiem mafii, a tak *wyraźnie* nie jest! To coś kompletnie innego. Nie będę zobowiązana czymś takim!

- Sophie – powiedział ciężko. – Naprawdę musisz przemilczeć to, co właśnie widziałas.

Czułam, jak twarz robi mi się czerwona z gniewu. Chwyciłam go za koszulkę i odciągnęłam za łuk.

- Okłamałeś mnie!

Uniósł ręce w pojednawczym geście.

- Nie skłamałem, Sophie. Ja tylko... opuściłem pewne kwestie. Daj mi wyjaśnić.

- Sprawiliś, że uwierzyłam, że jesteś dobry! - Popchnęłam go.

- Bo jestem!

- Wcale nie! – Jeszcze raz go pchnęłam. – Uwierzyłam, że jesteś niewinny. Uwierzyłam, że nie bierzesz udziału w tych pomieszanych mafijnych sprawach!

Nico ostrożnie zabrał moje dłonie ze swojego torsu.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Miałeś mnóstwo czasu, żeby to naprostować. – Chciałam dać mu w twarz. Zużyłam całą samokontrolę na to, żeby zacisnąć ręce po bokach.

- Wiem.

- Ale nie zrobiłeś tego.

W jego oczach błysnęły determinacja i upór.

- Nie miałem dość czasu na wytłumaczenie wszystkiego. Ale nie okłamałem cię. Wszystko, co powiedziałem było prawdą tylko nie w taki sposób, w jaki chciałabyś to przyjąć.

- Zapytałam czy krzywdzisz ludzi! Powiedziałeś, że nie!

Podszedł bliżej.

- Powiedziałem, że to nie tak. I to prawda. Wszystko, co robię opiera się na ochronie.

- Ochronie – parsknęłam. – Czy tak sobie wmawiasz, kiedy wkładasz *pistolet* do czyichś ust?

- Wysłuchaj mnie. – Przyciągnął mnie do siebie.

- Przestań – krzyknęłam, czując wzbierające się łzy w oczach. – Przerażasz mnie.

Wzdrygnął się, jakbym naprawdę go spoliczkowała.

- Mówiłem ci, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Skąd mam to wiedzieć?

Wpatrywał się we mnie tak twardo, że zabrakło mi tchu i po długiej męczącej minucie odpowiedział cicho:

- Ponieważ jesteś dobrą osobą.

Sporunowałam go wzrokiem.

- Przynajmniej jedno z nas.

- Ja też jestem dobry.

- Dopiero co wsadziłeś pistolet do ust Robbiego Stensona – syknęłam.

- Przykro mi, że musiałaś to zobaczyć, ale to było nieuniknione.

- *Czemu* niby taka napaść jest nieunikniona?

Jego oczy pociemniały, ale nie odpowiedział.

- Musisz wiedzieć, że to jest nie do przyjęcia. Muszę zgłosić to na policję.

- Sophie, zrobiłem to dla *ciebie*. Jak mogłem mu pozwolić odejść, kiedy dowiedziałem się, co próbował ci zrobić?

Znowu odsunęłam się od niego.

- Oszalałeś, Nico? Nie możesz *grozić ludziom pistoletem* z mojego powodu. Potrafię o siebie zadbać!

Ścisnął grzbiet nosa i westchnął.

- To była przysługa dla społeczeństwa. Stenson to typ osoby, która nie zatrzyma się tylko na jednej dziewczynie. Nie mogłem zrobić nic więcej oprócz faktycznego odstrzelenia mu głowy.

Sapnęłam głośno.

- Możesz nie być taki drastyczny?

Przeczesał sobie włosy.

- Przepraszam.

- Chyba nie jest ci przykro.

Nie patrzył już na mnie i wiedziałam, że miałam rację. Nie było mu przykro; żałował tylko, że to widziałam.

- Wiem, że nie mam prawa o nic cię prosić – powiedział – ale nie mów, proszę, nikomu o tym, co widziałas. Będą z tego kłopoty.

- Bez jaj. Byłam świadkiem przestępstwa. Nawet jeśli ofiara była kimś, kogo nie cierpię to wciąż nie jest w porządku. Nie będę tego trzymać w sekrecie. Nie będę twoją współniczką.

- Więc przynajmniej zaczekaj. – Złapał mnie za rękę i ścisnął nim zdążyłabym je zabrać. Próbowалам nie patrzeć w jego ciemne oczy. – Sophie, złamię przysięgę. Powiem ci tyle ile będę mógł – szepnął zawzięcie. – Musisz zrozumieć, kim jestem. Daj mi szansę, żebym ci pokazał.

- Za późno – powiedziałam, ale moja determinacja była tak chwiejna jak głos.

Przesunął moją dłoń na swoje serce, żebym poczuła jego dudnienie.

- Nie jestem złym człowiekiem. Wiem, że to czujesz. Przyznaję, okłamałem cię, pozwalając ci uwierzyć w to, co chciałaś. Chciałem, żebyś czuła się szczęśliwa i bezpieczna, i nie chciałem odbierać ci tych uczuć po wszystkim, co odkryłaś na temat naszych ojców. Nie wstydzę się tego, kim jestem ani skąd pochodzę, ale bałem się, że kiedy się o tym dowiesz nie pozwolisz mi pokazać sobie, co to naprawdę znaczy. Bałem się, że prawda zmieni sposób, w jaki na mnie patrzysz. Ale zasługujesz na poznanie prawdy i dam ci ją, jeśli tylko mi pozwolisz.

Mój opór zaczął słabnąć i oboje o tym wiedzieliśmy. Zabrałam rękę i założyłam je na klatkę piersiową. *Wiedziałam*, że musiało istnieć więcej odpowiedzi, ale nie sądziłam, że przyzna to tak swobodnie po tak długim okłamywaniu mnie. Teraz sposób, w jaki mnie przekonywał działał – wciskał wszystkie odpowiednie guziki. Miał mnie dokładnie tam, gdzie chciał. Nienawidziłam tego, a jednocześnie pragnęłam.

- Masz jedną szansę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

POWOŁANIE FALCONÓW

Nico zaoferował mi podwózkę do swojego domu, ale postanowiłam przejść się z Millie.

- Ach, sprzeczka kochanków – zgadywała po drodze. Nie była w całkowitym błędzie, ale nie miała też całkowitej racji. Nie powiedziałam jej prawdy o kłótni w Rayfield Park z tego samego powodu, dla którego nie powiedziałam, dlaczego wybierałam się do domu Nico po tym jak rozdzieliliśmy się na Shrewsbury Avenue. Nie byłam jeszcze gotowa na poukładanie wszystkich myśli, a do tego czasu chciałam mieć pewność, że będzie bezpieczna. Im mniej wiedziała tym lepiej.

Gdy skręciłam w jego podjazd, Nico stał już w progu drzwi.

- Przyszłaś.

Podeszłam do niego w ciszy. Oparłam się o otwarte drzwi, żebym przeszła obok niego. Starłam się nie zwracać uwagi na to, jak się o niego otarłam, ale zauważyłam, że on doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Front domu był całkowicie inny od współczesnej kuchni na tyłach. Teraz stałam w scenerii każdej strasznej historyjki, którą słyszałam i dokładnie tak to sobie wyobrażałam.

Z wysokiego sufitu zwisał kryształowy żyrandol wciąż pokryty pajęczynami. Deski podłogowe w foyer były odbarwione i nierówne, skrzypiąc pod stopami. Wielkie schody na przedzie wyłożone burgundową wykładziną skręcały ostro w prawo i wznosiły na piętro, podczas gdy boazeria odpadała od ścian w obszarpanych pasach. Korytarz ciągnął się z lewej strony schodów, rozchodząc się w rząd zamkniętych pomieszczeń z wąskimi drzwiami. Prawa strona wyróżniała się wielkimi, nowo polakierowanymi drzwiami z ciężkimi mosiężnymi klamkami.

- Sophie? – Odwróciłam się i zobaczyłam, że Nico patrzy na mnie wyczekująco. – Pójdiesz za mną? – Wprowadził mnie do dużego salonu, w którym dwie ciemnoczerwone skórzane kanapy stały pod okazałym kominkiem.

Usadowiłam się na jednej z nich; Nico wybrał drugą. Zauważyłam bez zdziwienia, że nie było tutaj telewizora, jedynie skórzany podnózek, stary zegar na wielkim gzymsie i wbudowana w najdalszą ścianę biblioteczka. Była wypełniona po brzegi Dickensem, Defoe, Twainem, Swiftem i innymi wielkimi albo przerażającymi powieściopisarzami, których tylko mogłam sobie wyobrazić. Nad kominkiem wisiał ogromny obraz olejny. Ukazywał pewnego rodzaju anioła zemsty przedstawionego w zamaszystych ciemnych kolorach i oprawiony w pozłacaną ramę. Rozciągał się na całą szerokość gzymsu.

- Jeden z obrazów Valentino – powiedział Nico, podążając za moim spojrzeniem.
- Niesamowity.
- Trochę dramatyczny.

Dramatyczny. Miałam przebłysk Nico trzymającego pistolet przy głowie Robbiego Stensona.

- Przynajmniej on wykorzystuje *swój* czas na dobro twórcze.

Nico odchrząknął niezręcznie.

- No wiec jestem tu – powiedziałam, skupiając się na tym, czego musiałam się dowiedzieć. – Zaczynij gadać.

Przechylił się przez podparcie kanapy, przyszpilając mnie ciemnymi oczami.

- To co zamierzam ci powiedzieć nie jest dla tchórzliwych – powiedział. – Niełatwo rozmawiam w ten sposób o mojej rodzinie i muszę wiedzieć, że nie wykorzystasz tego przeciwko mnie. Przeciwno nam.

Zawahałam się i wykorzystał moje milczenie.

- Nie będę mógł cofnąć tego, co powiem, a już teraz wiele ryzykuję.

Rozmyślałam nad tym dłuższą chwilę, naprawdę biorąc pod uwagę, o co mnie prosił i co oferował w zamian: nieupiększoną prawdę. Nie chciałam nadużyć jego zaufania, ale bałam się obiecywać milczenie, jeżeli miałyby mi wyznaczyć coś, z czym nie dałabym sama rady. Ale musiałam wiedzieć. Chciał mnie wpuścić do swojego świata, chciał mi zaufać i pomimo wszystko chciałam mu na to pozwolić.

- Dobrze – powiedziałam. – Przyrzekam.
- Nie powiem wszystkiego. Nie mogę.
- Potrzebuję tylko tyle, żeby zrozumieć, Nico.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, jakby próbował odczytać coś z moich oczu. Następnie oparł się o kanapę i westchnął, poddając się po całym tym czasie.

- Sophie, moja rodzina i ja zajmujemy się ochroną. A to oznacza, że czasami musimy kogoś skrzywdzić i czasami musimy kogoś zabić.

I proszę bardzo – nareszcie wszystko zostało wyłożone na stół. Urzeczywistniła się moja niewypowiedziana obawa. Jaki ojciec, taki syn: Nico również był stwórcą aniołów. Zakryłam usta wierzchem dłoni i skoncentrowałam się na wyrównaniu oddechu. Nie mogłam nic powiedzieć. Poczułam mdłości.

- Daj mi wytłumaczyć – powiedział Nico. Wyciągnął do mnie rękę, ale odsunęłam się i ją opuścił. A potem zrzucił na mnie nową bombę: - Ścigamy tylko tych, którzy zasługują na śmierć.

Spojrzałam na niego oszołomiona.

- Czy to jakiś chory żart? – wydusiłam, nie odrywając ręki od ust. – Bo nie jest zabawny.

On tylko patrzył – upierając się przy najbardziej zwariowanej rzeczy, jaką usłyszałam z jego ust.

- Masz na myśli, że ścigacie takich ludzi, jak Robbie Stenson? – zapytałam po chwili.

Przytaknął... spokojnie. Zbyt spokojnie.

- Zabiłbyś go, gdyby Luca cię nie powstrzymał?

- Bez wahania – odparł.

Myślałam, żeby wstać i uciec, trzaskając za sobą drzwiami i popędzić gdzie pieprz rośnie. Ale nie zrobiłam tego, nie mogłam – nie, kiedy miałam dowiedzieć się jeszcze więcej.

- Nie widzisz, jakie to szalone?

Tym razem Nico odwrócił ode mnie wzrok, wykrzywiając twarz.

- Zasługuje na o wiele gorszy los... gdyby nie było tam Luki...

- Byłbyś pewnie w więzieniu – dokończyłam oschle.

- A on sześć stóp pod ziemią.

Opuściłam rękę i przycisnęłam do kanapy, żeby zapanować nad gniewem.

- Od tego jest policja, Nico. Nie tacy normalnie dzierżący broń obywatele jak ty i Luca.

Dzieliła nas przepaść. Przyglądałam się moim kolanom, czując gorzki posmak w ustach. Choć Nico nie był mi nic winien czułam się zdradzona, zraniona prawdziwością jego charakteru i bałam się uczuć, które wciąż do niego żywiłam w podświadomości.

Raz jeszcze pomyślałam o wyjściu. Jakby wyczuwając mój niepokój, przeniósł się na miejsce obok mnie, ocierając się nogą o moje nagie udo i poczułam się naładowana jego obecnością. Oparł łokcie na kolanach i odwrócił, żebym skupiła się wyłącznie na pasji w jego głosie i płonących oczach.

- Sądysz, że Robbie Stenson nie spróbowałby znowu kogoś skrzywdzić tylko dlatego, że nie udało mu się z tobą? – zapytał łagodnie. – Bo ja nie. Ktoś musiał mu pokazać gdzie jego miejsce zanim zrobiłby to samo komuś innemu. Komuś, kto mógłby nie mieć tyle samo szczęścia, co ty. Takie właśnie rzeczy robimy, Sophie.

- Co to znaczy, takie robicie *rzeczy*? – zapytałam wstrząśnięta. – Czy chcesz mi powiedzieć, że twoja rodzina jest jakąś samozwańczą strażą obywatelską przekonaną o własnej nieomyślności?

Nico zaśmiał się niespodziewanie; to była obca, niestosowna reakcja i zastanawiałam się, jak mógł podchodzić tak niefrasobliwie do tematu naszej rozmowy.

- Gdy decydujemy się zwalczyć jakiś problem, nie robimy tego w ramach prawa. Dla nas to jest takie proste. Na świecie istnieje cała kraina przestępcza, do której policja nie ma wstępu. Przestępcy, którzy nie zawahają się zabić każdego, kto stanie im na drodze – typ ludzi, którzy trzymają w kieszeniach więcej sędziów i prawników niż kasy. Oni nie postępują zgodnie z zasadami. *Oni są rzeczami*, którymi się zajmujemy.

Opadłam na kanapę, jęcząc pod ciężarem wszystkiego, co miałam pojąć.

- Ale dlaczego w ogóle ścigacie takich ludzi? Co wam do tego?

Nico zniżył głos i, jakby wyjawiając wielki i okropny sekret, powiedział cicho:

- Wszystko, Sophie. Mamy to we krwi.

- Tak jak ja mam we krwi zarządzanie restauracją? – Roześmiałabym się, gdybym nie była pełna przerażenia.

- Poniekąd. – Nico uśmiechnął się. – Moi ludzie pochodzą z Sycylii. Od samego początku każdy członek mojej rodziny rodził się w mafii. Nie został wprowadzony, tylko *wrodzony*. Dla nas nie ma innego wyboru ani alternatywnej ścieżki życia.

Poczułam ukłucie w brzuchu. Czy to znaczyło, że utknął w tym życiu? Czy bycie Falconem oznaczało, iż jego przeznaczeniem było zabijanie, tak jak bycie Gracewell oznaczało, że nie szła mi matka? Jak to mogło być możliwe?

Mówił dalej niezrażony moim milczeniem.

- Tradycje Falconów są wyjątkowe, nasze członkostwo zamyka się w więzach krwi, a nasze czyny opierają się na honorze i solidarności. Jesteśmy na ziemi żeby uczynić świat lepszym miejscem. Wszystko poświęcamy rodzinie, a w rezultacie wszystko to jest w pogoni za dobrem.

- Bardzo to poetyckie – powiedziałam po chwili zastanowienia. – Ale kiedy zamierzasz wytłumaczyć zabijanie?

- Teraz. – Nico zareagował onieśmielającym opanowaniem. Nawet nie zamrugał, tylko nakrył dłonią moją dłoń i splótł nasze palce na kolanie. Pozwoliłam mu i nie wiem dlaczego, ale starałam się widzieć w nim wytwór jego pochodzenia oraz wychowania, i nie byłam pewna czy mogłam go ukarać nim zrozumiałabym co to wszystko tak naprawdę znaczyło. Nie wiedziałam nawet czy jestem bezpieczna, przebywając tu z nim, ale pocieszał mnie jego dotyk i pomimo wszystkiego, co kazało mi uciekać, zostałam.

- Na Sycylii mafia powstała na potrzebę ochrony lokalnej społeczności. Sytuacja różniła się diametralnie od obecnej, inne rodziny kierowały się bezwzględnyymi kodeksami i planami nielegalnego zarobku. Prawdziwa mafia, *La Cosa Nostra*, była inna. – W jego głosie zabrzmiała tęsknota, jak gdyby wspominał coś, do czego kiedyś przynależał. Może tak się właśnie czuł. - Po tym jak w dziewiętnastym wieku Włochy zajęły Sycylię odebrano ziemie kościołowi i państwu i oddano zwykłym obywatelom.

- Narastał handel razem z komercjalizmem i z tego drugiego powstała brzydka strona zysku: chciwość, przestępstwo, morderstwo. Nie było tam żadnej rzeczywistej policji. Miejscowi nie mieli nikogo, kto obroniłby ich domy, interesy, nawet rodziny, więc poszukali gdzieindziej. Mój dziadek mawiał, że to był zwykły przypadek podaży i popytu. Początkowo w całej Sycylii zaczęły wyrastać małe grupki mężczyzn; w zamian za pieniądze zapewniali bezpieczeństwo zabijając groźnych typów. Słowo się rozeszło i po jakimś czasie te grupy zostały zatrudnione przez bogatsze rodziny do rozstrzygania osobistych zemst albo dla dodatkowej ochrony.

- Zatem te grupy – pierwsi członkowie mafii – były prawem same w sobie? – zapytałam. *Brzmi znajomo.*

- W tym tkwił problem – odparł Nico. – Nie mając nad sobą żadnego prawa, oprócz ich własnego, wzięła nad nimi górę pokusa; niektóre organizacje zwróciły się przeciwko ludziom, których chronili, wpadając w przemoc, wyłudzenia, pranie brudnych pieniędzy i wymuszenia okupu – wszystkie rzeczy, które czynią mafię tak niesławną, jak jest dzisiaj.

- Potem wiele powstałych potężnych rodzin żyjących własnym prawem wyemigrowało do Ameryki. Rodzina mojego dziadka była pośród pierwszych imigrantów na początku dwudziestego wieku. – Nico zamilkł na moment, po czym kontynuował z cichą pewnością. – Ale Falconowie nigdy nie podjęli skorumpowanej ścieżki, ani w Sycylii ani tutaj. Zawsze staraliśmy się chronić tych, którzy nie potrafią sami się obronić, pozostać po prawidłowej stronie dobra i zła. A czasami prawidłową rzeczą jest zabicie złego człowieka.

Nagle wydawał się o wiele starszy. Część mnie chciała zapłakać z jego powodu i niewinności, której nigdy nie zaznał, ale druga część pragnęła nim potrząsnąć i okrzyknąć, że był takim idiotą, że nie widział swojego powołania tak samo jak ja – jako życzenie śmierci.

- Co myślisz? – zapytał.

Pokręciłam głową.

- Że możesz umrzeć w wieku siedemnastu lat, ponieważ gonisz za wendetami, które nie mają z tobą nic wspólnego i nadal nie za bardzo rozumiem dlaczego.

- To moje zadanie – powiedział zwyczajnie. A potem nadeszły przerażające słowa: - Jestem zawodowym zabójcą.

Straciłam zdolność mrugania. Nagle nie miałam wystarczająco miejsca w płucach, żeby wypełnić je potrzebnym powietrzem. Gdybym przypomniała sobie wtedy jakiegokolwiek przekleństwa użyłabym wszystkich naraz. Nico czekał uprzejmie, kiedy ja połączyłam słowo "zabójca" z siedemnastoletnim chłopcem, który miał wielkie piękne brązowe oczy i prosty uśmiech.

- Ilu? – wydukałam, kiedy przez moją głowę przeleciały liczby – pięciu ludzi? Dziesięciu? Pięćdziesięciu?

Zamrugął powoli, ale wiedziałam, że zrozumiał. Jednak mu przeliterowałam.

- Ilu ludzi *zabiłeś*?

- Nie wiem. – *Kłamstwo*.

- W przybliżeniu – zażądałam drżącym głosem. Czy naprawdę chciałam wiedzieć? Czy liczba okaże się gorsza niż moje przypuszczenia?

- Nie tak dużo. – Otworzył szerzej oczy i przyłapałam się na tym, że znowu wyłapuję w nich złote refleksy.

Skoncentrowałam się. Nie zamierzałam mu pozwolić, żeby wymigał się od tego swoim urokiem.

- Jakakolwiek liczba większa od zero to „dużo”.

Nico miał na tyle przyzwoitości, żeby odwrócić ode mnie wzrok, nawet jeśli udawał wstyd, który powinien odczuwać.

- Więc ilu? – powtórzyłam.

- Nie mogę o tym dyskutować, Sophie. Będę miał problemy – powiedział prawie błagająco. – Wiedz tylko, że byli niedobrymi osobami. O wiele gorszymi od Stensona. I to moja praca.

- *Jak* możesz mieć taką pracę? – wykrztusiłam w końcu, chociaż towarzyszyła mi udręczająca piskliwość.

- Nie mógłbym mieć innej – odpowiedział prosto.

- Masz ogrom możliwości, Nico! – wrzeszczałam, chociaż nie miałam takiego zamiaru. – Mógłbyś zostać nauczycielem, lekarzem, baristą, sprzedawcą ryb, księgowym...

- Sophie – przerwał łagodnie Nico. – Uspokój się...

Zaciskałam usta, dopóki histeria nie ustąpiła, a kiedy nareszcie opanowałam oddech, przyznałam:

- Boję się.

- Mówiłem, że cię nie skrzywdzę – powiedział cicho. – To tylko praca.

- Nie – potrząsnęłam głową. – Czemu?

- Falconowie zasłużyli na swoją pozycję jednego z najbardziej honorowych i szanowanych rodowodów w amerykańskiej mafii. Inne rodziny zawsze przychodzą do nas z takiego lub innego powodu, a my zawsze ich przyjmujemy. Takie mamy powołanie w świecie przestępczym. I działamy w ten sposób w *omertà*. – Ostatnie słowo spłynęło z jego języka.

- Co to *omertà*? – Wypowiedziałam nieudolnie obcy wyraz.

Nico uśmiechnął się na moje staranie.

- Kodeks milczenia. Nasi ludzie nie kontaktują się ze stróżami prawa, ale kontaktujemy się ze sobą i tak załatwiamy sprawy. Tak rozwiązujemy pewne... problemy.

- Masz na myśli ludzi – wytknęłam.

- Ludzi – potwierdził.

- A więc twoja rodzina to coś jakby specjalne odgałęzienie mafii? – podsunęłam.

Rozważał to przez chwilę, po czym przyznał mi rację z delikatnym uśmiechem.

- Przypuszczam, że taka się stała. Zajmujemy się ludźmi, którzy nie powinni handlować narkotykami na ulicach ani zabijać niewinnych przechodniów... - Jego głos stężał. – Zajmujemy się szumowinami.

Obserwował mnie uważnie, kiedy zaczęłam układać sobie to wszystko w głowie, by ujrzeć kreowany przez niego obraz. Jego rodzina krzywdziła i zabijała osoby, których życiowym celem było krzywdzenie i zabijanie niewinnych. Taka była jego praca, ale też coś więcej; jego spuścizna. Ale jak mógł to usprawiedliwiać, jak ja mogłam usprawiedliwiać jego rozumowanie? Myśl, iż siedziałam obok zabójcy przyprawiała mnie o zawrót głowy, a jednak, kiedy patrzyłam na Nico nie czułam strachu tylko... zdezorientowanie.

- I dostajecie za to *pieniądze*?

- Tak.

- Od innych mafijnych rodzin?

- Tak.

- Zgaduję, że pokażne sumy.

- To nie jest ważne. – Miał rację, odpowiedź nie była ważna. Posiadłość mówiła sama za siebie.

- Chwileczkę. – Coś mi nie pasowało w jego wyjaśnieniu. – Czy członkowie mafii nie łamią prawa? Wiem, że nieszczególnie go przestrzegają. Słyszałam o końskich łbach, sekretnych morderstwach, praniu brudnych pieniędzy i brutalnych rodzinnych awanturach... - urwałam, mając nadzieję, iż Nico nie połapie się, że wymieniłam wszystko, co widziałam na przestrzeni lat w filmach. Przecież te historie musiały mieć swoje źródło.

Wciągnął oddech przez zaciśnięte zęby.

- Tak, rodziny nie są całkiem *anielskie*.

- Dobrze, więc jak macie ich ochronę, jeżeli musicie pozbyć się też przynajmniej paru z nich?

Nico patrzył na mnie, jakby wyrosły mi nagle rogi.

- Sophie – powiedział urażony. – *Nigdy* nie pozbywamy się członków naszej własnej kultury, cokolwiek by nie zrobili.

Ni stąd ni zowąd wróciłam na własną planetę, patrząc na niego z oddali i opierając się chęci, żeby wytrząsnąć z niego całą głupotę.

- Czy to żart?

- Nie.

Wsunęłam pod siebie nogi i usiadłam na piętach, żeby móc nad nim górować.

- Więc ścigacie zwykłych, przeciętnych przestępców? Nie tych, którzy są po waszej stronie?

- Nie możemy – powiedział, spoglądając na mnie spod gęstych ciemnych rzęs.

- Bo?

- Bo wszyscy byśmy byli martwi. – Powiedział to tak rzeczowo, że zdziwiłam się mniej niż powinnam.

- Ale czy rodziny mafijne nie walczą ze sobą cały czas? – Następna informacja wyciągnięta z filmu, ale miałam przeczucie, że tutaj się nie myliłam.

- Tak, ale nie z nami. Jesteśmy nietykalni.

- Bo przez większość czasu wykonujecie ich polecenia, tak? Zapewniacie im usługę, a oni w zamian zapewniają wam życie w dostatku – odparowałam. – Jakie to popieprzone.

Nico usadowił się tak, żeby usiąść prościej, dzięki czemu znowu byliśmy na równi.

- Eliminujemy ze społeczeństwa najgorszy rodzaj ludzkości. Nie rozumiesz tego?

Potrząsnęłam głową. Jak on mógł być tak naiwny?

- Po prostu wybijasz ich konkurencję, Nico. Mafia nadal może robić, co tylko jej się podoba.

- To nadal usługa dla społeczeństwa.

- Wybiórcza usługa.

- Lepsza niż żadna.

- Czy to ci nie przeszkadza? Czy nie myślisz, że to zwykła hipokryzja? Mordercy płacą ci, żebyś zamordował innych morderców? – Znowu zaczynało kręcić mi się w głowie.

- Staram się o tym nie myśleć.

- A powinieneś.

- Co? – zapytał zranionym tonem. – Mam rozpatrywać to, że cała moja rodzina pójdzie do piekła za próbę uczynienia z Chicago lepszego miejsca do życia dla ludzi takich jak ty? Rozpatrywać to, że nieważne ile mamy wolności i ochrony, wciąż mamy związane ręce przez innych z naszej kultury?

- Tak! – powiedziałam gorączkowo. – Zastanów się nad tym!

- Sophie, nic nie mogę z tym zrobić! – Podniósł gniewnie głos. – Takie mam życie. Nic innego nie znam. Wiem, że to jest właściwe. Tylko *ty* wiem.

Położyłam ręce na kolanach i odsunęłam się od niego, uświadamiając sobie, że prowadziłam przegraną walkę.

- Nie powinno być wszystko albo nic.

- Wiem – przyznał zirytowany. – Ale co mam zrobić?

- Mógłbyś odejść.

- Jedynym sposobem na opuszczenie tego życia jest odejście w trumnie – powiedział z mrozącą krew w żyłach ostatecznością.

Nastąpiła cisza. Częściowo rozumiałam. Chciałam zapłakać za niego i pisaną mu przyszłość, ale tego nie zrobiłam. Byłam zbyt odrętwiała, zbyt przerażona, żeby brać pod uwagę możliwość, iż może Nico nie *chciał* zostawić tego stylu życia, iż podobało mu się karanie ludzi, patrzenia jak drżą przed nim i błagają o litość. Przyglądałam się skórkom przy paznokciach, kiedy on przyglądał się mnie.

- To samobójstwo – mruknęłam.

Nico oparł się i uśmiechnął, i przez chwilę przypominał nastolatka, którym być powinien. Szczęśliwym i beztroskim, a nie ponurym i stwardniałym.

- Razem z braćmi przygotowywaliśmy się do tego życia odkąd tylko nauczyliśmy się chodzić – powiedział. – Potrafimy odczytywać sytuacje jak nikt inny. Potrafimy skrócić komuś kark na dziesięć różnych sposobów. Mamy wiedzę, dzięki której dałoby się zinfiltrować gangi i umiejętność zestrzelenia ich przywódca z odległości trzydziestu metrów. – Mówił, jakby wymieniał listę codziennych umiejętności ze swojego życiorysu, a nie recytował specjalne działalności związane z mafią.

- Musisz odpowiadać przed bossem twojej rodziny? – zapytałam.

- Tak – powiedział powoli, jakby zaczął zdawać sobie z czegoś sprawę. – Wykonujemy jego polecenia.

- Kim on jest?

Potrząsnął głową, jakby otrząsał się z oszołomienia.

- Sophie – powiedział niepewnie. – Powiedziałem już o wiele za dużo. Zagalopowałem się... przy tobie zawsze mi się tak dzieje... - urwał. – Mogłabyś mnie teraz zniszczyć.

- Nie zniszczę – odparłam automatycznie. Nawet o tym nie pomyślałam, ale moje serce znało odpowiedź. Pomimo wszystko nie chciałam go niszczyć. Był niszczone przez otaczających go ludzi. Przez własną rodzinę. Gdyby tylko potrafił to dostrzec, mogłabym przemówić mu do rozsądku.

- Nie mogę powiedzieć więcej – oznajmił.

To bez znaczenia; wiedziałam już, kim był boss.

Jakim cudem ich ojciec mógł się na to zgodzić, kiedy jeszcze żył? Mój ojciec zobaczył mnie raz jak udawałam, że palę jadalnego papierosa i prawie mnie za to uziemił. Ale ojciec Nico zapewne kupił mu jego pierwszy pistolet, nauczył jak go załadować, jak nim wycelować, jak nim zabić. A teraz Felice? Z pewnością miał obowiązek opiekować się tymi chłopcami, nie wykorzystywać ich do zabijania ludzi.

Opadłam na kanapę odczuwając nagle zmęczenie.

- Nie musisz więcej mówić – powiedziałam cicho.

Nico pochylił się, zrównując nasze nosy i spojrzał na mnie.

- Boisz się, Sophie?

Staralam się jak mogłam zignorować jego bliskość.

- Nie wiem.

- Nie uciekłaś.

- Jeszcze nie.

Wygiął lekko usta w uśmiechu.

Znowu zaczynałam czuć się odurzona; obezwładniało mnie pożądanie.

- Robisz złe rzeczy – przypomniałam sobie na głos, popełniając taki błąd, że spojrzałam mu w oczy. Ilu ludzi spędziło ostatnie sekundy swojego życia, spoglądając w te oczy?

- Tylko czasami – odparł cicho.

- Musisz traktować to tak bezosobowo?

- Nie żałuję tego, co robię. – Przesunął palcem po mojej szyi i poczułam gęsią skórkę. Ile złamał karków tymi dłońmi? – Ale żałuję, że nie podoba ci się ta część mojej osoby, która jest prawie całym mną, Sophie.

- Ale jest w tobie tyle dobroci, Nico – szepnęłam.

- Dobroci wobec słusznych ludzi. – Wpatrywał się w moje usta, przesuwał pod nimi palcem. – Wobec ludzi takich jak ty.

Poczułam znajomy prąd w powietrzu. *Nie rozpraszaj się.* Gdzie się podziało wszystko, co chciałam powiedzieć? Nagle nie potrafiłam sobie przypomnieć ani jednego słowa.

- Nie powinieneś łamać prawa.

Przyciągnął do siebie mój podbródek i otarł się o mnie nosem.

- Wiem – zamruczał przy moich ustach. Jego oddech był tak samo nierówny, co mój. – *Bella mia* – jęknął miękko w moje usta i nie trzeba było więcej, żeby odgonić mój opór.

Tym razem nasz pocałunek był namiętniejszy. Nico wplótł dłonie w moje włosy, przysuwając do swojego ciała i przylegając do mnie całym sobą. Przeciągnął wargami po mojej skórze, upijając mnie pocałunkami.

- Trzymanie się od ciebie z daleka jest zbyt trudne – mruknął w moją szyję. – Nie chcę być już dobry.

- Więc nie bądź – powiedziałam, ściskając go mocniej i czując pod palcami naprężające się mięśnie jego pleców. Odchylił delikatnie moją głowę i znów odnalazł moje usta, rozdzielając je językiem i ułożył mnie na kanapie, przytrzymując pod sobą.

Wróciliśmy ze wstrząsem na ziemię, gdy dźwięk zatrzasniętych drzwi wejściowych sprawił, że podskoczyła pod nami. Podniosłam się w porę, żeby ujrzeć wyraz nieskrywanego przerażenia na twarzy Nico. Poderwał się gwałtownie z rozbieganym wzrokiem i zarumienionymi policzkami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ZASTĘPCA

Luca wszedł sztywnym krokiem do salonu.

- Nico, słyszałeś od Val... Co ona tu robi, do diabła? – Początek jego zdania drastycznie różnił się od końca, który znacznie wzrósł w tonacji.

Nico uniósł ręce, jakby poddawał się oficerowi policji, stając przede mną opiekuńczo jak gdyby Luca miał się rzucić i wyrwać mi krtań.

Podszedł bliżej, górując nad nami wzrostem. W jego oczach mieszały się furia i szok, ale było też w nich coś innego, coś czego nie potrafiłam rozgryźć.

- Nico, wyrwę ci serce i zmuszę do zjedzenia, ty głupi... - Włączył do zdania najgorsze połączenie przekleństw, jakie kiedykolwiek usłyszałam w jednym wydechu.

Nico zerwał się z kanapy i stanął naprzeciw brata.

- Musiałem wytłumaczyć jej, co zobaczyła.

Lodowato niebieskie oczy Luki błysnęły wściekłością.

- *Więc przyprowadziłeś ją tutaj?*

- Nie zaczynaj. - Nico zacisnął pięści.

Czując, że jestem niebezpiecznie blisko stracenia kontroli podniosłam się i przesłam obok Luki. Nie mogłabym znieść bycia na krawędzi rozmowy, która niewątpliwie rozegrałaby się nad moją głową, ale nadal wystarczająco blisko, żebym oszalała od niewypowiedzianych pytań. I tak nie powinnam tutaj z nimi być, a kiedy wróciła mi jasność zamierzałam ją wykorzystać.

- Zabieram się stąd.

Nico wyciągnął do mnie rękę, ale Luca ją odtrącił.

- Zostaw ją – ostrzegł. – Chyba, że chcesz żeby sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła.

Nico nie zaoponował i zastanawiałam się dlaczego. Odsunęłam się od niego, omijając sztywną sylwetkę Luki i nie patrząc na żadnego z nich trzasnęłam za sobą drzwiami we własnym pokazie wrogości.

Gdy szłam przez wysypany żwirem podjazd mój umysł buntował się przeciwko temu, jak to znowu wylądowałam w identycznej sytuacji. Dopiero co zaczęłam się

poruszać do przodu i znowu trafiłam do punktu wyjścia, odczuwając dezorientację i porzucenie przez *mafiosa*, który był dla mnie tak dobry jak strzykawka trucizny.

Zaczęłam biec, ślizgając się na kamyczkach, ale nie zaszłam daleko, kiedy coś oplotło mi się wokół ramienia i zostałam bezceremonialnie przekręcona w twarde ciało ostatniej osoby, którą chciałam widzieć.

Odsunąłem się od klatki piersiowej Luki. Złapał mnie za barki i popchnął pod kamienny mur na końcu podjazdu, więżąc pomiędzy swoimi dłońmi jak ostatnim razem. Jego twarz przybrała dziki, rozgniewany wyraz twarzy, z którym byłam już zaznajomiona.

- Chyba ci mówiłem, że nigdy więcej nie chcę cię widzieć w moim domu. – Był tak blisko, że widziałam małą białą bliznę nad prawym kącikiem jego wargi. Dotarło do mnie, dość niestosownie, że byłam zapewne jedną z bardzo niewielu żywych osób, które o niej wiedziały.

Zdmuchnęłam z oczu zabłąkany kosmyk włosów i przy okazji poruszyłam jego pasemkami. Uzbrojona w wiedzę, że nie skrzywdziły niewinnej dziewczyny czułam odrobinę większą pewność siebie, co do tego jak mogłam się do niego odezwać.

- Nico mnie zaprosił.

- Mam gdzieś czy zaprosił cię sam papież. Nie jesteś tutaj mile widziana.

- No to obgadaj to ze swoim bratem. Ja nie respektuję twojego autorytetu.

Sprowokowałam jego temperament, co widać było po głębokich wgnieceniach ponad jego brwiami.

- Wiesz, że nie powinnaś z nim być.

- Dam sobie radę.

- Nie dasz.

- Wiem, że mnie nie skrzywdzisz.

W oczach Luki błysnęło ostrzeżenie, ale kiedy znowu przemówił głos miał cichy... niemal łagodny.

- Co nie znaczy, że nie stanie ci się krzywda. – Zacisnął sfrustrowany oczy, a kiedy znowu je otworzył płonęły żywym ogniem. – Powiedz tylko, co muszę zrobić, żeby się ciebie pozbyć, skoro przerobienie przestępstwa twojego ojca nie podziałało!

Wysunęłam twarz do przodu i zacisnęłam szczękę.

- Powiedz, co robicie w Cedar Hill.

Luca zmierzył mnie ostrożnie wzrokiem, wahając się, a potem...

- Nie.

- A więc chyba zacznę częściej wpadać.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu – zagroził.

- Co zrobisz, Luca? – Ścisnęłam pięści po bokach. – Zagroziś mi bronią?

- Jeżeli będzie trzeba.

- Bardzo odważne! – wybuchłam. Znajdowaliśmy się teraz bardzo blisko siebie. – Nie potrafisz użyć słów, ale z radością użyjesz pistoletu.

- Nie będę odpowiedzialny za zrujnowanie twojej niewinności!

Nachyliłam do niego twarz, aby pokazać mu, że się nie bałam ani że nie byłam taka niewinna, za jaką mnie uważał.

- Proszę bardzo – szepnęłam. – Roztrzaskaj ją. – Byliśmy nos w nos. – *Prawie* zadziało ostatnim razem, kiedy powiedziałaś mi o moim tacie.

- Mam to gdzieś – odpowiedział stanowczo. – Nie dam w twarz Bambi.

- Powiedz, co robicie w Cedar Hill! - Znowu podniosłam głos.

Luca przeniósł nieruchome spojrzenie z moich oczu na usta, po czym otrząsnął się z myśli formującej mu się w głowie.

- Nie – powiedział spokojnie.

Szturchnęłam go w pierś, odpychając od siebie.

- Wiem, że jesteś w mafii. Jeżeli sądzisz, że nie zniosę tej wiedzy to się mylisz.

Jeszcze raz potrząsnął głową w niedowierzaniu i jego głos zapulsował gniewem, który przyćmiewał mój razę tysięcy.

- Oczywiście, że ci powiedział. Co za kretyn. A ty wciąż tutaj jesteś, czyli nie jesteś wcale mądrzejsza od niego.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Wiem, że nie robicie krzywdy niewinnym. Jesteście poświęceni tylko „honorowi” i „morałom”... choć wypaczonym – dodałam jadownicę.

Odsunął się z nagle nieczytelną miną. Nastąpiła chwila ciszy, a potem odrzekł zimnym, wykalkulowanym tonem.

- I zemście.

- Co?

Zmrużył oczy.

- Zapomniałaś o zemście.

- Co z nią? – wykrztusiłam, myśląc o moim ojcu. Jego ojcu. Naszej historii.

Niespodziewany uśmiech Luki zaostrzył mu kości policzkowe.

- Och, Nicoli opuścił tę część? Można było się domyślić, że będzie selektywny.

Zaczęłam przygryzać wargę, szukając w sobie odwagi, ale wykorzystałam całą na krzyczenie mu w twarz.

- Powiedział, że różnicie się od innych rodzin.

- Tak. – Luca stał całkowicie nieruchomo, obserwując mnie niczym jastrzęb krążący nad swą ofiarą. – Z wyjątkiem zemsty. Falconowie, jak inne rodziny, *zawsze* domagają się zemsty, nieważne czy jest zatwierdzona moralnie.

- Nie – powiedziałam, wystawiając podbródek do przodu i kręcąc głową.

- Nie? – Luca zaśmiał się swobodnie; wywnioskowałam, że to jego prawdziwy śmiech i miał dziwne, srebrzyste brzmienie. – Gracewell, z ciebie naprawdę jest niezły numer. Co ty sobie myślałaś? – zapytał otumaniony. – Że jesteśmy taszczącymi pistolety, dzierżącymi noże aniołami zemsty bez wad i grzechu? Widziałaś, jak Nico wsadził ten pistolet do ust Robbiego Stensona. Słyszałaś, jak odbezpieczył broń. Naprawdę wierzysz, że idea zemsty jest ponad dynastią wybuchowych, porywczych, terytorialnych zabójców, którzy mianowali się przestępczymi dystrybutorami takiego rodzaju karmy, która nie powinna być egzekwowana przez nikogo innego na tym świecie? Czy myślisz, że wszystko, co robimy jest właściwe?

Potrząsnął niedowierzająco głową, a ja przeklęłam swoją naiwność. Idiotka ze mnie, że dałam się ponieść romantycznym fantazjom o Nico w postaci jakiegoś samozwańczego stróża prawa; był mordercą, prosto i zwykle, podatnym na takie same nastroje i pokuszenia, co reszta z nas.

Przesunęłam się wzdłuż muru, żeby wysunąć spod Luki. Pozwolił mi na to i poczułam lekko ulgę.

- Nie zrobisz mi krzywdy...

- Nie – odpowiedział. – Nie zrobię.

- Więc czemu podchodzisz do tego tak dramatycznie?

Głos Luki przybrał niebezpiecznie cichy ton.

- Posłuchaj uważnie tego, co zaraz powiem. – Musiałam wbić spojrzenie w jego usta, ponieważ odłamki turkusu w jego oczach były nagle zbyt intensywne. – Jestem zastępcą bossa całej dynastii Falconów i jeżeli mówię ci, żebyś się nie wychylała i przestała tutaj przychodzić to lepiej uwierz, że mam na to cholernie dobry powód. Musisz zostawić za sobą ten dom i uciec z Cedar Hill najdalej jak ci się tylko da. Nico może się łudzić myślą, że zdoła ochronić cię przed zbliżającymi się wydarzeniami, ale nie zdoła. Mój ojciec był gangsterem, a to oznacza, że twoja rodzina jest nam winna dług krwi, Sophie.

Dług krwi. Powietrze opuściło moje płuca w gwałtownym wydechu. Wyraz twarzy Luki osłabł, ale odwrócił się ode mnie zanim wyłapałabym u niego prawdziwą emocję. Gdy doszedł do drzwi, znowu się obrócił. Stałam jak wryta w tym samym miejscu i chyba wiedział, że tak będzie.

- Wiesz, co oznaczał tamten słoik miodu? – zapytał.

Skręciło mnie w żołądku na jego ton, na jego wiedzę o miodzie. Pomimo, że chyba od samego początku gdzieś w głębi wiedziałam, iż między nimi było jakieś powiązanie, teraz wydawało się to o wiele bardziej złowieszcze niż mogłabym sobie wyobrazić.

Pokręciłam głową.

- Nie był prezentem.

- Nie myślałam, że nim jest – skłamałam.

Teraz w głosie i twarzy Luki była pustka; były kompletnie pozbawione emocji. Wzniósł oczy do nocnego nieba.

- Nie bez powodu przestępcy nazywają mojego wuja Felicego „Żądłem”.

Nie odpowiedziałam. Próbowałam wmusić energię do nóg, kiedy przypominałam sobie twarz jego wuja pokłutą przez pszczoły.

- Kiedy Felice Falcone daje komuś próbkę swojego miodu w czarnej wstążce to znaczy, że wróci po ten słoik.

Próbowałam przełknąć kulę w gardle, ale była nieugięta.

- A kiedy przychodzi to razem ze swoim pistoletem. Ten słoik miodu to Prezent Śmierci Falconów. – Luca przeniósł znowu wzrok, przygniatając mnie jego ciężarem. – Niech to będzie twoje ostatnie ostrzeżenie. Uciekaj stąd póki możesz.

Zbladłam, moje myśli wirowały gorączkowo. Posiadałam wszystkie kawałki układanki, musiałam je tylko połączyć.

- Ale co...

- Porozmawiaj ze swoim wujem, Gracewell – przerwał mi Luca. – A może powinienem powiedzieć *Persefono*?

Nim zdążyłabym odpowiedzieć zatrzasnął drzwi z ogłuszającym hukiem, pozostawiając mnie całą rozdygotaną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

INTRUZI

Ruszyłam do domu, wyciągając komórkę i wybierając numer do wujka. Dzwoniła, dzwoniła i włączyła się poczta głosowa. No weź. Mogłabym roztrzaskać telefon, byłam taka sfrustrowana. Zadzwoiłam jeszcze cztery razy i nic. Zostawiłam dwie wiadomości głosowe aż w końcu wysłałam mu smsa:

Wiem, co znaczył tamten miód. Musimy pogadać o Falconach. Zadzwoń najszybciej jak będziesz mógł.

Byłam już prawie w domu, kiedy zaczął dzwonić mi telefon.

- Jack – odebrałam. – Myślę, że jestem w niebezpieczeństwie.

- Sophie, właśnie przeczytałem twoją wiadomość. Czy wszystko w porządku? – W jego głosie był cień paniki i do mnie również ona się zakradała.

- Gdzieś ty był, do diabła? Dzwoniłam do ciebie! – wybuchłam.

- Skup się, Sophie – burknął. – Później wyjaśnię. Gdzie oni są teraz?

- Nie wiem – powiedziałam. Było ich tak wielu, że mogliby być wszędzie i robić cokolwiek. Opowiedziałam mu o groźbach Luki – o długu krwi i miodzie, jękając się pomiędzy gwałtownie przyspieszającym oddechem.

- Gdzie jesteś? – zapytał, kiedy skończyłam.

Wbiegłam w górę podjazdu.

- W domu – powiedziałam.

- Wejdz do środka i zamknij wszystkie drzwi. Wyślę kogoś po ciebie.

- Wujku Jack? – Miałam problem z kluczami. Miałam tylko trzy, ale wciąż wypadały z moich drżących palców. – Skrzywdzą mnie?

- Nie – odpowiedział zbyt szybko. – Oczywiście, że nie – dodał po chwili.

- Co się dzieje? – Pytanie za miliard dolców i wciąż nie poskładałam wszystkich puzzli.

- Naprawdę nie mam czasu na wyjaśnienia, Sophie. – Słyszałam, jak rzucał rozkazami do kogoś w tle.

Wsadziłam właściwy klucz do zamka. Głośne kliknięcie załało mnie ulgą.

- Jeżeli wiedziałeś, że będę zagrożona to dlaczego tak wyjechałeś?

Jak już strach zaczynał topnieć narastała we mnie złość. Jack omijał Cedar Hill jak plagi dla własnego bezpieczeństwa i nie wysilił się, żeby powiedzieć mojej matce i mnie, byśmy zrobiły to samo. To by było na tyle z obietnicy, którą złożył ojcu. Zapiisałam sobie w myślach, żeby zadzwonić do mamy, kiedy skończę z Jackiem. Była w mieście z powodu serii ślubnych przysięg i wracała nazajutrz wieczorem, ale wiedziałam, że byłaby wściekła, gdybym jej nie poinformowała o zaistniałej sytuacji.

- Sophie – mówił Jack, wzdychając głośno – nic ci nie zrobią. Nie zostawiłbym cię, gdybym myślał inaczej. Ci chłopcy tak sobie tylko gadają. Ta rodzina uwielbia słuchać własnych głosów.

- Oni pragną zemsty, Jack. – Trzasnęłam drzwiami i założyłam łańcuch. – Chcą długu krwi za to, co zrobił tata. Luca sam mi powiedział! – Wpadłam do kuchni i wspięłam się na blat. Przytrzymałam komórkę pomiędzy barkiem, a uchem, żeby zatrzaskać okna.

Połączenie pękało od oporu Jacka.

- Zignoruj słowa Luki. Próbował cię tylko przestraszyć.

Zsunęłam się z blatu.

- Ale dlaczego?

- Posłuchaj. Falconowie mają problem ze mną. *Tylko* ze mną. Nie z tobą.

- Jak to z tobą? – Potrząsnęłam klamką tylnych drzwi, by upewnić się, że są zamknięte.

- Teraz nie mogę o tym mówić. Wysłałem po ciebie Erica Caina. On zapewni ci bezpieczeństwo. Poznałaś go już parę lat temu na moich urodzinach.

- Pamiętam – powiedziałam, przypominając sobie słabo małego, zniewieściałego człowieka z godnymi pozazdroszczenia ciemnorudymi włosami. Jak on niby miał mnie chronić?

- Spotkamy się poza granicami Cedar Hill i porozmawiamy.

- Co z mamą? – zapytałam.

Wujek miał czelność wybuchnąć śmiechem. Zacisnęłam pięść tak mocno, że wbiłam paznokcie w skórę.

- Nie zbliżyliby się do Celine – powiedział lekceważąco. – Ona nie ma ze mną nic wspólnego. Wszyscy wiedzą, że twoja matka nienawidzi ziemi, po której chodzę. I nie są zainteresowani ukaraniem twojego taty, Sophie. Pozamykałaś drzwi?

- Tak. – Wróciłam do przedpokoju. Przeskakiwałam po dwa schodki naraz, decydując pozamykać wszystkie okna na piętrze, tak na wszelki wypadek. – Dlaczego mnie stąd zabierasz, jeśli nic mi nie grozi? Powiedz mi coś, żebym była przygotowana.

- Środek ostrożności, Sophie. – Przeciągnął słowa, jakby to miało poprawić mi nastrój. Nie poprawiło. – Nie ścigaliby cię za to, co uczynił twój tata. Sama myśl jest nedorzeczna. A nawet jeśli by tak *było*, a *nie* jest, mafia Falcone nie krzywdzi niewinnych. To jedna z ich wielkich, gównianych, prawych zasad. A oni *uwielbiają* być prawi.

Praktycznie wyczuwałam jego jad. Zatem Jack wiedział wszystko, co ja i postanowił to przemilczeć. A czy to oznaczało, że on *nie był* niewinny? Co takiego zrobił, że trafił na listę Zasłużył Na Śmierć?

- Wygląda, że dużo o nich wiesz. Dzięki za uprzedzenie. – *Zaoszczędziłbyś mi mnóstwo czasu i wpadania w zachwyty.*

- Uprzedzałem.

- Ta, coś *kiepsko*.

Wróciłam biegiem na dół, dudniąc głośno w stopnie.

- Sophie, naprawdę nie mogę poruszać teraz tego tematu. – Miał znudzony głos. – Nie ruszaj się stamtąd. Wysłałem kogoś.

- Staram się. – Wsunęłam się przez uchylone drzwi do salonu i zamknęłam okno. Byłam w trakcie zaciągania zasłon, kiedy usłyszałam za sobą głos.

- Cześć, Sophie.

Upuściłam telefon. Gino i Dom Falcone podnieśli się jednocześnie z kanapy, kierując się do mnie dopasowanym krokiem.

- Jak weszliście do mojego domu? – Usiłowałam znaleźć, gdzie upadła komórka, ale panowała tutaj prawie całkowita ciemność. Wzruszyli ramionami, ich twarze kryły się w cieniach. Czy oni to przećwiczyli?

- Musicie wyjść. – Splotłam ramiona na piersiach, mając nadzieję, że okazywałam opór. Podniosłam też głos, licząc, że Jack nadal słuchał. – Spodziewam się gości.

Śmiech Gino przypominał ochryple szczęknięcie. Dom zatrzymał się dwa kroki przede mną, a jego brat stał za nim, ten kucyk dodawał mu co najmniej pięć centymetrów wzrostu. Wykrzywiali usta w takich samych groźnych uśmieszkach.

- Czego chcesz, Dom?

- Najlepiej byłoby dostać Jacka – odparł. Gino przytaknął z ożywieniem. – Ale nie możemy marnować więcej czasu na szukaniu go. Skończyliśmy z pościgiem.

- A śledzenie cię nigdzie nas nie doprowadziło – dodał Gino i zmarszczył złączoną brew nad bezdennymi oczami. – Było tak strasznie *nudno*.

Cofnęłam się chwiejnie, napierając nogami na parapet okna.

- *Śledziliście* mnie?

Modliłam się, żeby Jack nadal słuchał z miejsca, gdzie leżał mój telefon.

- Tak – powiedział rzeczowo Dom. – Kiedy dowiedzieliśmy się kim jesteś to był szczęśliwy traf. Myśleliśmy, że ostatecznie doprowadzisz nas do swojego wujka... - Powiedział to tak, jakby był mną rozczarowany, że nie wypełniłam zadania, o którym nie miałam bladego pojęcia. – Ale tego nie zrobiłaś.

Gino zaczął rechotać przez nos.

- *Śledziliście* mnie – powtórzyłam. Mój głos brzmiał jakby z daleka; rozpierało go niedowierzenie. – Jak długo?

- Zbyt długo – powiedzieli razem.

- Nico był temu przeciwny, jeżeli dzięki temu łatwiej ci to przetrwać. Klócił się, żeby cię do tego nie mieszać – powiedział Dom z drwiącym współczuciem. – Ale jest jak jest.

- Do czego nie mieszać?

- Klócił i *przegrywał* – szydził Gino, ignorując moje pytanie.

- Ale – dodał Dom – gdybyśmy cię nie śledzili, to pewnie zostałabyś zgwałcona tamtej nocy po najnudniejszej na świecie imprezie.

- O mój Boże. – Mój żołądek skurczył się z horroru. – Tak mnie znalazł Luca.

- Nie miał interweniować – powiedział nagle dezaprobującym tonem Dom. – Nie wolno nam było robić nic, co zakłóciłoby twój dzień, *chyba że* pojawiłby się twój wujek, ale Luca jak zwykle złamał zasady. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero, kiedy zaczęłaś wrzeszczeć o tej nocy przed naszym domem.

Zbladłam. Gino zdawał się wyłączyć z rozmowy i zaczął rozglądać się po ciemnym salonie. Dom spojrział przez szparę w zasłonach na jakiś dźwięk z zewnątrz. Wykorzystałam chwilowe rozproszenie braci i przesunęłam się wzdłuż ściany w stronę drzwi.

Poszli za mną jak drony tropiące.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił – seplenił Gino. – Nie chcę uderzyć dziewczyny. Nawet jeśli ty nią jesteś.

- Będziesz musiała pójść z nami. – Dom prawie brzmiał, jakby było mu przykro, ale to nie załagodziło wcale mojej palącej nienawiści. Nie tylko włamał się do mojego domu i próbował zabrać mnie gdzieś wbrew mojej woli, ale wyraźnie wykorzystał Millie, a potem ją porzucił, a to czyniło go *totalnym, skończonym dupkiem*. Podeszłam do otwartych drzwi, ale Gino natychmiast zablokował mi drogę. Wysunął ramię, zasłaniając niewielką przestrzeń.

Dom podszedł do mnie z drugiej strony. Zerknął na brata i skinął mu głową. Gino opadł na czworaka i zaczął pełzać po podłodze jak gad, macając ręką wkoło. To było kompletnie, niepotrzebnie dramatyczne.

Spróbowałam uciec, ale Dom złapał mnie za ramię i odciągnął do tyłu.

- Nie.

Gino w końcu wyciągnął mój telefon spod fotela i poderwał się do góry, wymachując nim w powietrzu.

- Mam – powiedział triumfalnie do Doma.

Dom wziął komórkę i przyłożył do ucha.

- Jackie? – przywitał się drwiąco. Dotarł do mnie odległy krzyk. – Myślę, że pora to zakończyć.

Gino podszedł do mnie, śmiejąc się do siebie.

- Pora, żeby Sophie się pożegnała. – Jego uśmiech ukazywał dwa odłupane zęby i wsunął pomiędzy nie język. Nadal usiłowałam dosłyszeć, co mówił Jack, kiedy Gino schował ręce.

Dom zakrył słuchawkę i przemówił do brata.

- Pośpiesz się.

Mokra szmata pojawiła się znikąd.

CZEŚĆ III

„Gdzie zaś jest wina, tam niech kara spadnie.²”

WILLIAM SZEKSPIR, *Hamlet*

² Fragment tłumaczony przez Józefa Paszkowskiego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

WALENTYNKOWA WENDETA

Docierało do mnie brzęczenie. Wprawiało w ruch cały świat, wibrując w moich bębenkach usznych, aż miałam wrażenie, że mam w czaszce rój pszczół. Obudziłam się nagle. W powietrzu wisiała najśłodsza kakofonia zapachów, wywabiając mnie z ciemności, która całkowicie mnie pochłonęła. Otworzyłam oczy, wbijając wzrok w biały sufit i poczułam przeraźliwy uścisk w piersi.

Jęknęłam.

- Ach, nareszcie się obudziłaś. Zastanawiałem się, ile minie czasu zanim środek przestanie działać.

Nie musiałam odwracać głowy w stronę głosu, żeby wiedzieć, do kogo należał. Był wyjątkowo miękki jak na męczyznę, a każda sylaba wymawiana z przesadną precyzją, zdradzając słaby włoski akcent.

- Felice – powiedziałam. Próbowałam usiąść, ale nie mogłam. Moje ramiona i nogi były spętane opaskami zaciskowymi; wpijały mi się w nadgarstki i otaczały niewygodnie nagie kostki. – Gdzie jestem?

- Generalnie? W Lake Forest. Specyficznie? Leżysz na mojej kanapie.

Skóra zaskrzypiała, kiedy podciągnęłam złożone dłonie do skrępowanych nóg i udało mi się podnieść do pozycji siedzącej. Obróciłam się, opuszczając kolana na kanapę i położyłam na nich ręce, kiedy oślepił mnie blask bladego słońca.

Byłam prawie na równi z otwartym oknem wykuszowym po drugiej stronie pokoju. Słońce zaczynało zachodzić na różowionym niebie – musiałam być długo nieprzytomna. Wiedziałam, że byłam przynajmniej na piętrze. Na zewnątrz znajdowała się stara stodoła schowana za dużym ogrodem żywych kwiatów. Na trawniku widniało dziesięć niewielkich drewnianych szop w złożonym układzie.

- Ule – uświadomiłam sobie na głos. Niemal dostrzegałam roje pszczół wznoszące się w oddali i gdzieś w tym pokoju znajdowały się jeszcze co najmniej dwa, co wiedziałam po bzyczeniu.

- Bardzo dobrze, Persefono – rzekł Felice. Siedział wyprostowany w krześle naprzeciw mnie, zakładając jedną niemożliwie długą nogę przez drugą.

Przesunęłam po nim wzrokiem i zmarszczyłam brwi. Wszystko w jego osobie – od srebrzystych zaczesanych włosów, śródziemnomorskiej cery po drogi garnitur w paski –

wrzeszczało *odrażającym gangsterem*. A sądząc po jego domu, nie wspominając już jego lokalizacji, był bogaty.

- Nazywam się Sophie – odparłam.

- Najwyraźniej. Gdybyśmy tylko dowiedzieli się o tym szybciej, oszczędzilibyśmy sobie całego zamieszania. Znalibyśmy cię od początku.

Z tego, co widziałam tylko my przebywaliśmy w tym pomieszczeniu. Oprócz zajmowanej przeze mnie czarnej kanapy byli tu tylko Felice i jego pszczoły. Wznosiły się w szerokich okręgach wokół jego głowy, jak gdyby go broniły i poczułam nieprzyjemne mrowienie na ten widok.

- Muszę powiedzieć, iż jestem zdziwiony, że jeszcze nie zaczęłaś wrzeszczeć. – Położył łokcie na podłokietnikach i złożył ręce przed sobą.

- Czy to miałoby sens?

Potrząsnął głową.

- Jesteśmy bardzo daleko od cywilizacji. Jesteś tylko ty i pszczoły, Persefono.

Gdzieś głęboko poczułam niewyraźne poczucie strachu, ale wciąż kręciło mi się w głowie po tym, co mnie uśpiło. Ciężko było mi poskładać emocje, a jeszcze ciężiej nie powiedzieć czegoś złego. Wiedziałam, że zostałam porwana, ale nie wiedziałam jak odpowiednio zareagować. Wbiłam wzrok w blizny na szyi i twarzy Felicego. Były lśniące i czerwone, miejscami bulgocząc gniewnie.

- Więc to tutaj mieszkasz ze swoimi pszczołkami? Jak romantycznie. – Wiedziałam, że nie powinnam była tego mówić, ale mój mózg odłączył się od odruchów samozachowawczych. – Szkoda, że tak bardzo cię żądła.

Uniósł brwi, wywołując zmarszczki na czole.

- Sam postanowiłem nie nosić kapelusza ochronnego w towarzystwie moich pszczoł. Czuję, że niepotrzebnie nas rozdziela; wolę być blisko nich, czuć ich dotyk na skórze. – Zerknął na pszczołę podlatującą mu do głowy i uśmiechnął się jak dumny rodzic. – Bycie uzależnionym przez tak szlachetne istotki to honor. To wspaniałe, że poświęciłyby swoje życie dla krótkiej chwili mojej uwagi. Nie ma na świecie bardziej majestatycznego stworzenia od pszczoły.

- Skoro tak twierdzisz – powiedziałam, nie rejestrując, co miałam na myśli. Mój umysł zasnuwała mgła, a bzyczenie wszystko pogorszało.

- Twierdzę. Pszczoły wymierają i walczą o to, żebyśmy jak najlepiej chronili najszlachetniejsze dzieci natury.

Najszlachetniejsze dzieci natury? Mogłabym znowu pozbawić się przytomności, żeby nie musieć mierzyć się z tym wariatem.

- Czego ode mnie chcesz?

Felice zacisnął usta, co sprawiło, że jego podbródek zrobił się nienaturalnie szpiczasty. Nie odpowiedział. Przyglądał mi się tylko i miałam wrażenie, że obraziłam go oddalając temat od pszczół.

- Możesz przynajmniej rozluźnić te opaski? Naprawdę boją. – Moje nadgarstki i kostki były obdarte ze skóry i piekły.

Pokręcił głową; tym razem prawie niezauważalnie.

- Jeszcze nie, Persefono.

- Nazywam się Sophie. Ja nie mówię do ciebie Fabio.

Felice odrzucił głowę i roześmiał się prawie do łez.

- Ze wszystkich rzeczy, o które mogłabyś się złościć – powiedział, ocierając oczy dłonią. – Jesteś zabawna.

Nie czułam się rozbawiona, tylko odurzona.

- Tak w ogóle dostałam twój miód. *Wielkie* dzięki.

- Myślę, iż oboje wiemy, że nie był przeznaczony dla ciebie, ale wyjaśnię sytuację, ponieważ nie potrafię stwierdzić czy udajesz idiotkę czy *rzeczywiście* nią jesteś. Miód był dla twojego wujka.

- Chyba mu się nie spodobał.

- Oj, nie? – Felice wykrzywił twarz w najbardziej wymyślnym uśmiechu, jaki kiedykolwiek widziałam. Był równie przerażający, co nieszczerzy.

- Roztrzaskał go – powiedziałam, przybierając poważny ton. Zanikało we mnie majaczące pragnienie, żeby się wymądrzać. Wracił mi zdrowy rozsądek.

- Zdarza się. – Felice machnął lekceważąco ręką. – Wiem, nie powinno się dawać cynku swoim ofiarom, ale nic nie poradzę na mój talent do ostentacyjności. I muszę ci powiedzieć, że sam przygotowuję miód i jest wręcz przepyszny, nie żeby ktokolwiek chciał go próbować.

- Ja próbowałam. Dziwnie smakował – skłamałam.

- To niesamowicie niegrzeczne. – Felice zrobił do mnie minę, po czym kontynuował. – Jednak spełnia swoje zadanie. Sądzę, że każdy zasługuje na uczciwe ostrzeżenie, żeby pozabawić wszystkie sprawy.

- Zanim ich zabijesz? – zapytałam. Choć już to wiedziałam chciałam, żeby powiedział to na głos, by mój nieprzytomny mózg w końcu zaczął działać.

- Oczywiście. – Felice uśmiechnął się, odsłaniając dwa długie rzędy ostrych zębów. – Z przewagą czy bez ostatecznie zawsze się spotykamy. I śmiem powiedzieć, że czasem pościg jest w tym wszystkim najlepszy.

Po moim kręgosłupie przeszedł dreszcz. Nareszcie, i to dość nieprzyjemnie, dotarła do mnie pilność sytuacji; musiałam myśleć o innych ludziach, nie tylko o sobie.

- Dlaczego wysłałeś mojemu wujkowi Prezent Śmierci? – Załamał mi się głos i załała mnie fala strachu. – Jeżeli to ma coś wspólnego z zemstą za uczynek mojego ojca, on nie chciał tego zrobić.

Felice podniósł palec, żeby mnie uciszyć.

- Śmierć mego ukochanego brata Angelo z rąk twojego ojca była, oczywiście, godna pożałowania, ale nie wierzę, żeby miał on złe zamiary.

Opuściłam ramiona.

- To dobrze.

- Jednakże nie mówię, że nie chodzi tu o zemstę. Ponieważ – powiedział, podnosząc się do pełnego wzrostu – chodzi.

Wysoki wzrost Felicego nagle wydawał się o wiele bardziej onieśmielający. Zaczął przemierzać pokój i miałam wrażenie, że ciągle to robił – zastraszał teatralnością. Zapewne posiadał specjalny garnitur na każdą okazję. Jego szalik trzepotał za nim, kiedy sunął w tę i z powrotem.

- Myślę, że rozsądnie byłoby teraz stwierdzić, iż jesteś nieświadoma, że twój wuj Jack Gracewell jest kluczowym członkiem największego kartelu narkotykowego na środkowym zachodzie. Gang Żłoty Trójkąt, jak sami siebie nazywają. Czy mylę się w tym przypuszczeniu?

Gapiałam się na niego w osłupieniu. To nie mogła być prawda. To musiała być część jego przedstawienia.

- Ostatnio, między innymi, zaczęli dilować hybrydowym narkotykiem wywołującym skutki podobne do ekstremalnego upojenia alkoholowego i może prowadzić do szerokiego wachlarza niefortunnych następstw w tym paranoję, utratę pamięci, paraliż i moje *najmniej* ulubione, śmierć. – Potrząsnął głową na świat na zewnątrz, jak gdyby wszystkie ptaki i kwiaty zawiodły go jednocześnie.

- Nie – wykrztusiłam tylko. Zawodziły mnie wszystkie słowa. Byłam oniemiała i Felice doskonale to widział; co gorsza on się tym żywił, jak dobrze ubrany pasożyt.

Znów zaczął dreptać.

- Oczywiście obserwowaliśmy twojego wuja i jego niezbyt poważanych partnerów w interesach od niemal czterech lat... od czasu, kiedy zaczął wykorzystywać restaurację, twoją przytulną rodzinną działalność, do szmuglowania narkotyków do dostaw.

- Co? – Wróciłam gwałtownie na ziemię. – Jack wykorzystywał restaurację mojego ojca do handlowania narkotykami?

- Cóż, myślałem, że łatwo będzie połączyć te dwie kropki, ale może jestem zbyt zaznajomiony z sytuacją, więc mam ułatwione zadanie. – Felice przykucnął, żeby się do mnie zbliżyć. – Początkowo po tej stronie Atlantyku działało tylko trzech kluczowych członków Złotego Trójkąta, każdy ulokował się w poszczególnych ważnych punktach środkowego zachodu; a kiedy nakreślisz sobie te punkty na mapie tworzą idealny trójkąt – wyrysował w powietrzu trójkąt – nielegalnie zarobionego zysku.

Usłyszałam bzyczenie pszczoły niebezpiecznie blisko ucha i odruchowo odrzuciłam głowę.

- Ostrożnie – ostrzegł Felice. Znowu się podniósł. – Jako boss Falconów mój brat Angelo był głównym odpowiedzialnym za zakończenie tego łańcucha nielegalnych działalności. To był nie byle jaki wyczyn, ale mieliśmy takie powiedzenie: „Sokół nie poluje na muchy”. Razem mieliśmy zmienić oblicze środkowozachodniego, narkotykowego świata przestępczego.

Ruchy Felicego były płynne, kiedy trzymał jedną rękę za plecami, jak gdyby wybrał się na wieczorny spacer cichą ulicą.

- Mojemu bratu udało się skoordynować stosunkowo szybki upadek dwóch ojców założycieli Złotego gangu, nie wspominając o kilku kluczowych członkach ich grup. – Rozszerzył blade oczy i spojrzał w sufit, jakby przemawiał do kogoś tam na górze. – I że tak powiem, moja rodzina *dość* ładnie ich załatwiła, ale nie chciałbym cię urazić, Persefono, więc nie będę wdawał się w szczegóły.

Przypomniałam sobie nagle artykuł w gazecie. Była tam wzmianka o gangu Złotego Trójkąta. Angelo Falcone był podejrzany o ich zamordowanie – ich *brutalne* zamordowanie – ale nie zostały mu postawione żadne zarzuty. Nie wiedziałam czy potrafiłam w to uwierzyć, ale zanim zdążyłabym się powstrzymać powiedziałam:

- I Jack był trzeci.

- I Jack Gracewell był nieuchwytnym trzecim punktem na wspomnianym trójkącie – potwierdził Felice z nagle ponurą miną. Wyłamał sobie knykcie jeden po drugim i zauważyłam, że były tak bardzo pokłute jak jego twarz. – Panno Gracewell, jeszcze nigdy nie spotkałem bardziej szczwanej osoby bez skrupułów niż twój wujek.

„*Ja też*” uświadomiłam sobie, czując mdłości. Jeżeli wszystko, co powiedział Felice było prawdą w ogóle nie znałam mojego wujka. Pewnie, wiedziałam, że Jack był zdolny do niestosownego zachowania: pił za dużo, był w gorącej wodzie kąpany i miał skłonność do tymczasowego znikania. Ale te oskarżenia to już całkiem coś innego.

- Prawie to zrobiliśmy, wiesz... wytluklibyśmy ich wszystkich... i to byłby koniec, ale oczywiście stało się inaczej. Ponieważ tamtej pamiętnej walentynkowej nocy Angelo wpadł na złego brata i wtedy wszystko zmieniło się w ułamku sekundy.

Żółć podeszła mi do gardła. Pomyślałam o moim samotnym ojcu w ciemności przed knajpą i jaki musiał być przerażony, kiedy podbiegł do niego z krzykiem Angelo Falcone. Nie miał pojęcia, kto na niego nacierał. Nie mógł. Nigdy nie wmieszałby się w coś takiego. Prawda? Zaciśnęłam pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk. Ilu ludzi w moim życiu nie było tymi, za kogo się podawali?

- Nie wiedziałem, że Jack miał brata, który był do niego *tak bardzo* podobny do czasu, kiedy ujrzałem jak postrzelił *mojego* brata. Okropne rozeznanie, prawda? Wiedz, że po tym niefortunnym porozumieniu poleciało wiele głów. – Felice pozwolił sobie na przelotny uśmiech, dodając: - Dosłownie.

- Byłeś przy tym?

Westchnął i jego brawura zmaląła.

- Było ciemno i Angelo zbliżył się do złego Gracewella. Plan był taki, że mój brat obezwładni Jacka i zaciągnie do alejki za restauracją, żebym zastrzelił go w odosobnieniu – taka była moja osobista prośba, widzisz – ale nie doszliśmy tak daleko, a to przynajmniej wiesz.

Wzdrygnęłam się na myśl, że mógłby zastrzelić Jacka.

Felice pokiwał mi palcem, jak metronom, aż chciałam go wyrwać i odrzucić mu w twarz.

- Nie możesz określać mnie potworem. To Jack *wciąż* ma swój wkład w najgorszych stronach społeczeństwa. I to *Jack* doprowadził do tak niefortunnej sytuacji twojego ojca. Gdybym miał kiedykolwiek handlować narkotykami, czego *oczywiście* nigdy nie zrobię, na pewno nie przechowywałbym ich w restauracji rodziny mojego brata.

- Jack nie interesuje się tymi rzeczami. – Powątpienie sprawiło, że moje słowa były mało przekonujące. Wypadły z moich ust słabe i wymuszone. – Mój ojciec nigdy by mu na to nie pozwolił. Nie wierzę ci. – Gdybym mogła zaplotłabym ramiona i wypadła z pokoju. Nie przez wściekłość, ale dlatego, że bałam się prawdy i tego, co znaczyła dla mojego rozumienia rodziny, prawości i zła.

- Cóż, na szczęście dla mnie nie muszę się martwić czy wierzysz mi, czy nie. To nie zmienia faktów.

Jednak im więcej o tym myślałam, tym bardziej skłaniałam się ku jego wersji wydarzeń. Mimo wszystko dziwna była myśl, że Angelo Falcone przyczaiłby się nieuzbrojony przy małej podmiejskiej knajpie w środku nocy. A jeszcze dziwniejsze były tajemnicze interesy Jacka w mieście. I pieniądze, które zawsze miał, luksusowe samochody i piękne garnitury. Było w nim coś dziwnego: coś, co sprawiało, że moja matka trzymała go na dystans, coś, co sprawiało, że nie potrafił się ustatkować. No i ta jego zacieka nienawiść do Falconów. Im bardziej sobie to wszystko układałam, tym mniej absurdalnie to wszystko brzmiało.

- Więc jeśli to prawda... - zaczęłam.

- To jest prawda – poprawił mnie Felice.

- No to dlaczego tutaj jestem, jeśli nie chodzi o mojego ojca? Nie zrobiłam nic złego.

- Po niefortunnej śmierci mojego drogiego brata działalność Jacka doznała tak znacznego upadku, iż sądziliśmy, że Złoty Trójkąt przestał istnieć. Oczywiście zamierzaliśmy dokończyć, co z nim zaczęliśmy... po odpowiedniej żałobie. Przyznaję, że śmierć Angelo zebrała w nas wszystkich obfite żniwo, szczególnie w chłopcach. Gdy jednak odkryliśmy, że mieliśmy złe informacje i Jack *przewodzi* całym gangiem z miasta zorientowaliśmy się, że będziemy musieli się z nim uporać prędzej niż później. Załatwiliśmy sobie posiadłość w Cedar Hill i stamtąd zabijaliśmy kluczowych współpracowników twojego wuja, jeden po drugim.

Czy to tłumaczyło utopionego dostawcę... czy Luis też miał w tym swój udział? I wszystkie inne tajemnicze zaginięcia, o których tak chętnie wspominała pani Bailey... te, które tak szybko zlekceważyłam? Przez cały ten czas zabijali ludzi i tuż pod moim nosem.

- To straszne – powiedziała oszołomiona.

- Konieczne – poprawił Felice. – A kiedy Jack dowodzi, że jest ostatnim kawałkiem układanki – i osłabionym bez swoich najbardziej zaufanych popleczników – musimy wykończyć go szybciej niż później zanim zdąży się przegrupować. To nareszcie musi się zakończyć tak jak było w planach mojego brata.

Spanikowałam na myśl, co zamierzają zrobić Jackowi, zastanawiając się ilu jego „współpracowników” zostało zabitych w ciągu minionych miesięcy i starając się nie myśleć o tym, którzy doznali śmierci z pistoletu Nico.

- Więc go zabijecie.

- Tak. – Felice usadowił się powoli w fotelu, jakby miały mu się połamać kości, gdyby nie zachował ostrożności. – I tutaj, uroczą *Persefono*, właśnie wkraczasz ty.

- To *nie* jest moje imię. – Najeżyłam się.

- Nie rozumiem dlaczego postanowiłaś je odrzucić. – Zamilkł, jakby spodziewał się, że usprawiedliwię coś, co wydawało się dla mnie teraz tak nieznośnie trywialne. Kiedy nie odpowiedziałam, kontynuował z oczywistym zdumieniem. – Dlaczego nie chciałybyś utożsamiać się z majestatyczną i piękną królową Podziemia, cudowną i diabelską Boginią Śmierci? Sophie jest taka *zwyczajna* w porównaniu.

- Naprawdę oczekujesz odpowiedzi?

- Śmieszy mnie znaczenie takiego imienia. Znalazłaś nawet swojego Hadesa. – Uśmiechnął się kpiąco i miałam wrażenie, że oczekiwał, iż będę pod wrażeniem jego wiedzy mitologii greckiej. Nie byłam.

Gdy dalej nie odpowiadałam, mówił dalej.

- To Dominico odkrył twoją tożsamość, kiedy był z tą banalną kelnerką Brytyjką, próbując zebrać informacje o Jacku. Gdy Nicoli zorientował się, że faktycznie jesteś *Persefoną* Gracewell próbował się od ciebie odsunąć, ale było za późno. Niespodziewanie stałaś się najrealniejszym sposobem na doprowadzenie nas do naszego celu w czasie, kiedy kończyła nam się cierpliwość.

Pomyślałam o Nico i zmarszczyłam brwi. Przez cały ten czas walczył ze swoimi pragnieniami dla mojego bezpieczeństwa i przegrywał. I kłamał.

- Ale ty nie dostrzegałaś zagrożenia, prawda? Ponieważ widzisz tylko to, co chcesz widzieć i jesteś ślepa na wszystko inne.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Nie jestem na nic ślepa. – *Poza sekretnym życiem mojego wujka, jako trzonu świata narkotykowego. I sekretnym życiem zabójcy chłopaka, który mi się podobał.*

- Jasne, jasne – odparł lekceważąco Felice. – Co mógłby o tym wiedzieć taki stary głupiec jak ja? Nie mam wątpliwości, że jesteś idealnie zakochana i z *miłością* policzyłaś wszystkie nacięcia na jego strzelającej dłoni. – Łypnęła na mnie i nienawidziłam go za to; ale głównie nienawidziłam go, ponieważ miał rację. Nie pogodziłam się z tą częścią Nico; próbowałam ją zignorować. A nawet usprawiedliwić.

- A więc widzisz – mruzczał dalej Felice – kiedy Jack uciekł, jak idiota zostawił tutaj *ciebie*, tą samą rzecz, która spowoduje jego zgubę. Spodziewaliśmy się, że go do nas doprowadzisz.

- Jednakże, ponieważ twój wuj jest mądrzejszy od przeciętnego leżaka i w niewytłumaczalny sposób udawało mu się nas wyprzedzać, musimy przejść do bardziej improwizowanego planu, w którym odgrywasz rolę *przynęty*. – Klasnął w ręce. – Jeżeli Jack nie stawi się przed nami dziś przed północą w opuszczonym magazynie części samochodowych w Hegewisch, sprawy obiorą bardzo niefortunną kolej.

- Zabijecie mnie? – zapytałam, czując całkowitą pustkę. Czy to naprawdę tak się skończy? Wpadałam w tunel kłamstw i teraz miałam pistolet przy głowie?

Felice patrzył na mnie beznamiętnie.

- Nie podoba mi się pomysł zabicia nastolatki, ale myślę, że będziesz musiała zapytać kogoś lepiej wykwalifikowanego do odpowiedzi, Persefono.

- Na przykład kogo?

Felice znowu powstał.

- Naszego bossa.

Otworzyłam szeroko usta.

- Ty nie jesteś bossem?

- Ja? – Po jego twarzy przemknął cień, ale nim zdążyłabym się na nim skupić rozweselił się, przypominając postać z dziecięcej kreskówki. – Nie jestem. Ale dziękuję za takie przypuszczenie. Schlebiasz mi.

- A więc *kim* jesteś?

- Ja? Prostym pszczelarzem. – Gdy to powiedział jedna z jego pszczół wleciała w moje pole widzenia, zatrzymując się kilka centymetrów od mojej twarzy, jakby ją do tego zaprogramował.

- I mordercą – przypomniałam mu.

- Czuję, że nie możemy być określani tylko jednym.

- Chyba, że jest się zabójcą. Wtedy stajesz się tylko tym.

- Może powinnaś powiedzieć to samo ojcu. Albo swojemu przystojnemu Hadesowi pomiędzy pocałunkami.

Gdybym mogła wtedy zeskoczyć z kanapy i przeorać mu twarz, to bym to zrobiła.

- Zresztą – ciągnął w swój protekcyjny sposób – jestem jedynie *consigliere*³ Falconów. Oferuję porady, które zwykle zostają zignorowane. Znajdę kogoś lepszego, kto odpowie na twoje pytanie. Szczerze mówiąc zmęczyłem się twoim nastoletnim sarkazmem.

³ *Consigliere* – doradca w strukturze mafijnej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

BOSS

Najpierw go usłyszałam – zadudniły deski podłogowe, kiedy wjechał w moje pole widzenia, dotykając leniwie obracających się kół. Obrócił się serią wprawnych gestów i stanął ze mną twarzą w twarz. Jego sylwetka była wąska, ale nieprzygarbiona, jak ją zapamiętałam; był ubrany w czarne spodnie i świeżo wyprasowaną czarną koszulę naciągającą się na jego barkach. Okazja? Moja śmierć.

Wysunął lewą nogę w moją stronę, muskając nią podłogę. Prawa noga, która była koścista i wykręcona w biodrze opierała się o lewą, więc wyglądał, jakby miał wykręcony tułów. Oderwał ręce od kół i zaplótł palce na kolanach. Za pierwszym razem, kiedy go widziałam siedział za stołem, wyciągając emocje ze swych nieobecnych tematów i pokazując mi ołówkami całkiem inny świat. Teraz obserwował mnie tym delikatnym lazurowym spojrzeniem, zaciskając usta w twardą linię.

- Chciałaś się ze mną widzieć? – Ten melodyjny głos. Nie potrafiłam uwierzyć, że może władać całą zgrają zabójców.

- Valentino – powiedziałałam zaskakująco opanowanym głosem. Odezwałam się, jakbym znała go od lat, ale jego wyraz twarzy nie uległ zmianie. Był nieczytelny. – Proszę, powiedz, że to nieprawda.

Podciągnął się w wózku i nagle był wyższy i szerszy w barach. Zdałam sobie sprawę ze swojej głupoty, że brałam go za słabego.

- Co ma być nieprawdą? – mruknął.

- Kontrolujesz całą tą rzecz? – zapytałam.

Uniósł kruczoczarne brwi.

- Mówiąc „rzecz” masz na myśli „rodzinę”?

- Tak.

- Czy tak trudno w to uwierzyć? – odparował.

Pochyliłam się do przodu, jakby próbując przekroczyć dzielącą nas niewidzialną ścianę.

- Tak. Trudno w to uwierzyć.

Zastukał palcem w prawe koło wózka.

- Przez to? – W jego odpowiedzi słychać było cień goryczy.
- Nie. Przez to, że wydawałeś się taki... wrażliwy.
- Jestem wrażliwy – odpowiedział. – To jedna z moich bardziej rozwiniętych cech.
- Ale zabijasz ludzi. – Mój głos był niezdecydowany.

Raz jeszcze stuknął w wózek w wyjaśnieniu.

- *Rozkazuję* zabijać ludzi.
- To wcale nie lepsze.
- Zło konieczne dla większego dobra – odparł spokojnie. – Jest jak jest.
- Naprawdę zamierzacie mnie zabić? – Mój głos się załamał, a po policzkach spłynął strumień łez na szyję, mocząc ją niekomfortowo. Jednak nie opuściłam brody. Będę dzielna.

Valentino nie odpowiedział od razu. Przeniósł wzrok za okno.

- Tak.
- Nawet, jeśli Jack się pokaże? – Nie mogłam uwierzyć, o co pytałam; nie powinnam w ogóle rozważać możliwości, że ktoś odda życie za moje, ale okazuje się, że mój instynkt przetrwania był okrutniejszy ode mnie.

Valentino odwrócił się z powrotem do mnie. Uśmiechnął się leciutko.

- Nawet wtedy.
- Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast słów wydobył się ze mnie zduszony szloch. Cała dygocząc schowałam twarz w związanych rękach i płakałam ciężko, próbując pozbyć się wszystkiego naraz. Musiałam wziąć się w garść, postarać się znaleźć z tego jakieś wyjście, ale trzęsły mi się ramiona i dyszałam głośno.

- Jeżeli pozwolisz mi wytłumaczyć – powiedział. Nie chciałam na niego patrzeć, ale jego ton był całkowicie niewzruszony moim emocjonalnym załamaniem. – Pragnę być tylko sprawiedliwy w roli, którą dostałem. Staram się być tak logiczny, jak mogę, kiedy podejmuję decyzje na temat życia i śmierci.

- Ale *nie* jesteś sprawiedliwy – zapłakałam. – Nic z tego nie jest sprawiedliwe. Nie jestem dilerką! Jestem zwykłą dziewczyną!

- Dziewczyną Gracewell. I obawiam się, że niedokończoną sprawą.

Pozwolił mi płakać w milczeniu i odezwał się dopiero, kiedy znowu podniosłam głowę.

- Jack jest nam dłużny przez swoją dochodową działalność narkotykową i jej niszczące, daleko idące skutki. To jest oczywiste. Ale twój ojciec jest nam dłużny przez to, co zrobił mojemu ojcu.

- Twój ojciec próbował go zabić! – krzyknęłam. Drżałam tak mocno, iż bałam się, że zaraz wybuchnę. – Oczywiście, że się bronił! Wszystko to było wypadkiem. Nawet Felice przyznaje, że mój ojciec nie zrobił tego celowo!

- Skąd wiesz? – Beznamiętna natura odpowiedzi Valentino zbiła mnie z tropu. Przez nedorzeczną chwilę czułam się głupio, że zareagowałam tak gwałtownie, kiedy on zachowywał się, jakby zamawiał pizzę na kolację.

- Co masz na myśli? – wydukałam drżąco.

- Skąd wiesz, że twój ojciec był niewinny? – zapytał, obserwując moją reakcję. – Skąd wiesz, że twój wuj go nie wtajemniczył? Że nie był przygotowany do zrobienia czegoś nieprawdopodobnego, by ochronić swoją rodzinę?

- Ponieważ... - zamilkłam.

Valentino zmrużył oczy i niespodziewanie zrobiło mi się zimniej.

- Ponieważ mój ojciec nigdy nie skrzywdziłby nikogo naumyślnie – rzekłam z odnowioną pewnością siebie. Co do tego byłam przekonana. – Nie jest zdolny do takiego czynu.

- Czy przed dniem dzisiejszym sądziłaś, że twój wujek jest zdolny do przewożenia całym kartelem narkotykowym?

Zawahałam się.

- Czy przed tą chwilą sądziłaś, że jestem zdolny nadzorować dynastią zabójców?

Odwróciłam od niego wzrok, ale on nie ustępował.

- Czy kiedy Nico pocałował cię po raz pierwszy sądziłaś, że jest zdolny utopić człowieka w jego własnej wannie?

- Przestań – poprosiłam, czując obezwładniające pragnienie rzygnięcia. – Po prostu przestań.

- Maski – rzekł Valentino. – Popatrz, co się dzieje, kiedy je ściągamy.

- Koszmar. – Znowu schowałam twarz w dłoniach, żeby nie miał satysfakcji patrzenia, jak wypalają mnie jego słowa.

- Absolutny chaos – przypomniał spokojnie, jakby właśnie nie zniszczył reputacji mojej rodziny. – Ponieważ to głównie moja decyzja, myślę, że kiedy pojmiemy twojego

wuja w magazynie, właściwym postępowaniem będzie wyrównanie długu krwi twojego ojca, raz na zawsze.

Podniosłam głowę, czując mdłości i zawroty głowy.

- Więc wykorzystasz mnie, żeby go zwabić, a potem i tak zabijesz?

Valentino wzruszył ramionami.

- To najlepszy plan.

Pomyślałam o mojej matce i Millie, i musiałam zdusić w sobie szloch. Mama tego nie przeżyje, już teraz ledwo się trzymała. A Millie... zrezygnowała ze wszystkich przyjaciół, żeby pozostać przy mnie po tym jak mój tata poszedł za kraty. Nie miała już nikogo innego. Miałyśmy tylko siebie.

Gdy Valentino znowu zabrał głos był chłodny, chociaż pozostała w nim melodyjna nuta, nadając mu piękne brzmienie, kiedy zadawał mi cios za ciosem.

- Nicoli cię nie uratuje, Sophie. Nie wie o tym, co się dzieje.

Nie odpowiedziałam. Siedziałam bez ruchu, czując jak twardnieje we mnie pustka.

- Chcesz chusteczkę? – Wyciągnął jedwabisty czerwony materiał z kieszeni koszuli. W rogu były wyszyte czarną nicią jego inicjały.

Zignorowałam ten gest.

- Myślałam, że mnie polubiłeś. Myślałam, że się rozumieliśmy.

- Lubię cię. – Schował chustkę niezrażony moim odrzuceniem. – Gdyby okoliczności były inne myśle, że zostalibyśmy przyjaciółmi.

- Ale jesteś nastawiony, żeby mnie zabić?

- Ojciec mianował mnie do tej pozycji, ponieważ zawsze byłem mistrzem w oddzielaniu własnych uczuć od misji Falconów – powiedział rzeczowo. – Mam umiejętność rozdzielania.

- Winszuję – burknęłam.

- Nie wiem, co ci opowiedział o mnie Nico. – Jego lewa noga zadrżała w nagłym skurczu mięśni. – Ale Luca i ja zostaliśmy mianowani razem, wiedziałaś? Dwóch bossów. Nikt nigdy nie słyszał o takiej decyzji w przestępczych kręgach, ale dla naszej rodziny to było sensowne. Od urodzenia robiliśmy wszystko razem, byliśmy swoimi połówkami. Ja pozostawałbym spokojny i skoncentrowany, podejmując decyzje z daleka, a on zapewniałby, że zostałyby one skutecznie zrealizowane. Taki był zamysł. Razem bylibyśmy bossem doskonałym: sprawiedliwym i skutecznym. Odsuniętym, ale jednocześnie całkowicie zaangażowanym.

- Ale on nie jest bossem, tylko zastępcą – sprzeciwiłam się bezsensownie.

Jeżeli Valentino był zaskoczony moją wiedzą o ich infrastrukturze, nie pokazał tego.

- Racja. – Uśmiechnął się, ukazując odrobinę zębów. – Krótco po śmierci naszego ojca ustąpił mi miejsca. Odstąpił od swojej części w tej roli.

- Dlaczego? – patrzyłam zdziwiona. Jeżeli którykolwiek z pięciorga braci pasował do definicji bossa mafii, to Luca. Tak przynajmniej myślałam wcześniej.

Valentino podniósł ręce, pokazując pokój i wszystko, co się w nim znajdowało: ja, on, czarna skórzana kanapa, moja zbliżająca się śmierć.

- Być może przez to. Bardzo ciężko jest przełknąć takie manewry. – Umilkł na chwilę, rozmyślając nad czymś. – Albo – ciągnął – może czuł, że jest mi coś winien. – Od niechcenia machnął palcami w stronę okaleczonej nogi, ale przez jego twarz przeszedł całkiem inny wyraz. – Tak czy inaczej Luca i ja zawsze współdziałaliśmy w idealnej harmonii dopóki natrafiliśmy na tę sytuację. Oczywiście z Nico kłócę się cały czas, więc nic dziwnego, że musieliśmy zachować to w tajemnicy przed nim, ale pierwszy raz w życiu poróżniłem się zdaniem z moim bratem bliźniakiem. I jest dla mnie niepojęty fakt, że nie zgodziliśmy się, co do losu Gracewellówny, której nawet nie zna.

Poczułam niespodziewany ciężar na piersi.

- Ale to ja jestem bossem – oświadczył Valentino, a liryczna melodia jego głosu złagodziła prostolinijność tego stwierdzenia. Miałam wrażenie, że nie chciał, aby rozpalona we mnie iskierka nadziei nabrała mocy.

- Więc ostateczna decyzja zależy od ciebie – uświadomiłam sobie.

- Tak – potwierdził z powagą. – I Luca ją uszanuje.

I tak oto iskierka zgasła.

- Dostałeś wiadomość od mojego wujka? – Chciałabym móc zadzwonić do Jacka i powiedzieć mu, żeby darował sobie przychodzenie po mnie. Jeżeli i tak zamierzali mnie zabić, to będzie pułapka.

- Trudno przekonać barona narkotykowego – który jest samolubny z natury – żeby wymienił swoje życie za czyjeś inne, nawet jeśli ta druga osoba jest mu bardzo droga. Ale jestem pewien, że kiedy obejrzy nasze wideo to zrozumie rzeczywistość sytuacji.

- Jakie wideo?

Valentino opuścił głowę, odwracając się ode mnie.

- Bądź dzielna dla Calvino, to potraktuje cię łagodniej.

Opuścił pokój i znowu zostałam sama.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

WIDEO

Jakiś czas później usłyszałam za sobą skrzypnięcie drzwi i ciszę przerwał dźwięk ciężkich kroków. Pokój przekroczył łysy, surowo wyglądający mężczyzną z gęstym czarnym wąsem. Przypomniałam go sobie z tamtego dnia w restauracji... Calvino.

Zasiadł na zwolnionym fotelu Felicego, wykręcając kanciaste rysy twarzy, dopóki nie przypominały protetyki i wbił we mnie wzrok.

- Widziałam cię kilka tygodni temu w Eatery – powiedziałam z nadzieją, że rozmowa może zapobiec temu, co zamierzał mi zrobić. – Zabiłeś pszczołę.

Jego uśmiezek zamienił się w grymas.

- I wciąż za to płacę. – Głos miał niski i ochryply, i doszło do mnie – jakkolwiek absurdalnie – że byłby z niego dobry dziennikarz radiowy. Gdyby znudziło mu się zabijanie ludzi.

- Co mi zrobisz?

- W sumie to samo. – Jego oczy pociemniały, kiedy przeniósł je na drzwi za mną, jak znowu stanęły otworem.

Do Calvino podszedł chłopiec wyglądający na jakieś dwanaście lat, stając za nim i kładąc dłoń na jego ramieniu, jakby ustawiali się do jakiegoś dziwnego portretu rodzinnego. Chłopiec był najwyraźniej jego synem. Mieli takie same spiczaste podbródki wysunięte pod wąskimi, bladymi ustami i haczykowatymi nosami, które dominowały na ich twarzach. Ciemne oczy pod ociężałymi powiekami i, tak jak każdy Falcone, mieli oliwkową cerę.

Calvino pokazał na chłopca i ten wyciągnął komórkę – *moją komórkę* – ze swojej kieszeni.

- Hej! – krzyknęłam, zaskakując samą siebie. Obrócili się do mnie i identyczne wyrazy zdziwienia wydłużały im twarze. – To mój telefon, mały gnojku. Oddawaj.

- Nie – wysyczał chłopiec.

- CJ – powiedział do niego ostrzegawczo ojciec. – Powiedziałem, żebyś się do niej nie odzywał.

CJ ściągnął brwi.

- Powiedz, kiedy będziesz chciał zacząć nagrywać – powiedział do ojca, włączając kamerę w moim telefonie i flesz.

No jasne. Zamierzali wysłać filmik Jackowi z mojego własnego telefonu. Calvino wstał i podwinął rękawy koszuli, dopóki nie zobaczyłam na jego prawym bicepsie zaczątku tatuażu. Odruchowo przysunęłam się do oparcia kanapy i wzniosłam wyżej nogi przed zgarbioną sylwetką.

- Już? – CJ przeskakiwał z jednej nogi na drugą.

- Tak. – Calvino wyciągnął nóż z kieszeni i otworzył ostrze. Rozpoznałam w nim szczyryk Falconów – Nico posiadał identyczny.

- Czy on powinien na to patrzeć? – Wskazałam jego syna, kiedy ruszył w moją stronę. – To dzieciak.

Calvino uniósł krzaczaste brwi – idealnie pasowały do jego gąsienicowych wąsów.

- To Falcone.

Utrzymał zszokowaną minę przez całe pięć sekund, jakby pokazując, że bardzo go uraziło moje pytanie. Wykorzystałam ten czas na wiercenie na kanapie; podniosłam nogi tak, żeby blokowały resztę mojej klatki piersiowej i próbowałam przetoczyć się przez oparcie, kiedy wariat dzierżący sztylet i jego syn przysuwali się w moim kierunku.

- Chcesz dodać wprowadzenie? – zapytał jego syn.

Calvino zdawał się zdziwiony wyraźną pomysłowością CJ'a.

- Dobra myśl.

Na pokrytej trądzikiem twarzy chłopca pojawił się szeroki uśmiech.

Przycisnęłam się do kanapy za pomocą spętanych nóg, kiedy Calvino wbił we mnie beztrudne spojrzenie, jakby wiedział, że nieważne jak mocno będę walczyć, on będzie górą. Schował nóż i chwycił mnie za ramię. Jednym sztywnym pociągnięciem przefrunęłam z powrotem na środek kanapy. Potem przysunął się, żebyśmy oboje znaleźli się przed obiektywem telefonu. Zajął miejsce obok mnie i przyciągnął mnie za kołnierzyk koszulki, by CJ mógł zrobić przybliżenie.

Doleciał do mnie gryzący zapach płynu po goleniu. Z trwogą i niepohamowanym cieniem intrygi zauważyłam grubą białą bliznę w miejscu, gdzie kiedyś mogła się znajdować linia włosów Calvino. Załśniła pod lampą, gdy przechylił się do mnie, sprawiając, że czubek głowy przypominał pokrywkę.

- Jacku Gracewell – każda sylaba skrobała o jego gardło, jak stalowe pazury szatkujące bęben basowy – mam nadzieję, że to wideo zastanie cię poważnie niezdrowego.

CJ pokazał mu uniesiony kciuk zza komórki. Próbowałam odsunąć się od lśniącej głowy jego ojca, ale ścisnął mój kark tak mocno, że przeciął skórę paznokciami i pisnęłam z bólu.

- Jak widzisz mamy twoją ukochaną bratanicę, pannę Persefonę Gracewell. – Poglądził mnie po włosach jednym długim ruchem. Chciałam zabrać głowę, ale złapał mnie za szczękę i przysunął z powrotem, sprawiając, że wypadła z zawiasów z cichym *pop*. Zamknęłam oczy i próbowałam nie krzyknąć, kiedy wróciła na miejsce w jednym, pełnym bólu, kliknięciu.

- Jak już wiesz – mówił dalej do kamery, uspokajając moje młójące dłonie jednym twardym pacnięciem – nie byliśmy zadowoleni z naszej poprzedniej rozmowy i czujemy, że twoje wahanie musi doprowadzić do eskalacji z naszej strony.

Eskalacji? To słowo dźwięczało w mojej głowie jak alarm samochodowy.

Calvino złapał mnie za włosy i wplótł w nie palce, szarpiąc brutalnie. Zamachnęłam się na jego klatkę piersiową, uderzając najmocniej jak potrafiłam, ale odwrócił się ode mnie tak, że biłam powietrze.

- Proszę! – krzyknęłam.

Wciąż wykręcał palce, ciągnąc mnie tak mocno za włosy, iż miałam wrażenie, że chce mi je wyrwać.

- Masz czas do północy, żeby przyjść samemu i bez broni do opuszczonego magazynu na obrzeżach starego Hegewisch, gdzie porozmawiamy o warunkach twojej działalności i wypuszczeniu dziewczyny.

Zatem oszukiwali go podwójnie: co do jego własnego losu i mojego.

- Kłamliwe buce – warknęłam.

Calvino spoliczkował mnie. Uderzenie wycisnęło mi łzy z oczu. Rzucając się dziko walnęłam go w ramię; odskoczył i przeklął pod nosem. Wykorzystując chwilę jego rozproszenia sturlałam się z kanapy i podniosłam z trudem, podskakując do drzwi.

Calvino rzucił się do przodu i złapał mnie za barki, przyciągając do siebie i do tej przeklętej kanapy. Zakryłam twarz związanymi dłońmi, kiedy stał nade mną, oddychając nierówno przez nos. Pochylił się tak nisko, że czułam na włosach jego oddech, który zdmuchnął mi z czoła kosmyki, jak oderwał mi ręce od twarzy.

Uderzył wnętrzem dłoni w mój nos i moje górne zęby zostawiły swój odcisk na dolnej wardze. Z dziąseł wyciekł posmak soli i miedzi, mieszając się ze strumieniem krwi wylewającym się z nosa. Oddychałam chrapliwie, kiedy spłynęła po moich ustach i brodzie.

- Stop – błagałam. Zaczęłam wdrapywać się na oparcie kanapy, ale Calvino szarpnął mnie w dół. Moja głowa wylądowała na jego piersi z głuchym odgłosem i przytrzymał ją tam.

- Jeżeli nie przyjdiesz, Jack – podjął na nowo swoją psycho-narrację – zabijemy ją. A potem przyjdziemy po ciebie ze wszystkimi naszymi ludźmi i zawieszysz na suficie swojej restauracyjki. – Odepchnął mnie i opadłam na kanapę obolała i drżąca.

CJ podszedł do mnie tak blisko, że oddzielały nas ledwie centymetry i widziałam wszystkie ropiejące pryszcze na jego tłustej twarzy.

- Widzisz, do czego mnie zmuszasz, Gracewell? – Calvino zamilkł, jakby spodziewał się odpowiedzi Jacka. Ciszę wypełniał mój płacz. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki siebie nie usłyszałam. Pokazał CJ'owi, żeby wyłączył nagrywanie.

- Super! – zawołał jego syn. – Bardzo dobrze. – Jakby dostał szóstkę ze sprawdzianu, a nie wideo dokumentujące krzywdę bezbronnej siedemnastolatki.

Splunęłam krwią na jedwabną koszulę Calvino.

- Jesteś potworem!

Uniósł na mnie rękę i odsunęłam się od niej gwałtownie.

- Uważaj na język – ostrzegł – bo inaczej cię go pozbawię. – Po czym wstał i położył ciężką dłoń na ramieniu syna. – Pokaż film Felicemu i wyślij. Niedługo będzie jechał, żeby przygotować się na przyjazd Gracewella. Później przyjadę z dziewczyną.

- Czy ja też mogę? – zapytał podekscytowany CJ.

- Następnym razem.

Dobrze wiedzieć, że coś takiego zdarzało się regularnie w rodzinie Falconów.

Chłopiec wyszedł, zostawiając mnie samą z moim katem. Podniosłam się do pozycji siedzącej i przycisnęłam kończyny do ciała.

- Nic nie jest złamane – poinformował mnie Calvino w sposób sugerujący, że dramatyzowałam. Wrócił dumnym krokiem do fotela i rozparł się na nim, wzdychając głęboko.

Chciałam wykrzyknąć mu przekleństwa, ale moja energia wyparowywała z każdym wydechem. Wiedziałam, że muszę uciec, jeśli nie dla siebie, to dla matki, najlepszej przyjaciółki i ojca. I nawet dla Jacka. W głębi duszy nadal liczyłam na coś, co to wszystko wytłumaczy, coś co sprawi, że sytuacja nie będzie taka przerażająca.

Calvino obserwował mnie nieruchomym wzrokiem. Rozejrzałam się po pokoju. Mogłam wyskoczyć przez okno, ale pewnie złamałabym sobie nogę. No i trzeba pomyśleć o tych wszystkich pszczołach. Nawet, jeśli udałoby mi się jakimś sposobem

pozbyć tych opasek musiałam przebiec przez pole na tyłach albo zaryzykować przejściem przez front domu. Nie wiedziałam ile jest tutaj osób ani jak wielki był ten dom. Drzwi znajdowały się za mną. Jeżeli mi się poszczęści to może Calvino się znudzi i zaśnie. Na dworze było już ciemno.

Wciąż myślałam o swoich możliwościach, kiedy Calvino znowu wstał. Raz jeszcze podwinął sobie rękawy.

- Co robisz? – Próbowałam zeskoczyć z kanapy, ale potknęły mnie więzy na nogach.

- Nie skończyłem – odpowiedział Calvino, jak wylądowałam na podłodze i usiłowałam od niego odpełznąć, używając pośladków i nóg niczym gąsienica. – Musiałem tylko odpocząć.

Natarł na mnie. Odsuwałam się wściekle, aż uderzyłam głową o jedną ze ścian. Odchylił nogę, jakby zamierzał wykopać piłkę, ale w ostatniej chwili przewróciłam się w bok.

Podciągałam się na podłodze za pomocą rąk. Znow się zamachnął i tym razem kopnął mnie w prawy bok. Usłyszałam ciche chrupnięcie, kiedy zostałam pozbawiona powietrza. Zobaczyłam przed sobą gwiazdki, skrobałam paznokciami po twardej drewnianej podłodze. Gdzieś nade mną zabrzmiało ciężkie chrząknięcie i zwinęłam się w kłębek, gdy został mi wymierzony kolejny cios.

Miałam wrażenie, że w każdej chwili zwymiotuję. Przyciągnęłam kolana do piersi i skuliłam się w pozycji embrionalnej, kiedy z mojego ciała wydobywały się wrzaski niepoohamowanego bólu. Calvino zaczął okręcać moją sylwetkę. Tym razem zamiast mnie kopnąć przewrócił butem, tak że wylądowałam pod ciężarem własnego ciała. Zaczął przyciskać mi do pleców podeszwę buta.

- Przestań – wycharczałam. Usiłowałam przeczołgać się po podłodze, ale naparł na mnie mocniej, a po chwili usłyszałam nad sobą odgłos otwieranego scyzoryka.

- Błagam – wydyszałam, ale nie miałam pojęcia, do kogo. Byłam zdana tylko na siebie i musiałam coś zrobić zanim będzie za późno.

Znow mnie obrócił i leżałam pod przenikliwym światłem, skupiając zmrużone oczy na jego kanciastej twarzy.

Wywijał ostrzem, przejeżdżając kciukiem po jego krawędzi. Powoli dźwignęłam się na bok i odsunęłam nogi za siebie, zginając je lekko w kolanach. To była moja ostatnia nadzieja. Modliłam się, żeby się nie ruszył dopóki nie zamachnę się nimi do przodu i nie ruszył; był zbyt zajęty wpatrywaniem się miłośnie w nóż, który błyszczał nade mną.

To moja ostatnia szansa: przycisnęłam związane ręce do podłogi i wyrzuciłam przed siebie dolną część ciała z taką mocą, jaką potrafiłam z siebie wydobyć, podpierając się na

biodrze i łokciu. Moje nogi zatoczyły półkole i jak Calvino zauważył, co próbuję zrobić, ja już usuwałam mu grunt spod stóp.

Wydawałoby się, że wszystko poruszało się w zwolnionym tempie. Przechylił się do tyłu, tracąc swą olbrzymią przewagę wzrostu. Nóż wylądował z brzękiem obok mojego ramienia. Uderzył głową o ścianę za sobą z ogłuszającym huknięciem. Wygiął się i osunął na podłogę parę stóp ode mnie, a potem (poza jednym krótkim drgnięciem w nodze) całkowicie znieruchomiał.

Dźwignęłam się do pozycji pionowej, przygryzając mocno dolną wargę, żeby powstrzymać narastające we mnie krzyki agonii. Chwyciłam za nóż i zabrałam się za opaski na nogach, rozcinając je najszybciej jak mogłam i co kilka sekund spoglądałam na Calvino, by mieć pewność, że nie zamierza się na mnie rzucić i udusić. Miał zamknięte oczy, ale jego klatka piersiowa nadal się ruszała, więc wiedziałam, że nie mam dużo czasu. W końcu uwolniłam swoje kostki.

Zacisnęłam rękę na nożu i próbowałam ciąć do tyłu, żeby pozbyć się opasek na rękach, ale nie potrafiłam odnaleźć odpowiedniego kąta i każda próba była bezowocna. Ale zaszłam za daleko, żeby teraz odnieść porażkę, niech szlag weźmie związane nadgarstki. Trzymałam ostrze pomiędzy dłońmi i zaczęłam kołysać się w przód i w tył, dopóki nie poderwałam się do góry.

Kiedy wstałam, ból w klatce piersiowej rozlał się we mnie niczym płomień. Zgięłam się w pół, ściskając nóż w pięści. Wspierając się o ścianę, przesuwałam się po niej do przodu, jeden maleńki krok za drugim, pozwalając sobie jedynie na zduszony płacz. Drzwi były już na wyciągnięcie ręki. Za mną oddech Calvino robił się coraz bardziej wyrównany.

Powoli zaczęłam zsuwać się po ścianie. Przyciskałam skrepowane dłonie mocno do żeber, ale moje ciało traciło siły. Trzęsłam się z bólu i niespodziewanie ucieczka wydawała się czymś niemożliwym. Zaraz mnie złapie.

Nie mogłam podnieść głowy, nie widziałam już drzwi. Ale znajdowałam się wystarczająco blisko, żeby poczuć podmuch powietrza, kiedy stanęły przede mną otworem. Resztkami siły zmusiłam się do oderwania brody od piersi i spojrzałam przed siebie.

- Sophie?

Otworzyłam usta, żeby wrzasnąć, ale wyrzuciłam z siebie tylko zdyszane:

- Ty. Dupku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

UCIECZKA

Luca i ja wpatrywaliśmy się w siebie przez długi moment pełen udręki.

Patrzyłam na jego pochmurniejącą twarz. Znowu próbowałam się odezwać, ale nie potrafiłam. Wiedziałam, że stoję na krawędzi nieprzytomności; czułam jak moje żebra pulsują bólem i każdy następny oddech był trudniejszy od poprzedniego. Ale wiedziałam również, że jeśli poddam się ciemności pukającej do mojego umysłu, to być może już nigdy więcej się nie obudzę... ponieważ Luca był zastępcą Valentino i miał rozkazy, żeby wydobyć ze mnie dług krwi.

Rozluźniłam pięść i popchnęłam się do przodu, trzymając nóż tak daleko od ciała, jak tylko mogłam i podpierając się ramieniem o ścianę.

- Zejdź mi z drogi. – Próbowałam pchnąć go drugim ramieniem, wymachując szczyrykiem.

Luca objął moje plecy jedną ręką, a drugą wyrwał mi bez trudu nóż. Zamknął go i odrzucił na kanapę, daleko poza mój zasięg.

- Nie przejdiesz przeze mnie.

Podniosłam na niego wściekły wzrok. Napatrzyłam się na te przeszywające oczy wystarczająco, by starczyło mi na cały wiek.

- Puść mnie.

Nie puścił. Przeniósł wzrok na drugą stronę pokoju i spojrzał na leżącego płasko Calvino.

- Ty mu to zrobiłaś? – zapytał spokojnie.

Przytaknęłam.

Zmierzył mnie spojrzeniem, najpierw zaschniętą krew na brodzie, a potem tam, gdzie próbowałam trzymać się za żebra.

- *Cazzo* – mruknął, potrząsając głową.

Ugięły się pode mną nogi, ale złapał mnie i opuścił na podłogę, żebym usiadła. Chciałam mu powiedzieć, żeby mnie nie dotykał, ale nie powiedziałam, bo przez nanosekundę poczułam wytchnienie od bólu. W tej pozycji był niemal do zniesienia, ale wiedziałam, że nie mogłam w niej pozostać. Musiałam uciekać.

Nie odrywając ode mnie spojrzenia wyciągnął swój telefon, wbił w niego numer i podniósł do ucha.

- Wciąż tu jest. – Chwila ciszy, a potem: - Godzina. – Rozłączył się i schował komórkę z powrotem do kieszeni.

- Co będzie za godzinę? – Dyszałam z bólu.

Luca nie odpowiedział i skrzywiłam się, kiedy kolejna fala bólu przeszła moją pierś. Podniósł się i podszedł do miejsca, gdzie Calvino zaczynał wybudzać się na podłodze.

- *Svegliati* – powiedział, szturchając butem jego ramię. Calvino zajęczał, ale nie otworzył oczu. – Zabieram ją do magazynu – ciągnął Luca, jak gdyby mówienie do półprzytomnego, jęczącego mężczyzny było całkowicie normalne. – Postaram się nie powiedzieć wszystkim, że niewykształona, związana siedemnastolatka zdołała pozbawić cię przytomności. Tymczasem może zechcesz to odespać.

Noga Calvino zadrżała, kiedy Luca od niego odchodził.

- *Pezzo di merda* – mruknął, skupiając na mnie uwagę.

- Nigdzie z tobą nie idę – oznajmiłam.

- To nie twoja decyzja.

- Nico nigdy ci nie wybaczy. – Załamał mi się głos i przeklełam zdradzającą mnie słabość, ale Luca tego nie zauważył. Albo miał to gdzieś. Znów spojrzał na Calvino.

- Nicoli nie jest teraz moim zmartwieniem.

Wyjrzał zza drzwi do następnego pomieszczenia. Gdy odwrócił się ode mnie, stałam już, kołysząc się na nogach. Wystąpiłam chwiejnie do przodu.

Luca przekrzywił głowę.

- Idziesz ze mną, Sophie.

- Nie – wydyszałam, prąc do przodu, aż znowu staliśmy razem przy drzwiach. – Mówiłam już, że nie respektuję twojego autorytetu. – Prawie potknęłam się o próg.

Luca znowu mnie złapał. Próbowałam uderzyć go w ramię, ale osłabłam i chwycił mnie w pasie, przyciskając mnie do siebie tak, że wpół-latałam i wpół-stałam.

- To niczego nie zmienia.

Usiłowałam się uwolnić, ale nie chciał mnie puścić.

- Nienawidzę cię – wydusiłam.

- A więc to pewnie nie pomoże – odpowiedział. Nim zdążyłabym odpowiedzieć, wsunął jedno ramię pod moje nogi, a drugim przyciągnął moje ciało do swojego. Kopałam tak mocno jak potrafiłam, ale on trzymał mnie jeszcze mocniej, niemal miażdżąc w uścisku.

Przeniósł mnie przez drugi, większy pokój. Był to słabo oświetlony salon zaśmiecony pustymi pudełkami po pizzy i puszkami coli. Na wielkim, płaskim telewizorze rozgrywał się wyciszony turniej pokera przed szerokimi, skórzanymi fotelami.

Wciąż walczyłam, kiedy moje ciało zalewała agonia, dając sobie ujście w mrocznych, przenikliwych jękach.

- Cicho bądź – ostrzegł otwierając kolejne drzwi i wstąpiliśmy w mrok panujący na półpiętrze. Nie byłam cicho. Wrzeszczałam, aż nie załamał mi się głos i nie rozboleło gardło.

Dotarliśmy do szczytu krętych schodów, które rozchodziły się w dwie identyczne kondygnacje. Luca zbiegł szybko po marmurowych stopniach i znaleźliśmy się na dole, stojąc w wielkim okrągłym foyer z białą kamienną podłogą. Wiszący pośrodku szklany żyrandol rozświetlał mozaikę rodzinnego herbu Falconów wyłobionego w podłodze. Moje wymachy nogami stawały się coraz słabsze.

- Proszę – powiedziałam, wpatrując się w niego. Oparłam głowę na jego ramieniu, kiedy ogarnęło mnie zmęczenie. – Proszę, nie rób tego.

Luca zaciskał mocno usta, rozciągając słabą bliznę nad wargą. Nie patrzył na mnie.

Doszliśmy do drzwi wejściowych i wyszliśmy w noc. Luca przyspieszył do truchtu. Dom wznosił się za nami do ciemnego nieba; była to ogromna, dwupiętrowa rezydencja z białego kamienia. Pośrodku dach się zaokrąglął i wystawał od reszty domu podparty półkolistym rzędem kolumn.

Podjazd był strasznie długi i ciemny. Gdy nareszcie się zatrzymaliśmy, Luca oderwał mnie od swojego ciała i otworzył drzwi swojego SUVa, układając mnie na miejscu pasażera i zamykając mnie wewnątrz nim zdążyłabym się wyturlać. Wskoczył za kierownicę i odpalił silnik. Rozbudził się pod nas z pomrukiem. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał 22:04.

- Gdzie jedziemy? – Już wiedziałam. Chciałam tylko, żeby się do mnie odezwał, żeby uświadomił sobie, co robi. Nawet krzyki były lepsze od kamiennej ciszy rozciągającej się między nami. Cisza oznaczała, że za bardzo koncentrował się na swoim zadaniu i moje błagania na nic się nie zdawały.

Przez długi czas jechaliśmy w milczeniu, pędząc opuszczonymi drogami, których nie poznawałam, aż w końcu zaczął widnieć przed nami skraj cywilizacji. Próbowałam

zachować czujność, ale to traciłam, to odzyskiwałam przytomność, kiedy moje ciało cierpiało.

Próbowałam wszystkiego, żeby dotrzeć do Luki: płakałam, błagałam, krzyczałam, ale nie reagował. Ani razu na mnie nie spojrział. Patrzył przed siebie na drogę, zaciskając szczękę i trzymając kierownicę tak mocno, że zbieleły mu palce.

A kiedy zegar pokazał 22:57, niemal godzinę po opuszczeniu Lake Forest, zatrzymaliśmy się. Luca zjechał z autostrady i objechał małą stację benzynową. Zaparkował samochód i po raz pierwszy się do mnie odwrócił odkąd ruszyliśmy. Spojrzałam w jego bezdenne błękitne oczy i czekałam, kiedy wiercił się w miejscu. Wyciągnął coś z tylnej kieszeni i ścisnęło mnie w brzuchu ze strachu, jak nachylił się do mnie. Rzucił mi to na kolana i przez moment nie czułam bólu, tylko zdziwienie. To był pięćdziesięciodolarowy banknot.

Następnie przemówił cicho i szybko:

- Zabrałem cię z domu Felicego wbrew twojej woli. Gdy dojechaliśmy do miasta, zatrzymałem się na czerwonym świetle i uciekłaś. Wbiegłaś do sklepu na stacji benzynowej. Nie mogłem pójść za tobą, ponieważ w środku było za dużo ludzi. Nie mogłem zaryzykować, że wpadnę. Zadzwoiłaś po taksówkę. Wróciłaś do domu do swojej matki i natychmiast opuściłyście Cedar Hill.

Zaczęłam się trząść, najpierw ręce, potem cała reszta. Puszczal mnie wolno. Nie zamierzał mnie zabić.

- Co z moim wujkiem... - powiedziałam, czując łzy napływające do oczu.

Wyraz twarzy Luki był twardy, głos ponury.

- Nie wrócisz do domu do czasu pogrzebu wujka. Valentino nie będzie nas trzymał w Cedar Hill tylko dla ciebie. Nie spodoba mu się, że uciekłaś, ale przejdzie mu, kiedy zostanie spłacony dług Jacka Gracewella.

- Ale jeśli...

- Sophie – przerwał mi Luca. – Już nigdy więcej nie zobaczysz swojego wuja.

- Proszę – szepnęłam. – Proszę, musisz mu pomóc.

- Są pewne błędy, na które mogę sobie pozwolić – odpowiedział z opanowaniem. – A na niektóre nie.

- Masz na myśli, że zabiliby cię, gdybyś spróbował mu pomóc? Ale to twoja rodzina.

- Mam na myśli, że nie próbowałbym – powiedział wprost.

Przełknęłam słowa. Nie tylko Luca nie mógł pomóc Jackowi, wiedziałam, że by tego nie zrobił. Głęboko w sercu wierzył, że on powinien umrzeć i nic nie mogłam zrobić,

żeby to zmienić. Jak chłopak, który był wychowywany na przekonaniu, że źli ludzie są źli w całości mógłby zrozumieć ideę, że wewnątrz zła można odnaleźć dobro i, co ważniejsze, potencjał na dobro? Luca i jego rodzina patrzyli na świat poprzez czarnobiałe okulary.

Oglądając się szybko przez ramię Luca wyciągnął z kieszeni swój scyzoryk i przeciął opaskę na moich nadgarstkach. Patrzyłam jak opadają bezwładnie. Wcisnął mi do ręki uchwyt ostrza i zacisnął na nim moje palce.

- Ukradłaś mi nóż i zabrałaś ze sobą na wypadek, gdybyś musiała się bronić.

Spojrzałam na inskrypcję: *Gianluca, 20 marzec 1995*. Naprawdę dawał mi swój nóż, swój spersonalizowany nóż. A co więcej, ufał, że nie użyję go przeciwko niemu. Był zimny i nienaturalny w moich rękach, ale zatrzymałam go, wkładając do kieszeni spodenek razem z pięćdziesięciodolarówką.

- Dziękuję – powiedziałam, ponieważ nie stać mnie było na cokolwiek innego. Nie wiedziałam czy być wdzięczną, czy przerażoną. Byłam wyczerpana, odrętwiała i dygotałam. Ale on puszczał mnie wolno i nieważne, co jeszcze działo się wokół, to miało duże znaczenie. Sprzeciwiał się swojej rodzinie. Oddawał mi moje życie.

- Już więcej nas nie zobaczysz, Sophie. – W jego słowach słyszałam miażdżącą ostateczność, ale miał pusty wyraz twarzy. Był, jak zawsze, ostrożnie opanowany.

Nim zdążyłabym odpowiedzieć kliknęła klamka drzwi od strony pasażera i odwróciłam się, by ujrzeć tam Nico, który stał na małym parkingu za stacją benzynową i przytrzymał mi drzwi. Wsiadłam z samochodu. Spojrzeliśmy na siebie i widziałam w jego ciemnych oczach strzępy smutku.

Przyjrzał mi się uważnie – siniakom na twarzy i temu, jak trzymałam się za zębra. Zamknął oczy, wziął ostry wdech i mogłabym przysiąc, że w tej chwili nasze serce doznały małego pęknięcia.

- Przykro mi – powiedział, znowu otwierając oczy.

Nie mogłam mu powiedzieć, że nic się nie stało, bo było mi do tego bardzo daleko. Ale zaoferowałam mu coś niewielkiego: łagodny, smutny uśmiech dla chłopca, który całował mnie tak, jak nikt inny. Miał w sobie dobroć, nawet jeśli zagrzebaną pod kodeksami, którymi żył.

Odsunęłam się od Nico i przeszedł obok, zajmując miejsce obok Luki w samochodzie. Sięgnął po moją rękę i podał mi ją. Trzymał ją ostrożnie, jakby była z porcelany i przejechał kciukiem po czerwonych śladach na nadgarstku. Następnie uniósł ją do ust i pocałował.

- *Riguardati* – mruknął przy mojej skórze.

A potem bracia Falcone odjechali, a ja kuliłam się na ziemi, płacząc tak mocno, że ledwo mogłam oddychać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

MAGAZYN

Im mocniej płakałam, tym więcej myślałam o wszystkim, co się wydarzyło i powoli czająca się we mnie determinacja stała się stabilniejsza niż cały przepływający przeze mnie ból. Jeżeli Falconowie tylko zabijali ludzi, to skąd mieli wiedzieć o korzyściach płynących z drugich szans i co one mogą zrobić dla drugiej osoby? Ile dobrego robili pozbawiając człowieka potencjału nim zdołałby odnaleźć w sobie dobro?

Luca i Nico może nie mieli wyboru, co do zabicia Jacka, ale *ja* miałam. Nie miałam jego numeru, żeby do niego przedzwonić – mniejsza o fakt, że moja komórka była teraz w posiadaniu trenującego-zbira CJ'a – ale wiedziałam dokąd się wybierają, miałam broń i pieniądze, by się tam dostać. Gdybym teraz porzuciła mojego wujka, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła i już zawsze myślałabym o Nico tylko z pogardą. Obiecałam mojemu ojcu, że będę opiekować się Jackiem i gdyby jego brat umarł w taki sposób, nigdy nie doszedłby do siebie. Już teraz ledwo się trzymał.

Ale dalej był czas, dalej mogłam coś zrobić. Mogłam stanąć pomiędzy moim wujkiem, a Nico, mogłam go powstrzymać przed zabiciem go. Być może nie zdołam przekonać Luki, ale wiedziałam, że Nico mnie wysłucha. Nie zrujnuje całkowicie mojej rodziny, nie po tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

Podniosłam się i postarałam się jak tylko mogłam, żeby oczyścić twarz, ścierając krew z brody i zgarniając włosy na oczy, żeby ukryć siniaki. Zmusiłam się do wyprostowania, weszłam do stacji benzynowej i rozmieniłam pięćdziesięciodolarowy banknot, żeby mieć jedną marną ćwierćdolarówkę, by zadzwonić po taksówkę. Zaczekałam na jej przyjazd w łazience, przyglądając się swojemu odbiciu. Odsunęłam z twarzy przyklepnięte włosy i zdusiłam przerażone sapnięcie. Pod opuchniętymi oczami zbierały się głębokie siniaki. Miałam przekrzywiony grzbiet nosa, a policzki i broda były czerwone po tym jak próbowałam zetrzeć krew. Chwyciłam za boki umywalki, czując powracając ból w żebrach. Parę tygodni temu moim największym problemem była dusząca lipcowa wilgotność. Jak do tego doszło?

Gdzieś po drodze zaszło obrzydliwe nieporozumienie. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Nie potrafiłam myśleć tylko o narkotykach, kasie albo mrocznych zakamarkach duszy mojego wujka, nie myśląc również o jego dobrych częściach – a wiedziałam, że takie istnieją. Mój wujek nie był jednowymiarowym draniem, za którego brali go Falconowie... jak mogli brać poprawkę na siebie, ale nie na niego? To było niesprawiedliwe. Nawet jeśli nie zdołam przekonać ich zanim będzie za późno, musiałam chociaż spróbować.

Dwadzieścia minut później i ku zdumieniu taksówkarza wysiadłam na pustej działce na peryferiach starego Hegewisch. Wzdłuż obrzeży nad przewróconymi wózkami zakupowymi unosiły się niczym duchy plastikowe torby. Stary magazyn z częściami samochodowymi znajdował się w połowie działki; olbrzymi, niezbyt ciekawy budynek, którego popękane betonowe mury były pokryte rdzą i gołębimi odchodami. Po obu jego stronach stały niepewnie pojemniki kontenerowe niczym ogromne LEGO w kolorach beżu, pomarańczy i błękitu. Na górze widniał przetarty znak z napisem CZĘŚCI SAMOCHODOWE U GREENE'A, który zwisał na ostatniej śrubie. Skierowałam się do niego dziarskim krokiem czując mniejszy strach niż powinnam. W tej chwili napędzała mnie wyłącznie adrenalina i odczuwałam swoje tętno w koniuszkach palców.

Przeszłam obok rzędu kontenerów z karbowanej stali, aż znalazłam alejkę ledwo szerszą od samochodu. Panowała w niej całkowita ciemność i była kompletnie schowana przed wjazdem na parking. Na końcu alejki skręciłam w prawo i natknęłam się na dwa puste samochody Falconów. Zatem Luca i Nico już tutaj byli, ale kto przyjechał drugim samochodem? Nie trzeba było się domyślać, dlaczego wybrali to miejsce. Mieli tajemne wejście i natychmiastową przewagę na przyjazd Jacka.

Na tyłach magazynu za kilkoma stosami drewnianych skrzynek kryły się małe drzwi. Były częściowo uchylone. Wyłamano w nich zamek, ale wątpiłam w konieczność tego czynu – same drzwi ledwo wisiały na zawiasach i pewnie mogłyby zostać wyważone przez dziecko.

Przeszłam na palcach pomiędzy skrzyniami i wsunęłam się przez szparę w drzwiach. Wewnątrz było przeważnie pusto; było tu zimno, brudno i mokro. W powietrzu wisiał zapach pleśni, a pod ścianami było ułożonych jeszcze więcej skrzynek wyjedzonych przez korniki, z których wypadały pasy plastikowych opakowań. Pojedyncza lampa na drucie oświetlała okrągłą przestrzeń na froncie, a bliżej środka magazynu zawieszono mniejszą żarówkę, gdzie stali Falconowie częściowo zasłonięci wieżą skrzynek sięgającą im do piersi. Luca kłócił się z Felice, podczas gdy Gino i Dom kręcili się za nimi, bawiąc się swoją bronią. Nico stał kilka metrów dalej, czekając przed wejściem. Gdybym tylko mogła zwrócić jego uwagę, to może wysłuchałby mnie nie będąc pod wpływem swoich braci.

Zaczęłam przesuwając się wzdłuż skraju magazynu, trzymając się za boki, jak schylałam się nisko za pudłami. Ze skrzyń wybiegały szczury i musiałam mocno ugryźć się w język, żeby powstrzymać się od pisku za każdym razem, kiedy jeden przebiegał obok moich tenisówek.

Przestałam się skradać i wsłuchałam się, kiedy dobiegł mnie odległy pomruk zbliżającego się samochodu.

W magazynie zapanowała śmiertelna cisza.

Silnik zgasł gdzieś przed frontowym wejściem. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi. *Jack*. W piersi waliło mi szybko i mocno serce. Nagle mogłam myśleć jedynie o minie mojego wujka, kiedy stanie przed pistoletami, które zostaną mu wymierzone w głowę.

Wtem zdarzyło się coś nieoczekiwanego: usłyszałam jeszcze jedno trzaśnięcie drzwi i kolejne, a potem czwarte i ostatnie. Jack nie przyjechał sam.

Nico wyjrzał zza drzwi wejściowych i szybko wycofał głowę.

- Ma towarzystwo – oświadczył reszcie, opuszczając swoje stanowisko i stanął obok Luki. Oboje wyglądali niespokojnie, ale nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie zdziwionego. Nie wiem, dlaczego ja byłam tak wstrząśnięta: wejście samemu do ciemnego magazynu było samobójstwem. Jack był mądrzejszy i, ku mojej rozpaczy, najwyraźniej był przyzwyczajony do tego świata i jego działań.

- Będą mieli gnaty – powiedział beztrąsko Dom.

- Klasyczny Gracewell – stwierdził Felice, śmiejąc się beznamiętnie. – W jego ugodach nigdy nie było żadnego honoru. Od początku wiedzieliśmy, że przyjdzie uzbrojony. Ilu ich jest?

- Jest za ciemno, nie widziałem. – Głos Nico był napięty z frustracji. Wyciągnął swój pistolet i sprawdził dwa razy czy jest naładowany. Jak miałam teraz do niego dotrzeć, skoro był tak blisko braci? Być może, jeśli dotrę do Jacka zanim tu wejdzie to może wcale nie będzie próbował wchodzić. Przez cały ten czas tak bardzo martwiłam się o wujka, że nie pomyślałam o możliwości, że on również przyjdzie przygotowany. A to znaczyło, że Nico i Luca nie byli wcale bezpieczniejsi od niego.

Głupia wendeta.

Coraz bardziej uważałam na to gdzie stawiam stopy, kiedy rozmieszczenie skrzyń stawało się rzadsze. Coraz trudniej było się za nimi chować i, kiedy każdy oddech był jak pchnięcie noża w moje żebra, wysiłek był dla mnie cięższy. Gdybym tylko przeszła przez te drzwi zanim ktokolwiek by tutaj wszedł... może byłabym w stanie powstrzymać masakrę.

- Wiedziałem, że zrobi się kłopot – marudził Felice. – A jak zobaczy, że nie mamy już dziewczyny to nie zawaha się wystrzelić pierwszy. Musimy być czujni... straciliśmy przewagę.

Cienie Doma i Gino mruknęły przytakująco. Głos Luki był zbyt niski, żeby go dosłyszeć, ale patrząc po tym jak gestykulował dłońmi zgadywałam, że udowadniał swą niewinność. Z mojego punktu obserwacyjnego wyglądało to przekonująco. Miałam nadzieję, że takie było.

- I nie jesteście nawet w pełni zabezpieczeni. – Felice wskazał na klatki piersiowe Luki i Nico. – Wyjdźcie tyłem nim zostanieie ranni. Valentino i bez tego jest

wystarczająco wściekły. Nie możemy pozwolić, żeby coś jeszcze poszło nie po naszej myśli.

Żaden się nie ruszył.

- Doprowadzimy to do końca – orzekł Luca.

Nico poruszył szyją, aż mu coś strzeliło. Spiął ramiona i zacisnął szczękę. Jeżeli to był jego tryb żołnierski to był cholernie skuteczny. A to spowodowało, że miałam ochotę wyrwać sobie włosy z głowy, ponieważ przygotowywał się do zabicia mojego wujka.

Falconowie przerwali rozmowę; nikt nie chciał się dalej sprzeczać. Zamilkli, każdy wwiercał spojrzenie w drzwi, czekając aż Jack wykona swój ruch. Wiedzieli, że tam jest; on wiedział, że oni są w środku. Obie strony miały wsparcie i obie strony, przypuszczalnie, miały broń. A ja utknęłam, klęcząc w szczurzym moczu za stosem spleśniałych skrzynek w magazynie na odludziu, zastanawiając się, kto z bliskich mi ludzi umrze pierwszy i czy przetrwam na tyle długo, żeby spróbować przebaczyć tym, którzy nie zginą. Jeśli to nie było dno, to drżałam na myśl, co nim było.

Usiłowałam prześlizgnąć się przez szparę pomiędzy dwiema przewróconymi skrzynkami, kiedy drzwi magazynu uchyliły się ze skrzypnięciem, najpierw jeden centymetr, potem drugi. Zamarłam. Falconowie wycelowali pistolety w wejście. Spóźniłam się. Zawiodłam.

- Halo – odezwał się cichy, nerwowy głos.

Całe moje ciało zamieniło się w lód.

Nikt jej nie odpowiedział.

- Halo? – powtórzyła to jedno słowo, które było jedynie niezdecydowanym brzmieniem w tej wielkiej, pustej przestrzeni.

Za jednym niosącym się echem kliknięciem odbezpieczyli swoje pistolety i wymierzili w moją matkę, która wchodziła powoli do magazynu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

WYBÓR

Jej włosy opadały na pobladłą twarz w zmierzwionych kosmykach i naciągnęła na pidżamę swój stary sweterek. Nadal miała na stopach kapcie.

Nagle miałam wrażenie, że wszystkie moje koszmary zderzyły się ze sobą i eksplodowały w jedno straszne widowisko. A to? *To* było moje dno.

Jeżeli sądziłam, że wiedziałam wcześniej, co to gniew, to ta emocja była czymś całkowicie innym. Oblał mnie żar i ledwo powstrzymywałam się od wrzasku. Co ten Jack sobie *wyobrażał?* Jak mógł to zrobić mojej *matce?* *Żonie* swojego brata? Było mi niedobrze i nagle nie wiedziałam już po czyjej jestem stronie. Luca miał rację; trzeba było wracać do domu. Trzeba było wyjechać z Cedar Hill razem z mamą. Powinnam była zapewnić jej bezpieczeństwo. Była jedyną osobą w mojej rodzinie, na której mogłam polegać i byłam idiotką, że myślałam inaczej.

Gdy mama ujrzała wycelowane w nią pistolety nabrała gwałtownie tchu. Podniosła rękę do buzi i cofnęła się chwiejnie.

Falconowie zawahali się, spoglądając na siebie, ale nie opuścili broni. Nie rozumiałam, jakim cudem widzieli w niej coś odrobinę groźnego. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ważyła czterdzieści pięć kilo i trzęsa się jak osika.

Ugryzłam się w rękę i próbowałam wziąć się w garść, ale wrzeszczałam w duchu. Przysunęłam się bliżej – tak blisko niej jak tylko mogłam, nie wysuwając się zza mniej licznych skrzynek. To i tak nie wystarczyło. Rozpaczliwie pragnęłam wyskoczyć z cienia i zabrać ją stąd, ale wiedziałam, że pewnie zostałamby postrzelona zanim bym do niej dotarła.

Moja matka wysunęła się znowu do przodu, obejmując się ramionami.

- Przyszłam po moją córkę. – Strach czynił jej głos nierozpoznawalnym. – Przyszłam po Sophie.

Luca opuścił pistolet.

- Co ten Gracewell sobie wyobraża, do cholery?

Reszta się nie ruszyła.

- Nie traćcie czujności – ostrzegł Felice. – To jest wyraźna pułapka.

- To jej matka – powiedział Nico, odwracając się, by splunąć na ziemię. – Wykorzystuje jej cholerną matkę.

- Na zewnątrz jest ich więcej – powiedział Felice. Zmrużył oczy i zaczął lustrować moją matkę, jakby upewniał się, że nie jest iluzją. – Nie wiem, co to ma być, ale jeśli Jack Gracewell uważa, że cię nie zastrzelimy, to jest w poważnym błędzie.

- Gdzie jest moja córka? – Mama była zdezorientowana. Przestała koncentrować się na pistoletach i obracała głową na boki, przeszukując gorączkowo magazyn. Szukała mnie. – Gdzie jest? – zapytała ze strachem w zdyszonym głosie. – Powiedział, że tu jest. Co żeście z nią zrobili?

- Gdzie jest w tej chwili Jack Gracewell? – Felice ruszył do niej, celując splotką w jej czoło. – Powiedz, co zamierza, bo inaczej zaraz cię zabiję.

- Przestań! – krzyknął Nico. Zagroził drogę wuja ramieniem i Felice zatrzymał się nagle.

- Nicoli – syknął. – Musisz nauczyć się wybierać swoje bitwy.

- Ona nie ma w tym udziału – odparł gniewnie.

- Oczywiście, że ma w tym udział, stoi tuż obok!

- Powiedzieliśmy, że koniec z niewinnymi. Jesteś tak samo zły, jak Valentino!

- Nonsens – rzucił oburzony Felice. – Oczywiście, że powinniśmy ją zabić.

Luca stanął pomiędzy Nico i Felice.

- Naprawdę pragniesz jeszcze bardziej zniszczyć tę rodzinę, Felice? – zapytał ostrożnie kontrolowanym głosem. – Nie tego chciałby mój ojciec i wszyscy doskonale o tym wiemy.

- To może nie trzeba było odrzucać jego ostatniego życzenia. Byłbyś teraz w zdecydowanie lepszej pozycji, żeby się skarżyć.

Wyraz twarzy Luki stał się odrobinę wrogi, ale głos pozostawał taki sam.

- Na pewno nie muszę ci przypominać, Felice, że nieważne jaka jest moja decyzja, nadal przewyższam cię stopniem.

Felice wykrzywił się i powoli opuścił pistolet. Do moich galaretowatych nóg wróciło czucie.

- S-Sophie? – Mama zrobiła krok do przodu, wyciągając szyję, żeby zajrzeć za znajdujące się przed nią skrzynie. Ale nie znajdzie mnie tam i im bardziej próbowała, tym trudniej było mi patrzeć na jej porażkę. Po jej policzkach spływały ciche łzy, lśniąc w półmroku. – Sophie?

- Gdzie jest Jack Gracewell? – powtórzył Felice. Był tak przejęty obserwowaniem jej, że nie usłyszał słabego odgłosu dochodzącego z tyłu magazynu. Nie usłyszał żaden z nich.

Podskoczyłam i poczułam przeszywający ból w żebrach, jakby niewidzialna ręka postanowiła zapleść w warkocz moje wnętrze. Opadłam na pośladki i podążyłam za tym odgłosem. Przez ukryte drzwi wsuwały się cztery sylwetki. Zaczęli nawigować pomiędzy skrzynkami, kucając nisko przy ziemi. Przebłysk szkarłatnych włosów zaalarmował mnie o pozycji Erica Caina. Oczywiście, że był w to zamieszany najlepszy kumpel Jacka, tak jak wszyscy inni. Koło niego poznałam chód mojego wujka, kiedy sunął po ziemi, skradając się do Falconów.

Zaczęłam panikować rozdarta pomiędzy krzyknięciem, by zwrócić uwagę na Jacka, żeby Nico i Luca zostali zawczasu ostrzeżeni, a siedzeniem w ciszy, żeby Jack uratował moją matkę przed coraz bardziej nieruchomym celem Felicego. Może on na to zasłużył, ale ona nie. Poklepałam nóż Luki kryjący się w mojej kieszeni i najwścieklesza część mnie wyobrażała sobie zaatakowanie nim Jacka. Co było dobrego w tym, że przyjechał, aby mnie uratować, jeżeli był gotów wykorzystać moją matkę ze świadomością, że jej też może stać się krzywda?

- Dosyć tego! – To był Gino; Gino Wariat. Rzucił się do przodu, omijając Felicego i Nico z wysoko uniesionym pistoletem.

Moja matka wrzasnęła, odsuwając się prędko i prawie potykając o własne stopy.

- Gino! – Krzyk Nico zagłuszył mój własny i nikt chyba nie dosłyszał naszych złączonych głosów. W tym samym czasie Luca poruszał się i w jednej chwili znalazł się przed moją mamą, unosząc ręce do brata.

- Gino, nie – powtórzył, ale spokojnie.

- Ona jest odwróceniem uwagi – wyseplenił Gino, wymachując dziko pistoletem. – I żoną Michaela Gracewella! Przynajmniej w ten sposób możemy dostać dług krwi, który spieprzyliście razem z Calvino.

- Uważaj, co mówisz, Gino – powiedział Luca, nie ruszając się z miejsca.

Cienie na tyłach skradały się coraz bliżej. Zauważyłam krótko ścięte włosy Jacka parę skrzynek dalej ode mnie. Postanowiłam do niego ruszyć. Jeżeli dowie się, że nic mi nie jest to może wymknie się, a potem Luca przekona ich, żeby wypuścili także moją matkę.

Przeciągnęłam się przez posadzkę, oglądając się przez ramię i sunąc tak szybko, jak potrafiłam. Mama schowała twarz w rękach i jej szloch rozbrzmiewał w całym magazynie. Patrzyłam, jak Luca odwraca się i coś do niej szepcze. Wyprostowała się i zaczęła ocierać twarz drżącymi rękami. Odpowiedziała coś. On potaknął i uśmiechnęła się łzawo, cała zlaną ulgą. Wiedziała, że żyje.

Gdy odwróciłam się przed siebie, nie widziałam już mojego wujka, a czające się cienie nie były już cieniami. Byli mężczyznami. Podnosili się z kucek, wyciągając przed siebie ręce trzymające pistolety. Wrzasnęłam ile sił miałam w płucach, ale było za późno.

Kiedy ktoś zostaje postrzelony w filmie to zawsze jest taki dramatyczny moment. Czas zwalnia, muzyka przyplywa i odpływa. Jak pocisk uderza w swój cel, ciało się wygina – każda kończyzna reaguje w doskonałej harmonii – lecąc do tyłu, a chociaż powinno być to straszne, to zawsze jest w tej scenie coś bezgłośnie artystycznego.

Nie było tak z Lucą. On po prostu zapadł się w sobie. W jednej minucie stał prosto przed moją mamą, w następnej leżał na ziemi w kałuży własnej krwi.

Wystrzał wciąż odbijał się echem w moich uszach, kiedy zaczęłam wrzeszczeć, a potem nastąpiła strzelanina i wybuchło piekło.

Eric Cain, człowiek, który postrzelił Lucę, padł na ziemię i przeturlał się za połamane skrzynie. Dom zaczął do niego strzelać, dziurawiąc skrzynki, kiedy tamten poderwał się do góry i przeskoczył między nimi jak gazela, uciekając na tyły magazynu. Inny mężczyzna – który nie był niczym więcej jak kurtyną jaśniutkich włosów – próbował okrążyć Gino w szerokich kołach, podczas gdy Felice osaczył czwartego, wszyscy strzelali do siebie pomiędzy stosami skrzyń.

Nico rzucił się prosto na Jacka z przygotowanym pistoletem, ale Jack wystrzelił pierwszy. Kula utknęła w skrzyni obok głowy Nico. Wypalił do niego w odpowiedzi, ale Jack zrobił unik, rzucając się za wieżę skrzyń i zniknął mi z oczu. A potem nie widziałam ich obu, ale krzyczeli do siebie tak jak reszta.

Pełzałam po zimnym betonie, podążając za krwią Luki, jakby była szlakiem i ignorowałam bolesne pulsowanie żeber. Moja mama klęczała przy nim, próbując odciągnąć go od tego chaosu za pomocą jednej ręki, a drugą chroniąc głowę przed zabłąkanymi pociskami. Ktoś wykrzyknął moje imię i przygotowałam się na uderzenie kuli, która nie nadeszła.

Za nami trzasnęły drzwi i większość wrzasków przeniosło się na zewnątrz. Dotarłam do Luki i zarzuciłam ręce na jego talię, żeby powstrzymać obfite krwawienie z wylotu rany w jego boku. Zabułgotała gniewnie pod moimi dłońmi, jak krew wylała się na moje palce, oblewając je lepkiem ciepłem.

- Sophie! – zawołała mama, chwytając mnie za ramiona. – Sophie, musisz uciekać!

- Nie. – Ucisnęłam mocniej ranę, czując jak moje własne żebra głośno protestują. Luca trzepotał powiekami i miał bladą cerę. Dziwnie było widzieć go tak bladego. – Zadzwoń po karetkę.

Mama puściła mnie i zaczęła poklepywać się gorączkowo po swetrze.

- Nie mam komórki. Nie pomyślałam – powiedziała roztrzęsiona. – Wszystko stało się tak szybko i Jack powiedział, że musimy pilnie wyjechać, jeśli mamy mieć jakąkolwiek szansę... Och, a ja tak bardzo się martwiłam, że ledwo mogłam trzeźwo myśleć... - Zaczęła mamrotać bez sensu. Byłyśmy teraz blisko frontu magazynu. Zaczęła przesuwać znajdujące się blisko drewniane skrzynki, tworząc prowizoryczną barierę.

Nie było nigdzie widać ani Nico, ani Jacka. Przedtem słyszałam, jak na siebie walczyli, ale teraz nic. Wewnątrz ustała większość strzelaniny. Ktoś miał na tyle rozumu, żeby odciągnąć od nas ten chaos i nie byłam pewna, która strona o tym pomyślała, i czy zrobili to ze względu na mnie czy na Lucę, ale w tym momencie byłam za to dozgonnie wdzięczna.

Na zewnątrz rozbrzmiały jeszcze trzy strzały i odpalił samochód. Ktoś odjeżdżał autem przed magazynu i nie wiedziałam czy czuć strach, czy ulgę.

- Musimy wezwać pomoc. – Wolną ręką zaczęłam ciągnąć Lucę w stronę wejścia. Wydobyło się z niego dziwne bulgotanie i spomiędzy bezbarwnych ust wylał się strumień krwi, plamiąc jego kredową skórę.

- To zbyt niebezpieczne, Sophie – szepnęła mama. – Nie wiemy, co się tam dzieje.

Wstrząsnął mną dźwięk innego silnika. Tym razem dobiegał z tyłu magazynu. Zapiszczały opony i wiedziałam, iż to znaczyło, że odjeżdżał stąd przynajmniej jeden Falcone.

- Co za dranie – warknęłam. – Zostawiają go tutaj na śmierć.

- Pewnie myślą, że już nie żyje. – Sposób, w jaki to powiedziała zdradzał jej własne ponure oczekiwania. – Jest tego bliski.

Poczułam ukłucie łez w oczach, ale szybko je odmrugałam żeby nie mieć rozmazanego wzroku.

- Jeżeli przytrzymasz rękę na ranie będę mogła znaleźć...

Frontowe drzwi zostały wykopane. Jack wpadł do magazynu w spoconej koszuli i z czerwoną twarzą. Trzymał przed sobą pistolet, rozglądając się wkoło w poszukiwaniu możliwego zagrożenia.

- Jesteście bezpieczne – stwierdził, nie patrząc na żadną z nas. Wciąż skanował przestrzeń magazynu. – Musimy jechać.

- Gdzie jest reszta? – zapytałam.

- Carter nie żyje. Dostał dwa razy w łeb. Grant dalej jest gdzieś tam z którymś z nich. Cain dostał w ramię, ale zebrał się i...

- Falconowie – przerwałam mu. – Gdzie są Falconowie?

Jack nie dosłyszał pilności mojego pytania; pewnie wziął to za strach.

- Cain prowadzi ich w pogoń za cieniem po miasteczku; te skretyniałe dupki myślą, że gonią za mną. Myśleli, że pójdzie im tak łatwo, ale raz jeszcze mnie nie docenili. Nie mają pojęcia, co zaczęli. Załatwię tych gnojków jeden po drugim. Nikomu nie ujdzie na sucho skrzywdzenie mojej bratanicy. – Duma w jego głosie była przerażająco nie na miejscu; przypuszczałam, że tak często bywało w tym dziwnym świecie przestępczym, w którym morale były okropnie spaczona. – Musimy zawieść was w jakieś bezpieczne miejsce zanim wróci tutaj tamten Falcone. Zadzwoń do Hamisha i już tu jedź; spotkamy się z nim na obrzeżach działki. Będziemy musieli spisać Granta na straty. I tak był no...

Jack przerwał w połowie tyrady. Po raz pierwszy skoncentrował się na naszym małym zbiegowisku za skrzynkami. Wbił wytrzeszczone oczy w Lucę.

- Cholera – wykrzywił się. – Odsuńcie się.

Wycelował pistoletem w głowę Luki.

- Przestań! – wrzasnęłam, przesuając się w jego linię ognia.

Podszedł bliżej, deptając po krwi Luki, jakby to była kałuża wody. Złagodził głos, żeby mnie pocieszyć.

- Nie musisz patrzeć.

- Jack! – zawołała histerycznie mama. – Nie strzelaj do chłopca!

Jack nie rozumiał. Luca był tylko kolejnym upadłym pionkiem i odwracał moją uwagę od naszej wielkiej ucieczki.

- Celine, jeśli ona teraz nie pójdzie, to nie zdążymy pojechać do bezpiecznego miejsca.

Luca był nieprzytomny, ale wciąż słyszałam ciężkie świszczące oddechy wydobywające się z jego piersi. Położyłam się na nim, przyciskając czoło do jego, żeby moje włosy otoczyły jego głowę, osłaniałam go. Przesunęłam wolną ręką po jego ciele, zakrywając mu serce i nie odrywałam drugiej od rany.

- Nie.

- On musi zginąć, Sophie. Jest zastępcą bossa. – Delikatność w głosie mojego wujka zamieniała się w rozdrażnienie, a cierpliwość w nagłość. – Nie zmuszaj mnie, żebym cię z niego ściągał.

- Jack – spróbowała znowu mama. – Musimy mu pomóc.

Usłyszałam trzaśnięcie w jego kolanach, kiedy uklęknął obok mnie.

- Nie bądź śmieszna, Celine.

Przyległam mocniej do Luki.

- Daj spokój, Soph. – Złapał mnie za ramię i odsunął od ciała Luki jednym sztywnym pociągnięciem. – Odwróć się.

Rzuciłam się do przodu, ale odepchnął mnie i przejechał po ziemi, mocząc gołe nogi w krwi Luki i znalazłam się za daleko, żeby go powstrzymać. Krzyknęłam, kiedy wycelował pistoletem w jego głowę.

Nastąpił ogłuszający wystrzał. Tym razem był głośniejszy i zdawał się zmienić otaczające mnie cząsteczki powietrza, przyciskając je do siebie w małych wibracjach. Wrzasnęłyśmy z mamą, ale Luca – który ledwie przypominał teraz Lucę – pozostał nietknięty.

Zamiast tego pistolet wyleciał z ręki Jacka i przejechał po podłodze obok mnie.

- Skubany! – przeklął. Kołysał głową z odrętwiałym wyrazem twarzy. Pocisk przeleciał mu przez rękę i krew spływała mu po ramieniu. Jack osunął się na ziemię, oddychając gwałtownie i ściskając szkarłatne palce. Kopnęłam jego broń. Przejechała po ziemi, zatrzymując się pomiędzy dwiema podziurawionymi skrzyniami, daleka poza jego zasięgiem.

Nico biegł do nas z tyłu magazynu z ubrudzoną twarzą i przemoczony czyjąś krwią. Wciąż trzymał w ręce pistolet, w połowie uniesiony w kierunku wujka, jakby zamierzał jeszcze raz go postrzelić. Chyba nie żartował na temat idealnego celu.

- Dwójka twoich koleżków nie żyje! – krzyknął.

Jack zaczął czołgać się w kierunku wejścia, podciągając się na zdrowej ręce.

- Sophie! – krzyknął, ale nie był skoncentrowany; nie widział mnie. Ale ja widziałam jego; jego pobladłą twarz zalaną zgrozą i jego krew mieszającą się z krwią Luki, kiedy włókł się przez kałuże.

Nico zatrzymał się i znów uniósł broń.

- Nie ruszaj się! – rozkazał.

- Nico, nie! – zawołałam. – On jest nieuzbrojony. Puść go!

Nico poruszył gwałtownie głową, jakby coś obok niej bzycało. Zawahał się. Jack był teraz przy drzwiach; przełożył zdrową rękę przez próg i próbował się podnieść. Już prawie tam był.

A wtedy Nico go postrzelił.

Mama i ja wrzasnęliśmy. Jack osunął się na futrynę, a po lewej stronie jego koszuli zaczęła rosnać czerwona gwiazda.

Nico podbiegł do boku Luki. Nawet nie spojrzął na Jacka. Schował pistolet i kucnął obok brata, sprawdzając mu tętno.

- Musimy zabrać go do szpitala – powiedział do mojej matki, która wyraźnie dygotała, ale wciąż tamowała ranę.

Byłam zbyt odrętwiała, by się ruszyć. Wciąż wpatrywałam się w wujka i w nowy, przerażony wyraz jego oczu. Nadal żył i patrzył na mnie, leżąc w połowie na zewnątrz magazynu. Obejrzałam jego ranę – znajdowała się tuż pod lewym barkiem. Nie dostał w serce, choć było bardzo blisko. Z miejsca, w którym znajdowali się mama i Nico, mój wujek wyglądał na bardzo martwego, ale widziałam czujność na jego twarzy i strach w oczach. Czy Nico strzelał, żeby go zabić czy zranić? I czy gdyby wiedział wtedy to samo, co ja – że pocisk ominął serce wujka – dokończyłby robotę?

- Sophie – powiedziała z trudem mama. Ona i Nico zaczęli dźwigać pomiędzy sobą Lucę. – Pomożesz? Musisz uciskać ranę, kiedy będziemy go przenosić.

Czy Jack zasługiwał na moje przebaczenie? Nie. Czy zasługiwał na śmierć? To nie była moja decyzja; niczyja. Nie miałam czasu na namysł. Wstałam bez słowa, wyciągając rękę, żeby pomóc i blokując im widok na mojego wujka, kiedy do nich podeszłam. Potem ruszyliśmy szybko na tyły magazynu, z dala od krwi. Nie odwróciłam się, żeby zobaczyć czy Jack pozostał w tym samym miejscu.

Mama i Nico zanieśli Lucę do pozostałego SUVa, kiedy ja szłam chwiejnie obok, obejmując jedną ręką żebra, a drugą tamując jego krwotok. Po chwili odjechaliśmy, Luca i ja leżeliśmy obok siebie na tylnym siedzeniu, przyciskałam mocno rękę do jego tułowia, kiedy nasze ciężkie oddechy mieszały się ze sobą w powietrzu.

Gdy Nico pędził przez mrok zatracony w pośpiesznej rozmowie z moją matką, odfrunęłam od rozprzestrzeniającego się we mnie bólu do ciemności, która podkradała się do mnie przez cały wieczór.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

SZPITAL

Po raz drugi tego lata obudziłam się w szpitalu. Wszystko wkoło było dziwne i bezbarwne. Przed moimi oczami tańczyły przerysowane obrazy, kiedy leżałam nieruchomo, mając wrażenie, że znajduję się milion kilometrów nad ziemią. Przełożyłam rękę przez pierś i poczułam lekkie uszczyplenie, kiedy wywróciłam oczy do tyłu.

- Sophie? – Do mojej bańki przesaczył się dzwoneczek.

Obróciłam głowę i wylądowałam na prawym policzku, który pulsował drętwo pode mną, jakby ból znajdował się poza moim ciałem, zerkając do środka. Próbowałam jęknąć, ale odgłos utknął mi w gardle i wydobył się w żałosnych świnięciach.

- Kochanie? – Mój wzrok się zaostrzył, dopóki nie zobaczyłam przed sobą twarzy matki. Miała zaszkłone oczy i ściągniętą twarz. – Jak się czujesz?

Próbowałam się odezwać, ale nie potrafiłam odnaleźć słów i wiedziałam, że gdybym nawet znalazła, to nie zdołałabym ich wydusić. Zmarszczyłam twarz i mrugałam, mrugałam, mrugałam, aż ruchy mamy stały się chaotyczne.

- Lekarz podał ci morfinę. Masz dwa złamane żebra i nos. Nie przejmuj się, jeśli dziwnie się czujesz. – Sięgnęła po moją wolną dłoń i ścisnęła mocno. Poczułam to jako lekkie łaskotanie.

Przez cały czas, jak tam leżałam, czując się na haju i w dołku jednocześnie, przez mój przyćmiony mózg przepływały wspomnienia. Przypomniałam sobie ból każdego ciosu zadawanego przez Calvino; kłótnię z Lucą w posiadłości Felicego; długą, krętą drogę donikąd. Wsunęłam ręce pod kołdrę i zdałam sobie niejasną sprawę, że mam na sobie koszulę szpitalną. Obok mnie na szafce leżały poskładane podkoszulek i szorty. Z przedniej kieszeni wystawał scyzoryk. Poczułam jeszcze więcej przebłysków zmieszania, a potem coś prawdziwego, kolejne chaotyczne wspomnienie. To był nóż Luki. Ale dlaczego go miałam? Zacisnęłam powieki i próbowałam sięgnąć do najmroczniejszych zakamarków umysłu.

Gdy znów otworzyłam oczy, w sali pojawił się Nico, wyglądając jakby nie spał od bardzo długiego czasu; potargane włosy opadały mu na czoło i miał pod oczami ciemne wory. Podał mojej mamie papierowy kubek kawy i usiadł obok niej tak, że ich twarze znajdowały się koło siebie. Przez chwilę mogłabym przysiąc, że byli tylko unoszącymi się w powietrzu głowami, a potem działanie morfiny zmalowało na tyle, żebym zarejestrowała pewien poziom rzeczywistości.

- Obudziłaś się. – Uśmiechnął się leciutko.

Jęknęłam bez tchu w odpowiedzi.

Nico nachylił się tak blisko, że jego ciemne oczy zdominowały moje małe pole widzenia.

- Jesteś uparciuchem, Sophie Gracewell – zgañił łagodnie. – Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało.

Próbowałam przypomnieć sobie więcej. Doszło do mnie słabe wspomnienie krzyków, ale znów odpłynęło. Wpatrywałam się w Nico tak mocno, że poczułam jak z moich oczu wypływają łzy.

Przesunął łagodnie palcem pod moim opuchniętym okiem; rozpaczliwie chciałam poczuć jego dotyk, ale nie mogłam.

- Naprawię to – powiedział. – Przyrzekam.

Zamknęłam oczy, przypominając sobie nagle stary, zatęchły smród magazynu. Zobaczyłam przed sobą rząd porozrzucanych skrzynek w ciemności. Nico z braćmi stali w samotnej łunie światła, kłócili się.

Gdy ponownie otworzyłam oczy, Nico odrywał rękę od mojej twarzy, ale wciąż skupiał na mnie uwagę.

- Wybacz mi – szepnął.

Skoconym kątem oka dostrzegałam moją mamę; w jej oczach widniały wielkie łzy.

- Kochanie, tak strasznie mi przykro. Nic o tym nie wiedziałam. Myślałam, że jesteś z Millie, dopóki Jack nie zaczął walić do moich drzwi. Nie miałam pojęcia, co wyprawiał. Nie miałam żadnego pojęcia.

Wtedy zobaczyłam ją w innym czasie i miejscu, tak samo szlochającą jak teraz, ubraną w tą samą piżamę i kapcie, które dałam jej na święta.

Wyciągnęłam rękę i poklepałam ją po ramieniu, siłąc się o pocieszenie, ale ledwo czułam ten gest przez morfinę. Gdy poczułam się usatysfakcjonowana tą nieudolną próbą, chciałam usiąść.

- Nie ruszaj się – mruknął Nico, nakrywając moją dłoń. – Nie próbuj jeszcze wstawać, dobrze?

Nie ruszaj się. Nico wykrzyczał to w tym magazynie. Tuż przed tym jak postrzelił Jacka. *Jack.*

- Jack – wydusiłam słabo, ale mama zrozumiała.

- Wygląda na to, że twój wujek przeżył. – W jej głosie nie było żadnej emocji. Nie wiedziałam czy czuła ulgę, czy rozczarowanie. Przeniosłam ostrożnie spojrzenie na Nico.

Jego twarz była nieczytelna. Nie wiedziałam czy był zaskoczony tą nowiną, ale już na mnie nie patrzył. Ja także odwróciłam od niego wzrok, ale wciąż mieliśmy splecione palce.

Kiedy znów uderzyłam głową o poduszkę, to zdawało się usunąć resztkę mgły z mojego umysłu. Wróciła mi pamięć; wokół mnie latały kule, kiedy kuliłam się na ziemi z matką. Zobaczyłam Jacka, który najpierw trzymał broń, a potem ścisnął się za rękę, kiedy krew tryskała mu na ramię. Pod nami Luca zatrzepotał powiekami, poruszając ciężko klatką piersiową. Leżał w kałuży własnej krwi i moje palce znajdowały się *wewnątrz* jego ciała, utrzymując go przy życiu.

Nagle uderzył we mnie obraz Luki padającego na ziemię i moje myśli zasłało każde jedno przerażające wspomnienie naszej ucieczki. Sapnęłam tak nagle, że poczułam ukłucie w piersi. Wyrzuciłam przed siebie ręce, wymachując nimi bezradnie, dopóki Nico nie skupił się z powrotem na mnie. Złapał je i ułożył po moich bokach, muskając moje palce.

- Wszystko dobrze – uspokajał.

- Luca? – wydyszałam. – Gdzie jest Luca? – Mój oddech przyspieszył, żeby dorównać rytmowi serca i nagle pokój zaczął się obracać. Nico sięgał po coś w kieszeni. Powrócił ból żeber, domagając się uwagi. Z mojej piersi wydobył się zduszony krzyk.

Mama poderwała się na nogi, uspokajając mnie.

- Przeżył – powiedziała. – On również żyje, kochanie. Żyje.

Nico rozłożył trzymany w ręce kawałek kartki.

- Jest kilka pokoiów dalej. Stracił dużo krwi, ale dochodzi do siebie. Przywieźliśmy go tutaj w samą porę.

- Uratowałeś go – powiedziałam, czując usta rozciągające się w uśmiechu. Cudownie było nie musieć się dłużej martwić. – Wystrzeliłeś Jackowi pistolet z ręki.

- To było naprawdę niezwykle – dodała mama. Wiedziałam po jej tonie, iż nie potrafiła się zdecydować czy czuć podziw, czy dezaprobatę.

- Ty go uratowałaś – odparł Nico. Jego mina była zażenowana, oczy pociemniałe. – Powstrzymałaś krwawienie.

- Byłaś taka odważna, kochanie. – Mama zaczęła gładzić mnie po czole. – Jestem z ciebie bardzo dumna.

- Trzymaj. – Nico podał mi otwarty liścik. – Nie jest w stanie jeszcze chodzić, ale chciałem, żebym ci to dał, jak się obudzisz.

Chwyciłam go gwałtowniej niż zamierzałam, niemal rozrywając papier. Liścik był prosty i krótki, zapisany schludnym czarnym pismem. Potrzebowałam chwili, żeby go odczytać.

Kazałem ci iść do domu.

Uśmiechnęłam się. Nico przyglądał mi się czujnie; dwa dołeczki odznaczały się nad jego brwiami i zaciskał usta. Podłapałam jego spojrzenie i zniknęła surowość. Uśmiechnął się do mnie zachęcająco.

- Długopis? – zapytałam.

Mama poszukała w swojej torebce i podała mi. Odwróciłam kartkę i zapisałam na odwrocie. Zajął mi to o wiele dłużej niż powinno, a kiedy skończyłam, pismo sterowane morfinową było chwiejne i chaotyczne, rozplływając się po całej kartce, jakby wiadomość napisała sześciolatka.

Czyż nie cieszysz się, że nie respektuję twojego autorytetu? ☺

Złożyłam liścik i podałam Nicowi.

- Przekażesz mu go, proszę?

Powróciła marsowa mina i tym razem jej nie ukrywał.

- Jasne – powiedział, zerkając na kartkę papieru, wychodząc z sali. – Zaraz wracam.

Mama nachyliła się i ściszyła głos.

- Wcześniej była tu policja i zadawała pytania. Spodziewam się, że jeszcze wróca.

- Żadnych oświadczeń – odpowiedziałam, opadając z powrotem na poduszkę. Chciałam rzec więcej, ale znów traciłam energię.

Matka nie wyglądała na zaskoczoną moją odpowiedzią. Potrząsnęła głową.

- Też tak sędzę.

- Witaj w *omercie* – mruknęłam. Mój język wydawał się bardzo gruby i ciężki w mojej buzi.

- *Omertà* – powtórzyła cicho i poznawałam po jej tonie, że znała już znaczenie tego słowa.

KONIEC